

DYPLOMACYA SZLACHECKA,



DYPLMACYA SZLACHECKA.



SZKICE Z POZNAŃSKIEGO.

POWIEŚĆ.

PRZEZ

T. T. JEŻA.

Z RYSUNKAMI ST. WITKIEWICZA.

B. 946



WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI A. W. GRUSZECKIEGO

Mazowiecka Nr 14.

1885.

LP 14c

560710
III



Дозволено Цензурою.

Віршава, Декабря 5 дня 1884 года.

I.

Wsi tam nie było — wsi w tem znaczeniu, jakie do wyrazu tego przywiązują powszechnie.

W miejscowości nazwę Śródborza noszącej, i jako wieś na mapie zaznaczonej, znajdowały się oznaki takie, jakby wieś ztamtąd znikła, albo jakby się tam nie zabudowała jeszcze.

Przywykłem do oglądania w osadzie wiejskiej chałup w nieładzie rozrzuconych, a otoczonych ogrodami i sadami, dziwnym się nieco wydawał widok dworu — pałacu raczej — wznoszącego się samotnie prawie. Osamotnienie nie było absolutne, wszystko to jednak, co je usuwało, odnosiło się do pałacu i nie stanowiło sióła właściwego.

Pałac zajmował stanowisko panujące, ale nad polami; stał na wzgórzu, z którego oko sięgało dosyć daleko i spotykało pejzaże mniej lub więcej ponętne. Tło onych stanowiły lasy i pola uprawne w perspektywie dalszej; w bliższej zaś — w jednej stronie widzieć się dawał kościółek murowany, pozostający pod świerków strażą, w drugiej smugę zieloną, przerzniętą grobelką z upustem i budowlą dużą, w której od pierwszego okarzutu rozpoznać się dawała gorzelnia, tam mury długie, zdradzające owczarnię, ówdzie grupę domów na wzór miejski budowanych, dalej zabudowania gospodarskie, wszystko to jedno od drugiego oddalone, a mimo to domyślać się każące przynależności do domu przez to, że budynki te osnuwała sieć dróg i drożyn, sprowadzająca wszystkie do jednego ogniska, którym był dwór.

Dwór panował podwójnie: raz wyniesieniem nad okolicą prawie płaską, powtóre tem, że się odznaczał okazałością okolumnioną i upiększoną. Kolumny i piętra nadawały mu cechę pałacową, którą uzupełniała wieża z prawego wyskakująca rogu i nązębiona u góry krenelowaniem. Przyczyniał się do tego do pierwszego piętra przyczepiony balkon kamienny i płaski z balustradą. Włochy przypominający dach. We Francyi, w Belgii, w Szwajcaryi nazwano by go zamkiem (*chateau*). Pod względem pojęcia, jakie sobie

Szkice z poznańskiego.

w krajach tych o zamkach robią, nie mu nie brakowało, albowiem poprzedzał go nawet podwójny rzec zamkowy, obszerny, osztachetowany, wstęp do którego otwierała brama murowana, zaznaczona olbrzymiemi na słupach w kamieniu kute mi wazonami. Do bramy przylegał elegancki dla odzwierne dom, noszący nazwę łoży. Dwie strony podwórza zajmowały budynki parterowe, znajdujące się w architektonicznym w odcieniu do pałacu stosunku, a pełniące funkcje jedne oficyn, drugi wozowien. Zdobiły je frontony odpowiadające co do stylu frontonowi pałacowemu, a łączące z korpusem głównym galerie kryte, oszklone, narysowane w półkole, które miały pozór oranżeryjny. Podwórzec przedstawiał się pod postacią trawnika, okolonego drogą dla pojazdów wysypaną żwirem. Z po za dachów galerii wyglądały drzewa, które należały do parku angielskiego, zajmującego przestrzeń znaczną.

Czy to wieś?

A przecie — wieś to była.

Z wieży pałacowej widok obejmował horyzont, na którym w dali ukazywały się lasy, bliżej pola uprawne i na nich niby kępy, bukiety drzew z przeglądającymi z pomiędzy takowych strzechami słomianami. W rozkładzie bukietów tych postrzegać się dawała regularność pewna pod względem wzajemnej onych odległości, tak że w perspektywie wydawało się, jakby stanowiły one całość organiczną. W rzeczy samej tak było. Strzechy, które się z wieży widzieć dawały — a widzieć się dawały w jednej tylko stronie w stronie północnej — pokrywały chałupy; chałupy zaś owe wchodziły w skład wsi zaznaczonej na mapie, wraz z pałacem, gorzelnią, owczarnią i kościółkiem, pod nazwą Śródborza. Jedna od drugiej leżała o staj parę. Dzieliły je pola uprawne. Wieś w okolicy tej inaczej się uformowała, aniżeli gdzieindziej. Była ona niegdyś skupiona; rozeszła się jednak. Nastąpiło to w skutek warunków szczególnych, w jakich znalazła się ta

część kraju. Wieśniacy odosobnili się jeden od drugiego. Dwór jeno i kościół na dawnym pozostały miejscu; włościanie zaś wynieśli się i zabudowali na gruntach swoich po odparcelowaniu takowych. Powstała stąd rozsyпка; potworzyły się osady pojedynczo w polu stojące, które by się odosobniły bardziej jeszcze, gdyby nie potrzeb kilka, urabiających czucie ku pewnym punktom środkowym, takim jak dwór, kościół, jak karczma i szkoła. We dworze znajdowały się źródła zarobków dla włościan; kościół czynił zadość potrzebom religijnym; karczma potrzebom towarzyskim; szkoła stanowiła punkt ogniskowy dla dziatwy i za pośrednictwem dziatwy interesowała rodziców.

W Wielkopolsce urobiły się, pod wpływem warunków odmiennych, odmiany i cechy pewne, ciekawe dla tych co jej zbliżka nie znają.

Nie jest-że ciekawością w rodzaju swoim taki pałac osamotniony? Pałac w polu. Miał on pozór zamku zakłętego, a pozór ów usprawiedliwiała zewnętrzność pokażna i maniaczna. Kolumny, balkon, dach płaski, balustrada, fronton zresztą wspaniały imponowały widzowi, co budowlę tę pierwszy raz oglądał. Często się atoli zdarza, że pozory zawodzą. Zawód tego rodzaju spotykał w pałacu śródborskim, jak skoro człek stosunków miejscowych nieznający przekraczał próg gmachu, prezentującego się wspaniale. Wewnętrzność nie odpowiadała zewnętrzności. Po między jedną a drugą zachodziła dysharmonia, rzucająca się w oczy odrazu. Świat inny, świat sztuki i elegancyi wiał nad domem, inny w domu, w którym sprzęty i meble, ozdoby i porządki przypominały przeszłość, ani trochę niepodobną do tej prezencji, o której mówiły formy zewnętrzne. Salony i apartamenty, jedne pustką stały, jak się to zdarza w domach miejskich, przeznaczonych do wynajmowania pomieszczeń bez mebli, drugie zapełniały sprzęty staroświeckie, nie wymyślne, błyszczące nie od polityry, ale od używania długiego, okryte materjami jedwabnymi i wełnianymi w części spłowiałymi, w części przetartymi. Pustką stała połowa jednych pokoi parterowych; na piętrze w jednym tylko skrzydle trzy pokoje świadczyły o obecności mieszkańców; we wszystkich innych echo jeno brzmiało, gdy kto przez nie przechodził. Po między sprzętami wszakże widzieć się dawały przedmioty cenne: makaty drogie, kobierce perskie, zwierciadła weneckie, na meblach i ramach z wylotami.

W rzeźby, w obec których by się archeolog zastanowił, na ścianach malowidła, z których kilka nie zeszpeciłyby ścian galeryi drezdeńskiej. Wszystko to jednak mówiło o przeszłości i stanowiło kontrast w odniesieniu do architektury całkowicie nowoczesnej, wedle której zbudowanym był pałac. Do sprzętów tych odpowiedniejszym był dwór staroszlachecki. Pod strzechą siomianą byłyby one na miejscu swoim, pod blachą pałacową wyglądały, jak okazy w muzeum archeologicznem.

Nie o samych jeno sprzętach atoli powiadać się to dawało. Pan domu, gospodarz, wyglądał także, jak zabytek czasów minionych, zabłąkany wśród murów budowli nowożytniej. Był to *ecce homo polonus*, z miny i z czupryny—jeden ze stających się coraz to bardziej rzadkimi okazów prawdziwego szlachcica polskiego, szlachcica, w żyłach którego płynęła krew piastowska, nie mająca w składzie swoim tej przymieszki obfitej, jaką doleli do niej przybysze z nad brzegów Jordanu i morza Martwego. Szlachciców tego rodzaju rozpoznaje się nie wedle dokumentów, ale wedle miny. Dokumenty zaprzepaściły się w zawieruchach, jakie przeciągały nad krainą polską i uzupełniały mieszanie się dwóch ras. Pozostały jedynie miny o czystości pochodzenia świadczące, charakterystyczne a wyraziste, na których się omylić nie sposób. Są one już rzadkie. Poroda koni polskich zaginęła; poroda szlachciców polskich ku zaginiению się ma, świadcząc się jeno, że istniała, portretami i przerzucającemi się tu i ówdzie okazami tego rodzaju, jak właściciel Śródborza, pan Krzysztof Gracki, przyozdobiony, tytułem grafa. Graf Krzysztof Gracki. Tytuł ten przystawał do niego tak samo, jak pałac do sprzętów.

— Graf?

Patrząc na niego, chciało się zatytułować go chorążym lub miecznikiem, ze względów nie tyle wąsów zawieszistych i postawy rycerskiej, co wyrazu typowego. Wąsy takie i postawa taka nie zdarzają się Niemców. Polaków natura wyróżniła cechując ich piętnem, którego przedstawicielem czystym był właśnie ów graf, człek okryty już mocno szpakowacizną, świadczącą, jako dla niego wiek młodzieńczy przeminął już dawno, a nawet i wiek męski przemija. Trzymał się jednak ostro, krzepko; tuszy miał w samą miarę; wzrostu był więcej aniżeli miernego; postawą jego nadawała się do kirysa ze skrzydłami i do kontuski. Mianował się jednak grafem,

właścicielem „dóbr rycerskich” i z tej racji nosił nazwisko podwójne, które po niemiecku brzmiało: *Graf Gracki Ritter von Śródburz*. W wymawianiu niemieckiem „Śródborze” przeistaczało się na „Śródburz,” co nadawało majątkowi znaczenie dwojakie, odnoszące się jedno do „borów,” które wieś otaczały, drugie do „burz,” które nad nią przechodziły. Jedno i drugie było nie bez racji. Co do borów, to widniały w stronie każdej — na północ i na południe, na wschód i na zachód, te bliżej, owe dalej — od wschodu z parkiem się prawie stykały, oddzielone od onego jedynie rzeczulką, co wody swoje do Noteci niosła. Co do burz zaś — o to historii popytać należy, historii nie tej, co się układa wedle dokumentów oficjalnych, ale tej, co się przeżywa na gruncie, po za wiedzą historyków.

Graf Krzysztof Gracki był okazem w rodzaju swoim osobliwym, mienił się grafem, hrabią, *comte* stosownie do tego w jakim języku nazwisko swoje produkował. Dla Niemców był grafem, dla Polaków hrabią, dla Francuzów *comte*, tak się podpisywał, na biletach wizytowych; nad herbem koronną z odpowiednią gałką ilością odbić kazał, słowem, we względzie tym postępował tak, jak ten, co się doszczętnie dumy szlacheckiej pozbył.

Tak wszakże nie było. Jeżeli kto na zarzut dumy zasługiwał, to on chyba. Dowodem pałac, bez którego obejść by się mógł i z powodu którego zanoszonymi były protesty ze strony przyjaciół.

— Do czego ci pałace!.. — powiadał jeden z tych ostatnich.

— Do czego?.. ahm!.. Niech Niemcy wiedzą...

— Że szlachcie polski zrujnować się potrafi...

— Zrujnować się?.. o... na chałupę?...

Chałupa ta, wedle mniemania pana Krzysztofa, być miała czemś naksztalt jednego z onych cudów miasta, któremi się starożytność chlubiła.

— Będą się Niemcy gapili... — powiadał żonie.

Hrabina się temu nie sprzeciwiała. Przeciwnie. Miała ona powody swoje w pochwalaniu zamiaru mężowskiego, a powody jej odnosiły się do córki, na wydaniu, która w ramach pałacowych lepiej, w mniemaniu jej, przedstawiała się światu, aniżeli w ramach zwyczajnego domu szlacheckiego. Kalkulowała, że to jeżeli nie pomoże, to, w żadnym razie, nie zaszkodzi, a bądź co bądź dla hrabianki właściwszem jest od strzechy staroświeckiej, pomimo że na strzesze owej bocian gniazdo miał. Co tam bocian! — przesąd. Niebo, rak wynosić się musiał, jak niepyszny. Żałowa-

ła za nim panna Tekla; żał jej atoli ustąpić musiał przed względami ważnemi, któremi się kierowali rodzice.

Względem, jednym z nie najmniej ważnych dla pana Krzysztofa było — któżby się domyślił tego! — zwycięstwo przez Prusaków nad Austriakami pod Sadową odniesione. Tego by się nikt nie domyślił, a przecie tak było. Powinowactwa idei w umysłach ludzkich dziwnym a do pojęcia trudnym niekiedy podlegają regułom. Jak skoro wieść o zdarzeniu tem pod strzechę domu jeszcze po lunczas śródborskiego doszła, wnet pan Krzysztof zawołał:

— Kiedy tak... pałac buduję!..

Wymówił to tonem takim, jakby chodziło o warownię, o którą się rozbić miały zapędy pruskie. Z determinacją taką stawiali zapewne dawni możnowładcy nasi zamki na kresach, celem powstrzymania najść tatarskich.

— Pałac buduję... Niech dyabli porwą!..

Urzędnicy pruscy, sami o tem nie wiedząc zapewne, przyczynili się w części znacznej do wywołania w panu Krzysztofie postanowienia wzniesienia pałacu. Doszła go była raz pewnego wiadomość, jako naczelnik powiatu bankrutem go nazwał i wyraził nadzieję, że z torbami pójdzie.

— Ja mu torby pokażę!.. — krzyknął.

Gdy zaś pałac stanął, rzekł tonem zadowolnienia wewnętrznego:

— Niechże Niemiec przychodzi i ogląda, jak wyglądają torby Grackiego...

Pałac wyglądał całę dobrze, bardzo pokaźnie, zadawałniał grafa miłość własną i imponował Niemcom. Ci ostatni domyślali się, że graf posiada kapitały.

Graf posiadał nie kapitały, ale fantazją i wiarę — wiarę w to, że na wszystko złe koniec kiedyś przyjdzie. Na poparcie i usprawiedliwienie wiary tej, miał w zapasie przysłowia, takie jak: „Do czasu dzban wodę nosi”, „Przyjdzie kreska na Matyska” i t. p.

Przekonania te dzieliła w części hrabina, w części, to jest o tyle o ile się one tyczyły strony politycznej, która ją głównie obchodziła. Obchodziła ją nieco i strona towarzyska, w odniesieniu do której uczuwała się, jakby pod uciskiem, a to z tej przyczyny, że się nie dosyć uwypatniała osobistość jej na tle stosunków. Hrabianka z domu, hrabina za mężem, uważała siebie za powołaną do przodowania w towarzystwie, do nadawania tonu i akcentu, do odbierania hoł-

drogę na drodze pochodzący życiowy. Na drodze tej jednak coś zawadzało. Co?

— Prusacy... — powiadał graf Krzysztór.

— Prusacy... — uznawała hrabina.

Miała przeto do prusaków pretensją i żal, które się w ten tłumaczyły sposób, że potakiwała mężowi, gdy ten tak lub inaczej niechęć swoją okazywał i przesiadywała we Śródborzu jaknajmniej. Gdzież przebywała? Gdzież!... — nie tu, to ówdzie, we Wrocławiu, w Dreźnie, w Paryżu, latem gdzieś w kąpielach, w jesieni w Ostendzie. Do Śródborza zajeżdżała w charakterze gościa i odjeżdżała niekiedy na długo, tak że rok cały upływał a nie oglądali jej ani domownicy, ani mąż, ani dzieci. Dzieci ze sobą nie zabierała przez... oszczędność.

— Oszczędzać się nam bowiem potrzeba... — mawiała.

Podróżowała jednak, podróżować musiała przez... patryotyzm. Prusaków ścierpieć nie mogła. Prusacy wypędzali ją ze Śródborza w strony, gdzie się z takowemi nie spotykała. Z powodu tego wieczną wędrówkę swoją uważała, jako ofiarę i mąż rzecz tę tak samo uważał. Miał żonę za jak najzupełniej usprawiedliwioną; nieobecność jej przyjmował jako utrapienie konieczne — konieczne z tego względu, że żona jego po zagranicami kraju reprezentowała Polskę znakomicie.

Pod względem tym miał rację jaknajzupełniejszą, biorąc reprezentację w znaczeniu obrazem. W rzeczy samej, hrabina Gracka służyć mogła za model dla malarza takiego np. jak Robert-Fleury, który odtwarzanie na płótnie scen z życia polskiego za specyjalność sobie wziął. Słuszną, okazałą, muszkularną, kształtnie zbudowaną, rysów oblicza regularnych i wdzięcznym a powagą tętnącym wyrazem okraszonych, miała w sobie coś królewskiego, imponowała nie tylko ludziom, ale i mężowi, przekonanemu, że żona jego od siły jakiejś tajemniczej dostała posłannictwo, którego bliżej zdefiniować nie umiał, które atoli wydawało się mu bardzo ważnem. Hrabinie również się coś podobnego wydawało. Spełniała posłannictwo. Przesiadywała w Dreźnie, widywała się z osobami rozmaitemi i notowała sobie miny ich i wyrazy. Toż samo czyniła w Paryżu. Była z niej skończona niewiasta polityczna — dyplomatką, sama niezbadana i nieodcieczona, ale gotowa, gdyby się okazała nadająca, wchodzić w umowy, zawierać traktaty

podpisywać układy zaczepne i odporne. Nikogo nie zaczepiała i nie nie odpierała, dla tego tylko, że się okazała nie nadarzała. Działalność jej przeto ograniczała się na szukaniu okazji, która, wedle zgodnego we względzie tym jej i grafa zdania, nie znalazłaby się w Śródborzu do świata skończenia. Przesuwała się tu, tam i ówdzie, poważna i harda, zapędzała się aż do Rzymu, zawadzała od czasu do czasu o Frohsdorf, pojechałaby do Madrytu lub do Nowego Jorku, gdyby jej to na myśl było przyszło.

Rozumie się samo przez się, że podróże te grubo kosztowały, pomimo że pani Gracka odznaczała się nie to oszczędnością, ale skąpstwem — skąpstwem, które się w niej z marnotrawstwem kojarzyło. Skojarzenie to na tem polegało, że nigdy na nic nikomu nie dała szeląga złamanego, ale za to wydawała na siebie. Miało to rację swoją. Nie byłaż ona reprezentantką? Jaż ko taką przeto, zaopatrywała siebie w atrybuty, mające znaczenie tła i draperyi na malowidle, ram przy obrazie, okładek w albumie. Wydawała ogromnie na stroje i przyjęcia, na hotele pierwszorzędne i na różne bez wartości drobiazgi, które się opłacają bardzo drogo.

II.

Hrabstwo Graccy, gdy się o nich opowiadało ludziom co ich nie znali, przedstawiali się jak dziwaków para. Hm! — dziwaków? Nie byli oni dziwakami większymi, jak każdy człowiek przeciętny, człowiek bowiem każdy bez wyjątku jest zbiornikiem sprzeczności, układających się w jednym w sposób taki, w drugim w inny. Sprzeczności te, ostre z natury, tępieją pod wpływem otoczenia, pod naciskiem konieczności, w jakiej się ludzie w społecznieniu znajdują, czynienia sobie ustępstw wzajemnych. W osobnikach, na które nacisk ów słabiej działa, następuje wybuchliwość dziwactwa wrodzonego. Skutek podobny wynika z wyjątkowości położenia. Stąd w ludziach bardzo bogatych, w ludziach zajmujących stanowiska bardzo wysokie, albo bardzo niskie postrzegać się daje powszechnie zajaczek jakiś troskliwie hodowany. Możliwość polscy, którzy na kartach dziejów naszych wybitniejsze zajmują stanowiska, każdy zajaczka hodował. Zamiatania szczególne, namiętności, nałogi wreszcie, są to wszystko dziwactwa, manifestujące

się rozmaicie, stosownie do tego czegoś niewytłumaczonego, tkwiącego u jednego we krwi, u drugiego w duszy, które je na wierzch wysadza i to sprawia, że ten ma się za pełzającego na ziemi robaka, ów za istotę powołaną do przeznaczeń najwyższych, inny za coś stojącego po środku pomiędzy pierwszym a ostatnim, ale odmiennego od wszystkich ludzi, jacy byli i jacy będą. Rozmaitość w dziwactwach zachodzi wielka, pomimo że wszystkie z jednego i tegoż samego wypływają źródła: z natury człowieczej sprzecznościami naszpikowanej.

A zatem, hrabstwo Graccy nie byli większymi aniżeli inni dziwakami.

Graf prusaków nie lubił — dziwactwoż to? Hrabina posłannictwo uprawiała, co z uwagi na posłannictwa, jakie sobie takie mnóstwo ludzi plei obojej przyznaje, także się do kategorii dziwactw zaliczać nie może. Szli oni drogą, na którą ich w części okoliczności wprowadziły, którą sobie w części sami wybrali, a droga ta różniła się nieco od tych, jakimi kroczyli sąsiedzi i znajomi ich, spółobywatele, zmierzający do celu, który i dla nich w perspektywie tkwił: do ruiny majątkowej — do wypuszczania z pod stóp ziemi ojczystej. Inni ostateczność tę sprowadzali inaczej; oni za pomocą architektury i dyplomacji.

Wyznać należy, że wiodło się im całę dobrze. Ruina zbliżała się krokiem powolnym, ale pewnym — pewnym tak dalece, że ją hrabina przewidziała w chwili, kiedy mąż oznajmił jej o postanowieniu wzniesienia pałacu.

— Ależ... — odparła. Pałac?

W wyrazie ostatnim zdziwienie się czuć dało.

— Cóż?... — zapytał graf.

— Koszta wielkie...

— Ii... — odrzekł przeciągle, oczy przymrużając i dłonią z lekka kiwając.

— Czem je opędzisz?...

— Prusacy zapłacą...

Hrabina pomyślała chwilkę i zrozumiała. Zrozumiała i odrzekła:

— Do Paryża mi jechać potrzeba...

— Naturalnie... Pomów tam z Józefem, z Sewerynem: oni... wiesz?...

— O tak... Chciałabym jednak z Napoleonem pomówić sama, oni bowiem...

— Miętko się do rzeczy biorą... — podchwycił — pomimo że, zdaje się... ludzie wytrawni...

— Najlepiej dotrzeć samej do źródła...

— To prawda! wielka prawda!.. — zawołał. — Ty, Gidulciu, co powiesz, to tak, jakby się Salomon sam odezwał... Prawda... niezawodnie: nie ma jak źródło...

— Tylko, że źródło to zmaćcone trochę...

— A toż jak?..

— Cesarzowa tam dolewa...

— No, to jeszcze nieszczęście nie wielkie...

— Księża...

— A!... Cesarzowa, księża, powiadasz... Hm?.. Ale ty, przecie, potrafisz się pomiędzy nimi prześmygnąć tak, że oni nawet ducha twego nie poczują... O ty!.. Ty, Gidulciu, jak zechcesz, potrafisz wszystko... księża sęk!..

Westchnął i głową pokręcił, w owym bowiem czasie rzeczy stały tak, że nowy arcybiskup gnieźnieński, ksiądz hrabia Leduchowski, okazywał się, w interesie kościoła, germanizatorem, polityki pruskiej poplecznikiem zdeklarowanym. Wiatr był w stronę tę chorągiewkę obrócił i wiał mocno w oczy pocziwym Grackim. Dyplomaci autoramentu ultrakatolickiego, w których Wielkopolska obfituje, znaczyli za arcypasterzem krok, do którego Windhorstowi takt wybębniali. Dyplomaci atoli tego rodzaju, co nasz graf, pogodzić się nie mogli z ideą przeistoczenia się na Niemców, celem zachowania w nietykności hierarchii kościelnej. Korzyść ta korzyścią się im nie wydawała. Doniosłość onej do głów im nie przystawała. Krzywili się na stan kapłański, podejrzewając takowy o zamiary nieczyste, o zamachy jakieś i, z tej to racji graf Krzysztof, w rozmowie z żoną, ożenił dwa wyrazy: „księża” i „sęk”.

— A to sęk... sęk, mości dobrodzieju...

— Na uwagę wszakże wziąć należy — zaczęła hrabina — że to księża katolicy.

— Tem ci gorzej... — podchwycił hrabia. Wiesz, co o księżach Włosi powiadają?.. Do kobiety nie przystępuj z przodu, do konia z tyłu, do księdza ani z przodu, ani z tyłu... Ot, co jest...

— Księża katolicy nie mogą się wiązać z protestantami... — wtrąciła hrabina.

— Prawda!.. — podchwycił. Nie pomyślałem o tem...

— Pomimo, że arcybiskup nasz...

— O!.. a co!.. Arcybiskup katolik, a mimo to... A!.. od tego głowa pęka... Ja — zaczął, ręce w półpodniesione rozkładając — ja, wyznam otwarcie, gmatwaniny tej nie rozwikłałem... Rozwi-

kłuj ją sobie sama... Tyś od tego... Pomów zresztą z Józefem, z Sewerynem...

— O! i z nimi trzeba ostrożnie...

— No?.. Alboż co?..—zapytał ze zdziwieniem.

— Na wydatki wyciągają: na bibliotekę, szkołę dla chłopców, na szkołę dla dziewcząt, na weteranów, na...

— Wszystko to rzeczy pożyteczne... — wtrącił graf.

— Ależ my położymy już na jedno, zdaje się przeto, że uwolnieni być możemy od wydatków na rzeczy mniej ważne...

— Masz rację!.. zawsze i we wszystkim masz rację!.. Chciałbym poznać tego, coby cię złapał na czemś, w czemś, w czem byś racyi nie miała, kiedy ja ciebie na niczem złapać nie mogę!..

— Przesadzasz...—odezwała się hrabina.

— Co?.. ja?... Ja przesadzam?... Co ty powie-
dasz, kobieto!.. Gdzież to widziała męża, przesadzającego w opinii, o żonie, zwłaszcza we cze-
ry oczy!... To rzecz niepraktykowana... Mężowie zazwyczaj żonom nie dowierzają... I ja nie do-
wierzam tobie we wszystkim: nie spuściłbym się na ciebie w sprawach z prezydium, w interesach procesowych, w gospodarce, ale... co do tego...
a no... Są tu sprawy, tego rodzaju, w których ..
wiesz?... gdzie dyabeł nie może... Ja nie mogę.
Bóg widzi... Na głowie mam tyle!..

— Pałac...—bąknęła hrabina.

— A no... Widzisz?..

— Pomysł to dobry...

— A co... Przyszedł mi z nienaacka... Palę so-
bie fajeczkę i medytuję: czem by tu im dogo-
dzić?... Różne mi do głowy przychodziły konce-
pty... aż ten nagle strzelił... Zawalę pałac!... Po-
wściekają się... Będzie się im wydawało, żem
kot, który rzucany tak i owak, zawsze na nogi
staje... Pomiędzy nami mówiąc — dodał głosem
zniżonym — koło nas diablo kręto... Nadzieja ca-
ła nie dopuszczenia do subhasty w tobie Gidu-
leczko... Wyszturchaj Francuzów na Prusaków;
niech im srogiego łupnia dadzą, a wszystko się
na dobre obróci... Jam jest ten pływak co tonie,
ale się nadał, wyprężył i sił ostatek zebrał, aże-
by rzutem jednym do brzegu się dostać... Ja tu
pałac wydmuchnę, a ty tam Napoleonika wydmu-
chaj...

Taką była historia pałacu—smutna historia,
ale za to wesoło się dokonywała. Rzemieślnicy
rozmaitego rodzaju, śpiewając, wznosili mury,
ciosali, heblowali, pilowali, i stawiali budowlę

z przeszkodami, pochodzącymi stąd, że od czasu
do czasu doznawali przerw w wypłatach. Zda-
rzyło się to razy kilka; raz nawet na cale pół
roku roboty stanęły i zachodziło podobieństwo do
prawdy, że mury nie dokończone, wystawione na
działanie zęba czasu, rozsypią się. Graf przez
ten czas przesiadywał najczęściej we Wrocławiu,
trochę w Poznaniu i Berlinie. Zajęty był ogro-
mnie. Kręcił się niby mucha w ukropie, zagłada-
jąc od czasu do czasu do Śródborza, gdzie we
dworze starym, pamiętającym—jak powiadano
czasy wojen ze Szwedami, przemieszkiwali dwaj
synowie jego i córka jedyna, Teklusia, Lucią
przez doprowadzane w Wielkopolsce do granic
ostatecznych spieszczenie imion chrzestnych, zwa-
na. Na mocy zwyczaju tego, syn jeden grafa zwał
się Bysiem, drugi Masiem, sam zaś graf Krzy-
sztof w ustach hrabiny przemieniał się na Szto-
feczka, jak hrabina w ustach grafa na Gidulcię.
Bysio tłumaczył się przez Bolesław, Macio przez
Maurycy, Gidulcia zaś przez Gertrudę.

Jak wiemy, hrabina rzadkim w domu bywała
gościem. Do rzadkości również należał pobyt
pod strzechą ojczystą młodych hrabiów, z któ-
rych jeden Bolesław, w wojsku służył, drugi,
Maurycy, starał się, to znaczy, oddawał się po-
szukiwaniu posady, do zajęcia której posiadał
tytuły wszystkie: wychowanie stosowne, kształty
odpowiednie, wiek, nazwisko i pustki w kiesze-
ni. W domu przeto jedyną w rodzinie istotą, co
stałe przemieszkiwała, była hrabianka, która
w pamiętnym roku 1866, lat siedemnaście za-
częła.

Wymieniamy lata jej nie bez racyi. Kobieta
w tym wieku staje niejako na progu świata no-
wego, otwierającego się przed nią w ten mniej
więcej sposób, w jaki przed oczami zgromadzo-
nych w teatrze widzów odkrywa się scena za pod-
niesieniem kurtyny. Dramat życiowy staje przed
nią na kształt zagadki, do rozwiązania której
klucza szuka. Gdzie ów klucz? — w sercu? czy
w głowie? Dotychczas ani myślano o nim — nie
obchodził jej zgoła: zajmowały ją rzeczy bez po-
równania ważniejsze: lalki, ptaszki, kocięta mło-
de, kurki, dzieci małe, dzieci zwłaszcza, za do-
starczyciela których matkom uważała bociana,
co dachu pilnował, na zimę dokąd ci odlatywał,
po łąkach za czemeś poszukiwania pilne czynił,
i godzinami całemi na nodze jednej stawał. Bo-
cian intrygował ją mocno. Zwracała na niego
uwagę szczególną i przywykła w końcu do ptaka



„Pałac buduję... Niech djabli Porwą.“

Rysunek St. Witkiewicza.

istoty jedynej, co jej towarzystwa dotrzymywała lepiej, aniżeli rodzice i bracia, którzy często w domu nie bywali, aniżeli służba co się ustawicznie mieniała, aniżeli guwernantki, które jej niby czegoś uczyły, w istocie zaś rzeczy wskazówki dawały i wedle wskazówek tych dziewczyna sama zaopatrywała umysł we wiadomości i talenta, do których ją serce ciągnęło. Czytała dużo, a że na szczęście jej, nie wprawiała się w biegle języka francuskiego rozumienie, lektura jej przeto składała się przeważnie z rzeczy ojczy-
stych. Nauczyła się na fortepianie grać. Jedno i drugie za kierownika miało własne jej upodobanie—upodobanie idące pod miarę śpiewności, która całą jej napelniała istotę. Stąd w muzyce melodia ją pociągała, w książkach poezja i to nie tylko w formie, ale i w treści, zachwycało ją piękno, rozrzewniały nieszczęścia, oburzały zbrodnie, ujmowało dobro, wszystko to odzywało się w duszy jej wtórem harmonijnym, a wtór ten ze swojej strony harmoniował z jej postacią, okraszona wdziękiem naturalnym i wyrazem, który świadczył o spółczuciu dla skrzywdzonych i strapionych. Wyraz ten piękną ją czynił, postać jej opromieniał, sprawiał to, że, patrząc na nią, wydawało się, jakby nad gładkiem jej czołem tkwiła w powietrzu, gwiazdka i blaskiem szczególnym złote jej warkocze oblewała. Jasność jakaś, łagodna a ponętna, oświecała postać jej w oczach tych nawet, co nie wiedzieli o prawie jej do „jasnego państwa.” Rysami oblicza i kształtami ciała przypominała trochę ojca, trochę matkę, którzy oboje byli typowemi okazami tej rasy, co wydawała z siebie wzory piękności, takie jak Jan III, książę Józef, jak Barbara Radziwiłówna, Gizanka, owa Roksolana, która całym trzęsła wschodem Złociste warkocze, fiołkowego koloru oczy, długie czarne rzęsy, kibić kształtna i wyniosła, rysy oblicza poprawne a regularne, delikatność pści a jędrność ciała czyniły z niej istotę uroków pełną, wcieleniem piękna w kształty niewieście.

Taką była panna Tekla, gdy w mierze sta-
ła, taką gdy szukać poczęła klucza do zagadnień życiowych.

Zamiar ojca wzniesienia pałacu podobał się jej wielce, stanął bowiem w wyobraźni jej pod postacią piękną, w dłonie klasnęła, gdy się o nim dowiedziała i wykrzyknęła:

— Ach, pałac!..

— Kontentaś... co?...—zapytał ojciec.

— Pewnie...

— Wolisz pałac, aniżeli dom nasz stary?...

Zastanowiło ją to. Pomilezała i po chwili odpowiedziała:

— Cóż przeszkadza jeden drugiemu!..

Nie wyobrażała sobie, ażeby dom stary ponieść miał szwank, jaki na tem, że obok niego wzniesie się budowla nowa.

Graf sprowadził architekta. Architekt umiarkował i plany kreślił, z grafem rozmowy i narady długie miewał. W naradach panna Tekla udziału nie brała i nie wiedziała, jaki ostatecznie plan przyjęty został. Roboty się rozpoczęły. Zwożono drzewo, kamienie, cegły i układano tuż obok domu starego; rozebrano płot, co ogród otaczał; kopano rowy głębokie w kwadraty i zapełniano takowe murowaniem. Rowy podchodziły pod dwór stary tak blisko, że odsłaniały z jednej strony podwaliny enego. Panna Tekla widziała to, ale, bądź dla tego, że zajęły ją ruch i gwar, bądź też, że nie przypuszczała możliwości zamachu na dwór, nie przeczuwała, ażeby temu ostatniemu zagrażać co miało. Spokojnie przypatrywała się powolnemu roboty postępowi i, jeżeli ją co niepokoiło, to bocian chyba. Wydawało się jej, że gwar ptakowi zawadzać będzie. Uspokoila się atoli pod względem tym, przekonawszy się, że bocian z obojętnością zupełną przyjmował huk i stuki, jakie się rozlegały na warsztacie budowlanym. Strzeliła jej nawet w głowie myśl jedna, która ją uradowała. Bocianom rodziły się małe, które wyrastały i wraz ze staremi na zimę odlatały. Panna Tekla nie oglądała ich z powrotem; nie wiedziała, co się z potomstwem bocianiem dzieje; domyslała się jeno, że młode gdzieś sobie gniazda zakładają; ale—gdzie? Zapytanie to często umysł jej zaprzętało, i często myślała o tem, że gdyby mogła, budowałaby w roku każdym obok dworku starego domki dla młodych bocianów, powracających z krajów obcych, a to w tym celu, ażeby dzieci gniazda sobie nieopodal od rodziców zakładały.

— Jakże by to było dobrze!... ach, jak dobrze!..

Martwiła ją niemożebność dogodzenia bocianom pod względem, który się jej bardzo ważnym wydawał, a któremu uczynienie zadość w części bodaj ukazało się jej w perspektywie, gdy się mury pałacu podnosić zaczęły. Na pałacu stanie dach, a na dachu—owa bocianów młodych para, co ze staremi na wiosnę powróci, miejsce na

gniazdo znajdzie. I będzie przynajmniej ta para obok rodziców mieszkała. Bardzo ją to radowało. Przemyśliwała o kole owem, które na dachu obok komina położyć należy, ażeby bociany zwabić. Spokojną więc co do kwestyi tej była, spokojną do chwili ostatniej.

Zajęły ją mocno przenosiny, które jej nie jeszcze zatrważającego nie zwiastowały, a to dla tego, że dwór stary stał. W pałacu skończonym był korpus główny i jedno ze skrzydeł; pozostawało jeszcze do wzniesienia skrzydło drugie, którego fundamenta dotykały domu starego. Zagrażały one temu ostatniemu, ale panna Tekla nie wiedziała o tem. Przywyklszy przez lat parę do oglądania tych murów nad powierzchnią gruntu nie wystających, przestała się nimi interesować i interesowała się najmniej w chwili, kiedy niebezpieczeństwo nieochybnem się stało. Przenosiny zadziwiły ją trochę, ale bardziej zajęły. Sprzęty, które dwór zapełniały, znikły w pałacu; starczyły zaledwie na umeblowanie jakie takie części parteru. Dla niej ojciec przeznaczył apartament na piętrze, składający się z trzech pokoi. We dworze zajmowała jeden i było jej przestronnie, pomimo łóżka, szafy, komody, kanapki, krzeseł paru, stolików, krosienek, które w izbie każde na miejscu odpowiedniem stały. W pałacu gdy wszystko to wniesiono, pokazało się, że nie było gdzie czego postawić! Miejsca jednak nie brakło. Każdy z pokoi zajmował przestrzeni na łokcie więcej, aniżeli izdebki we dworze. W pokojach tych wszakże okna, drzwi, kominki i piece w takim znajdowały się rozkładzie, że przeszkadzały ustawieniu sprzętów, które ich zapełnić nie mogły. Kłopot z tem był wielki. Ledwie nie ledwie z takowego wybrnąć potrafiła, spędziwszy całych dni trzy na przestawianiu i przesuwananiu mebli, na zawieszaniu firanek i obrazków, na porządkowaniu sprzętów w sposób taki ażeby się harmonijnie oku przedstawiały. Nie było to zadanie do rozwiązania łatwe. Panna Tekla nie rozwiązała onego tak, jakby chciała. Wyszukowała jednak w rozkładzie symetrią, zestawiając jedne z drugimi sprzęty, które się do takowej nadawały i maskując przerwy za pomocą bądź doniczek z kwiatami, bądź też improvizowanych stolczków. Wyszukiwała sobie apartament jako tako i przez czas cały szykowania o bocianach ani pomyślała. Przyszły jej one na myśl nagle i niespodzianie rano dnia czwartego pobytu na mieszkaniu nowem, jak skoro się

obudziła. Przyszły jej na myśl pod postacią za pytania, wysnutego stąd, że dwór pustką pozostał.

— Jak się one względem pustki zachowują?..

Nie przypuszczała, ażeby tak pozostawać miało na zawsze. Ktoś przecie w domu zamieszkał: kto jednak? Ekonom zapewne. Ale—myślała—nim to nastąpi, czas jakiś upłynie i przez czas ten zabraknie bocianom towarzystwa ludzkiego. Zafrasowało ją to, ale nie zaniepokoiło. Przykrość jej robiła myśl o przykrości, jakiej doznają bociany w skutek osamotnienia, pocieszała się jednak tem, że to długo nie potrwa i nie spieszyła się ze wstawaniem z łóżka, w którym jej dobrze było z powodu zmęczenia, jakiego doznała przez czas porządkowania w apartamencie pałacowym. Nie wstawiała, pomimo że słońce świeciło już potęgą całą i do niej przez okna zaglądało. Zrywać się zresztą potrzeby nie miała. Po co? Ani braci, ani rodziców w domu nie było, pozwalała więc sobie, wyciągała się pod okrywkami, które postać jej w pół zaledwie, z powodu gorąca, osłaniały. Powodziła oczami po ścianach tapetowanych, szerokich i wysokich, na których obrazki symetrycznie pozawieszane, wyglądały niby w grunt nieodpowiedni poprzieszczane rośliny. Potrzeba było do ścian takich obrazów dużych, sztychów lub malowideł, w ramach jeżeli nie złożonych, to suto rzeźbionych. Potrzeba było zwierciadeł i etażerek, ach! i rzeczy innych wiele jeszcze, ażeby to tło tapetów osłonić przyzwolicie. Jedyną osłoną dokładniejszą było malowidło spore, przedstawiające patronkę hrabianki, świętą Teklę, dziewicę i męczenniczkę. Miało ono i rozmiary poważniejsze i ramy okazańsze; penzel, co je stworzył, nie należał do poślednich, przytem panna Tekla przyozdabiała je w drape-rye z muszlinu szafirowego, upinane bukietami, na Boże Ciało święconemi. Obraz ten nad łóżkiem jej wisiał i służył za rodzaj wytycznej do nadawania kierunku modlitwom, za rodzaj wartownika moralnego, co nad młodą samej sobie prawie zostawioną dziewczyną czuwał. Panna Tekla wierzyła w to, że Bóg ją widzi i najtajemniejsze jej myśli zna, że święta Tekla opiekuje się nią. Wmówiono to w nią i ona wierzyła tą wiarą naiwną, dziecinną, tą samą, którą odnosiła do bociana, jako do rękoi pomyślności gospodarskiej. I to w nią wmówiono. Jak nie analizowała krytycznie jednego, tak nie analizowała drugiego. Opinia publiczna w sferze słowiańskiej przywią-

zuje do pobytu bociana na dachu znaczenie rękami: ona nie wchodziła w racye mniemania tego; nie zastanawiała się nad niem; brała je *in crudo* i, leżąc na wznak z ramieniem nagiem pod głowę założonem i smugami włosów złocistych okrytem, o bocianach myślała.

Zamierzała stworzyć dla nich taki *modus vivendi* ażeby im pustka we dworze czuć się nie dawała. We względzie tym przesuwali się jej przez głowę projekta rozmaite. Możliwyby tymczasowie osadzić kogoś, gdyby się zaś nikt do osadzenia nie znalazł, w razie takim ktoś ze służby mógłby bodaj nocować. Służba składała się w jednej połowie z mężczyzn, lokajów, stajennych, kredensarzy, w drugiej z kobiet, pokojówek, piekarniarnych. Do mężczyzn w kwestyi tej ufności nie miała. Uważała ich za psotników, gotowych dla zbytków wystraszyć. Zatrzymała się myślą na kobietach, kiedy pomiędzy nimi wybierała najpewniejszą, do pokoju weszła dziewczyna, co u niej w usługach była, prawie jej rówienica. Marysia, zwana powszechnie Maryś, częścią dla zwyczaju, częścią dlatego, że końcówka męska lepiej aniżeli żeńska odpowiadała krępej, przysadzistej i na przebranego chłopca wyglądającej dziewczusze. Maryś, luboć była boso, chód jej słyszeć się dawał zdaleka. Weszła, niosąc w ręku wyprasowaną hrabianki sukienkę.

— O?...—odezwała się tonem zdziwienia, próg przekroczywszy. A ja się z prasowaniem nadaremnie spieszyła.

— Przecież to już późno...

— Toż to... Myślałam że panienska od dawna już wstała i wydziwia na mnie, że nie przychodzi... A ja nie przychodziłam dla tego, że się dusza zagrzać nie chciała...

— Cóż jej się stało?...

— Panienska przenajświętsza wie co... Ja nie wiem...—westchnęła. Wetknęłam ją w węgle i co wezmę zimna... Zimna i zimna...

— Zkądże by to?... — zapytała panna Tekla dla tego tylko, ażeby rozmowę podtrzymać.

— We dworze tego nie bywało... W tamtym piecu żelazko grzało się we dwa zdrowaśki... a w tym dogrzać się nie sposób... Nie wiem, co tu dalej będzie...

— Ognia może rozpalać nie umiecie...

— Jeszcze co!..., Rozpala się ogień tak, jak się rozpala... ale, tam się palił, a tu nie... Dmuchał Józef, dmuchała Magda, dmuchałam ja...

— Rozpalił się jednak wkońcu...

— A o...

— I dusza się zagrzała...

— Zagrzała się...

— I wszystko dobrze poszło...

— Poszło... Zawsze jednak we dworze lepiej było...

— A cóż tam—zapytała panna Tykla—porabiają bociany nasze?...

— Bociany?... — odparła Maryś, składając ostrożnie suknię na krzesło. I cóżby porabiać miały!..

— Widziałas je?...

— Ja tam na nie nie spoglądała, ale, gdybym i spoglądała, to cóż by im przyszło z tego!..

— Im nie, ale byś mnie o nich wiadomość dała...

— Ich już tam chyba do wieczora nie będzie...

— Nie odlecał przecie, nie odchowawszy małych, które się niedawno z jaj wykłuły...

— I małe porzuca...—wtrąciła dziewczyna.

— Onie...nie... bociany nigdy tego nie robią...

— Nie robią same z siebie, ale... nie same z siebie...

Wyrazy ostatnie w uchu panny Tekli zabrzmiały tonem zagadkowym. Zmiarkować nie mogła, co pokojówka jej przez to rozumie. „Nie same z siebie?”

— Co ty powiadasz, Maryś?...—zapytała.

— A cóż... Ludzie się zabierają do rozbierania dachu...

Na słowa te jakby miną wysadzona, wyskoczyła hrabianka z łóżka i w koszuli nocnej, boso, do drzwi się rzuciła. W pokoju przyległym z okna dwór stary widać było. Do okna tego pędem podbiegła, spojrzała, odwróciła się—miała oczy szeroko otworzone i oblicze od przerażenia tak zmienione, że się Maryś zlekła, i coś przemówić chciała, ale nie mogła.

— Maryś pończochy!.. Maryś trzewiki!.. Maryś... — poczęła panna Tekla rzucać wyrazy, chwytając z pośpiechem drżącymi rękami części odzienia jedną po drugiej i wciągając na siebie.

Spieszyła się, szarpała; wdziała wreszcie szlafroczek, związała na głowie nie czesane warkocze, włożyła kapelusz i poszła, zapinając i zawiązując na sobie to, co do zapięcia i zawiązania jeszcze pozostawało.

III.

W rzeczy samej, ludzie się do rozbierania dachu zabierali, drabiny poprzystawiali i kilku stało, jakby w oczekiwaniu na znak do rozpoczęcia destrukcji. Coś ich jeszcze wstrzymywało. Trzymając w rękach narzędzia do zrywania snopków, spoglądali jeden na drugiego i zapytywali:

— A cóż?... a?...

— A no... była odpowiedź. Czekać kazał, póki ze środka nie wyńdzie..

Odpowiedź ta odnosiła się do dozorecy robót, który, wyznaczwszy robotników do rozbierania dachu, wszedł sam do wnętrza domu, powiadziawszy im.

— Czekajcie!...

Czekali tedy i doczekali się tego, że hrabianka nadbiegła. Policzki jej pałały, oczy błyskawice ciskały.

— Schodźcie stamtąd!... schodźcie!.. — wołać się ją, ręką wymachując.

Robotnicy poczęli się po drabinie z dachu spuszczać.

Panna Tekla przebiegła na drugą domu stronę, gdzie drabina druga przystawiona była i ten sam rozkaz powtórzyła. Robotnicy zesli.

— Coście czynić zamierzali?...—zapytała.

— A cóż..., odpowiedział jeden. Ta że wedle dachu...

— Wszak na dachu tym bocian!..

Spojrzeni jeden na drugiego i ramionami sciskali.

— Kto wam to kazał?...

— Kto?... A że pan Piotr, on zaś robotę rychtuje...

— Gdzie on?...

— Tam...—odrzekł jeden, na wnijsciu do starego dworu wskazując.

Panna Tekla zwróciła się do drzwi otwartych, próg przekroczyła, przez sięń przeszła i znalazła się w izbie obszernej, ruiną już trącej. Trzy dni dokonały przeistoczenia tego na komnacie, w której brzmiały wesela, której ściany bywały za szczupłe na pomieszczenie licznych gości, ale... „rozszerzały się.” Na sam czas atoli nie można było składać dzieła zniszczenia. Trzy dni byłoby to, bądź co bądź, za mało. Potężny ów destruktor nie działał tak szybko. Czasowi przyszli z pomocą ludzie, najprzód ci, co dom ze sprzętów wypróżniali, co meble wynosili, obrazy i zwiercia-

dła zdejmowali, ów.eki ze ścian wyrywali. Ci poobtlukiwali piece, odźwierki i futryny, połamali drzwi, powybijali szyby w oknach, porobili dziury w murach. Po nich przyszli robotnicy, którzy podłogi odrywali. Ci także dla ścian, pieców, drzwi i okien miłosierdzia nie mieli. W sposób ten ruina tworzyła się szybko, widzieć ją było można nie tylko na ścianach ale i na sufitych, gdy zaś panna Tekla weszła i, nie zastawszy w pierwszej komnacie nikogo, rzuciła wyrazy „gdzie on?” te wyrazy to echo podchwyciło i razy kilka, przedrzeźniając je, powtórzyło.

— A ha...—odezwawało się, z akcentem zaznaczenia rzeczy.

— Ha-ha-ha...—zaśmiało się echo.

Pannę Teklę trwoga ogarnęła. Zjęła ją ochota cofnąć się i byłaby to zrobiła, gdyby nie obawa o bociany, która jej odwagi dodała. Poszła naprzód—pobiegła, minęła pokojów kilka, oglądała się, pana Piotra nie spotkała. Obchodząc dom wewnątrz znalazła się w kurytarzu bocznym, w którym schody na strych prowadziły. Na strychu tym mieścił się pokoik jej trzy dni temu opuszczony. Zatrzymała się na chwilę, wahając się, w którą się zwrócić stronę, w celu odszukania dozorecy robót, gdy o słuch jej uderzył skrzyp butów męskich na schodach. Szedł ktoś z góry na dół i nie spieszo mu było; zatrzymywał się, za zatrzymaniem się każdym słyszeć się dawał szelest przesuwanych w rękę papierów i ucin-kowe uwagi, takie jak naprzykład:

— Zgubiła... Uhm... No proszę... A?...

Po „a” z akcentem zapytania wydanem nastąpiło dłuższe nieco przemówienie:

— Widocznie przepisała ręką własną...

Panna Tekla zmieszała się. Widocznie ów, co ze schodów schodził, ze strychu powracał i wielkiem było prawdopodobieństwo, że z pokoiku jej zabrał szpargały, które ona jako niepotrzebne rzuciła. Że pomiędzy szpargałami temi znajdowały się własnoręczne jej rękopisy, o tem wiedziała. Nie spodziewała się, ażeby dostały się one do rąk człowieka, co na nie uwagę zwróci. To ją właśnie zmieszało, a zmieszanie spotęgowało się, gdy usłyszała czytanie, które zrazu ciche, stawało się coraz to głośniejsze i szło w takt rytmiczny. Wyraźnie była to poezja. Czytelnik na stopniach schodów zatrzymując się, wygłaszał strofy z naciskiem, zdradzającym przejęcie się treścią. W słuchu panny Tekli zabrzmiało na-

„..... grotą
„Gdzie wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać,
„I ma Elektry głos. Ta bieli płótno
„I odzywa się z laurów: Jak mi smutno!”

Czytanie przerwał i odezwał się sam do siebie:

— Ha ha!... Pomiedzy ową grotą a tem domostwem zachodzi podobieństwo niejake... Są to szczeliny do tego, ażeby przez nie wiatr wzdychał... i puchy, co latają, jak duchy; znalazł by się i promień, naprowadzający na myśl strunę złotą z harfy Homera i...

Przerwał sobie, zoczywszy nagle pannę Teklę, ze schodu ostatniego zeskoczył, kapelusz zdjął i, kapelusz w jednym, plik szpargałów w drugim rękę trzymając, przybrał postawę winowajcy na gorącym schwytanego uczynku.

Taką samą postawę miała panna Tekla.

Uczynek gorący odnosił się jednakowo do obojga. Jeżeli tu zachodziła wina jaka, winni byli oboje: ona, dlatego że pisała, on dlatego że czytał. Żadne z nich nie dopuściło się zbrodni, spadającej całym ciężarem swoim na autora, co „fantastycznie nastrojoną lutnią wtórował myśli ponurej i ciemnej;” spadała na nich wszelako do stopnia pewnego spółwina, która ich kompromitowała jedno w oczach drugiego, kompromitowała i to sprawiała, że tak panna Tekla, jak pan Piotr czuli się jedno w obec drugiego w położeniu fałszywym.

Położenie to, tem gorsze, że oboje byli młodzi oniemiało ich. Ani on, ani ona nie wiedzieli od czego zacząć. Należało jednak z położenia tego wyjść; potrzebę tę snadź silniej, aniżeli panna Tekla, poczuł pan Piotr, on bowiem milczenie przerwał wyrazem:

— Przepraszam...

— Panie...— zaczęła hrabianka.

Właściwie, po przeprosinach pana Piotra, panna Tekla powinna się była uklonić obojętnie i odejść. Możeby tak uczyniła była, ale miała do dozorca interes, który zwłoki nie cierpiał. Nie odchodziła przeto, ale nie umiała przystąpić do rzeczy, która się jej bardzo prostą i naturalną wydawała, i z którą by się była załatwiła po prostu, a naturalnie, gdyby nie gorący ów uczynek, dotykający ją i jego, a zaszyły całkiem niespodzianie.

Panna Tekla nie dziesięć i nie sto razy pana Piotra widywała—pana Piotra, dozorcę, co się przy robotnikach często pojawiał, rozmawiał z nimi, skazówki im dawał, gniewywał się na

nich niekiedy, a niekiedy fartuchem się osłaniał, rękawy zataczał, murował, ciesał, piłował. Przedstawiał się, jako starszujący w sferze poziomej, na którą hrabianka nie wyobrażała sobie, ażeby spoglądać można inaczej, jak dobrotliwie, ze społeczeństwem, łaskawie, ale z góry. Dozorcca—cóż to? coś nakształt starszego mularza, lub starszego cieśli, rzemieślnik w każdym razie, bliźni wreszcie, mogący posiadać zalety ogromne, ale w zakresie, odgradzającym liniami wyraźnemi pojęcia i uczucia właściwe onemu od pojęć i uczuć tej sfery, do której hrabianka należała. Ta ostatnia przeto ani przypuszczała, ażeby pan Piotr interesować się mógł utworem poetycznym tego znaczenia, jak ten którego kopia do rąk mu się dostała. Zaczęła więc:

— Panie... i zamilkła i po chwili dodała: — pan przecie nie dopuści się tego...

— O pani...—odparł, w przekonaniu, że wyrazy te tyczą się rękopisów znalezionych.

— Pan proszę mojej zadość uczyni...

— Co pani rozkaże...

— Więc spokojną być mogę...

— Ależ pani... Jeżeli o spokój pani chodzi, to ja gotów jestem... gotów jestem...

Mówiąc to rękę ze szpargałami ku pannie Tekli pomykał.

— Chodzi mi najbardziej o to, ażeby wyrosły młode...

Pan Piotr rękę ze szpargałami cofnął i zrobił minę taką, jak ten co, w przekonaniu że wszystko rozumie, dowiaduje się nagle, iż nie rozumiał nic.

— Chodzi mi najbardziej o to... dodała. Mając więc ze strony pańskiej zapewnienie, nie pozostaje mi, jak podziękować panu...

— Pani...

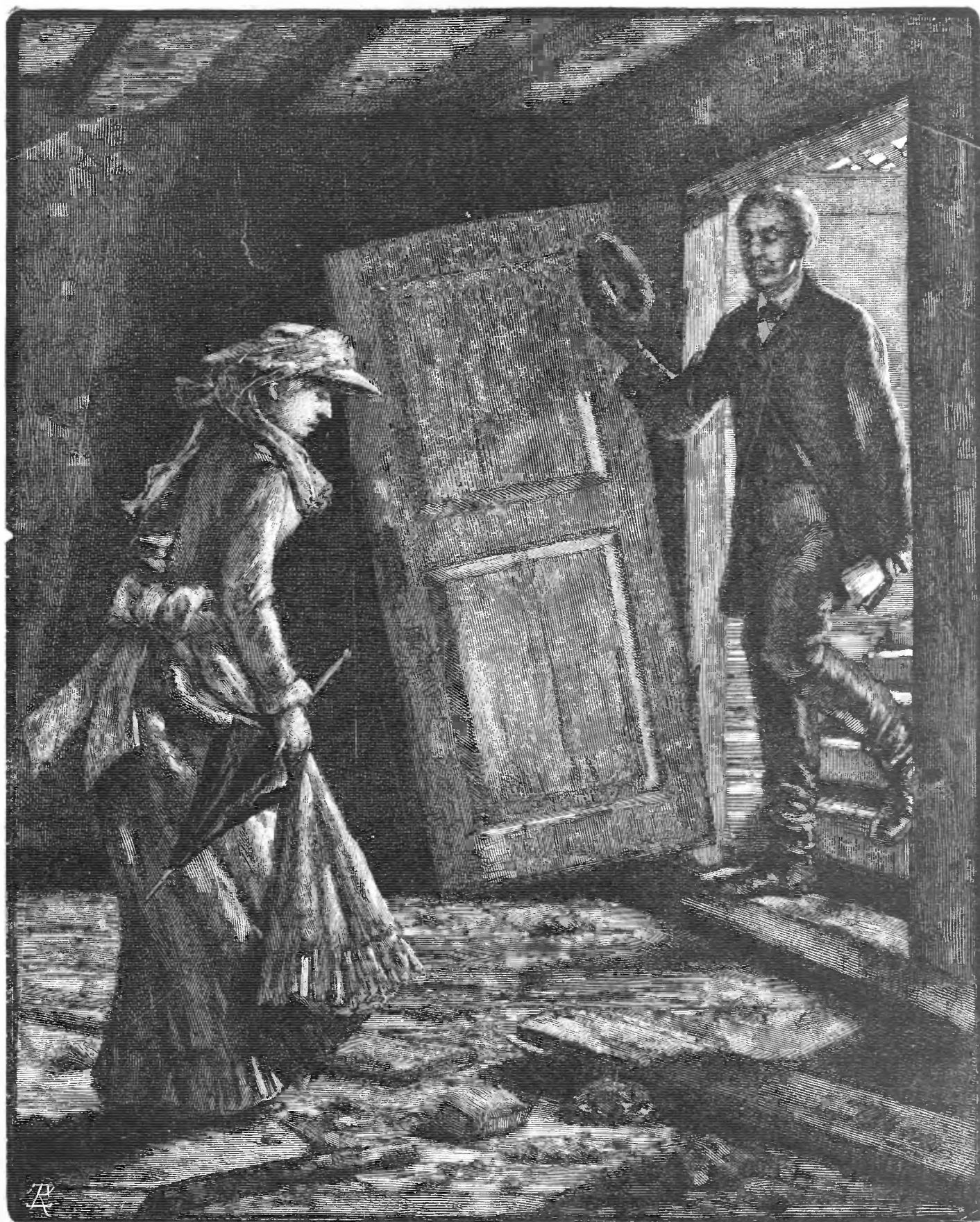
— Dziękuję...—podchwyciła, wychodząc.

— Ależ... zaczął dozorca młody.

Panna Tekla poszła przodem, on za nią zkonfundowany nieco i rozmyślający nad tem, za co mu się podziękowanie dostało. Razem z dworu wyszli, zawrócili; panna Tekla pospieszała; pan Piotr kroku nie dotrzymywał; odległość pomiędzy nimi wzrastała, i kiedy ganek mijali, panu Piotrowi wpadli w oczy robotnicy, którzy nie tylko z dachu zeszli, ale i drabinę odstawili.

— A to co!..—krzyknął. Drabinę przystawić i... na dach!...

Panna Tekla zatrzymała się i zwróciła.



„Ani on, ani ona nie wiedzieli od czego zacząć.“

— Skąd wam do głowy strzelił ten koncept mądry?...

— Kazali... — odpowiedział jeden.

— Kto kazał?...

Robotnicy spoglądali jeden na drugiego, a mieli miny takie, jakby posiadali tajemnicę i nie wiedzieli, co z nią począć. Ton, jakim im dozorca zapytanie zadał, domyślać się kazał, że zaszło przekroczenie zasługujące na nagane. Nagana tyczyła się ich — czemu posłuchali?, ale tyczyła się nie mniej i tej, co rozkaz dała. Obecność jej robotnikom języki święciła. Była to nie tylko pаниenka, hrabianka, ale taka śliczna, stała od nich o kroków kilka w postawie ofiary. W wyrazie oblicza jej przebijały się: smutek, żal i strach.

— Ano... — zaczął pan Piotr, zaniechając indagacyi, która by do niczego nie doprowadziła. Drabinę przystawcie i dalej na dach!... Zaczynajcie, jakiem mówił, od góry, od grzbietu, odkładając i spychając snopki ku dołowi...

U góry, na grzbiecie znajdowało się właśnie gniazdo bocianie.

— Panie... — zaczęła panna Tekla, do dozorey bliżej przystępując.

Ten zawsze z kapeluszem w jednym, ze szpargałami w drugim ręku, ku niej się zwrócił.

— A bociany?...

— Bociany?... — odparł uzagadkowiony.

— Co się z nimi stanie?...

— Co?...

— Przecież ich wyrzucać nie można!... Przecież tam, w gnieździe są młode, małe, zaledwie opierzać się poczynające, które pogina!... Byłoby to... panie! okrucieństwem... Miłosierdzie mieć potrzeba...

Wyrazy powyższe wyrecytowała tchem jednym, tonem podniesionym, w natchnieniu niby, które strzelało jej z oczów, i opromieniało oblicze, potęgając piękność i bez tego potężną.

— Tak nie można... To się nie godzi... — dodała.

Pan Piotr wyglądał, jak wygląda ten, komu nagle i niespodzianie kłopot wielki na łeb spada. Domyślił się, że to hrabianka robotników z dachu ściągnęła i drabiny poodstawiać kazała. Nie dziwił się, że ją robotnicy posłuchali, i on bowiem posłuchać by chciał.

Posłuchać? Byłaż to rzecz możliwa?

— Pani... nie sposób... — odczwał się tonem modlitewnym prawie.

— Co, nie sposób?... — odrzuciła.

— Pani o zachowanie gniazda bocianiego chodzi?...

— O niewyrządzanie krzywdy ptakom biednym...

— Ażeby im krzywdy nie wyrządzić, potrzeba by dachu nie ruszać i domu nie rozbierać, bez czego nie można kończyć budowli rozpoczętej... Jedno drugiemu ustąpić musi: albo dom budowli, albo budowla domowi... Niech pani zważy sama...

— Możliwość się z budowlą powstrzymać, aż się bociany opierzą i latać poczną...

— To znaczy... do jesieni...

— Do jesieni... powtórzyła tonem prośby.

— A!.. głową wstrząsnął i ramionami wzruszył, dodając po chwili: — Gdyby to odemnie zależało...

— Od pana coś zależy przecie...

— Nie innego, pani, jak ściśle rozkazów wykonanie...

— Więc?... — zapytała.

— Więc oto... przyszedł moment na rozbieranie domu starego i rozbierać takowy potrzeba, inaczej bowiem roboty staną, a robotnikom płacić należy...

— Ależ... bociany... Panie... bociany...

— Cóż ja pocznę!...

Wykrzyknik ten wymówił z naciskiem, który się w sercu panny Tekli odbił. Spojrzała na młodego człowieka ze współczuciem.

— Rady nie ma?... — lekko drżącym zapytała głosem.

— Rady?... — zastanowił się i rzekł po chwili:

— Ha!... chybaby przenieść to gniazdo...

— Ah!... wykrzyknęła uradowana.

— Tylko... nie ręczę, czy bociany miejsce inne przyjąć zechcą... Ptaki się przywiązują do gniazda... jak ludzie... Zostawiłbym je, toby najpewniej i najbezpieczniej było; ale... coż robić!... Spróbujemy...

Rzekłszy to, wnet kapelusz na głowę włożył, szpargały do kieszeni od paletota wpakował, na drabinę skoczył i na dach się wdrapał. Na dachu robotników ustawił w dwóch przeciwległych rogach, polecając im, ażeby zrywali snopki, okrywające pochyłości boczne, sam zaś do gniazda podszedł, dokoła je obejrzał, przez chwilę miarkował i w dół się spuścił ku przypatrującej się mu pannie Tekli.

— Sam nie podolam... Pomocy potrzebuję...

Rzuciwszy wyrazy te oddalił się i niebawem powrócił, niosąc drag, nosze i prowadząc za sobą



„A nie uderz jeno którego...”

chłopaka wyrostka, używanego do posługi pobiegowej przy robocie. Za chwilę obydwaj przy gnieździe się znajdowali. Nastąpiła scena wzruszająca. Stare bociany broniły gniazda, krążyły nad niem, spuszczały się nagle, zaglądały, klekotały dziobami długimi, jakby za pomocą klekotu napastników odstraszyć miały, okrzyki wydawały; była chwila, w której samica na gnieździe usiadła i skrzydłami je osłoniła, lecz się wnet zerwała, podleciała, spuściła się, skrzydłem pana Piotra uderzyła i znów się w powietrze wzniosła, a samiec tymczasem krążył, raz wyżej znów niżej.

— Matka...—odezwał się młody człowiek do stojącej na dole w niepokoju najwyższym hrabianki.

— O Boże!..—odpowiedziała.

Gniazdo już podważone było.

— Czyby nie wyjąć młodych?..—zawołała.

— Zdaje się, że potrzeba, ażeby stare gniazdo i w gnieździe młode swoje widziały...—odpowiedział. W sposób ten nie tracą może gniazda i dzieci z oczów.

Uwaga ta racjonalną się wydała.

Wyjęte z osady gniazdo położył pan Piotr na noszach, które przy murowaniu służyły do przenoszenia cegły i kamieni i ująwszy je obiema rękami z przodu, polecił chłopcu, ażeby ujął z tyłu, uważając na utrzymywanie takowych w położeniu horyzontalnym. Jak skoro ruszył, bociany się spuściły i na chłopca uderzyły, aż ten krzyknął z bólu.

— Odstap!... sam będę nosze spuszczał... — przemówił pan Piotr do niego.

Gdy się spuszczenie rozpoczęło, stare uderzyły na gniazdo, wykonując manewry takie, jakby chciały młode porwać lub wyrzucić.

— Odpędzaj je!... odpędzaj!... — wołał pan Piotr na chłopca.

— O Matko przenajświętsza!..—odzywała się panna Tekla.

Chłopiec drąg pochwycił i na płaki się zamierzył.

— A nie uderz jeno którego!... Nie rób im nic złego!...—przestrzegała. Czy nie dosyć dla nich krzywdy jednej!...

Na krawędzi dachu chłopiec znów nosze ujął i nie miał już z bocianami do czynienia, te bowiem odleciały. W chwilę później gniazdo zniesione zostało.

Panna Tekla nie gniazdem, ale staremi się in-

teresowała. Ścigała je oczami, aż para znikła w dali.

— Oh!..—westchnęła strapiona.

Strapienie jej i pan Piotr podzielał.

— Czy powrócą?... zapytała.

Ramionami ścisnął.

— Powrócą...—odrzekła, na własne odpowiadając zapytanie — jeżeli gniazdo swoje poznają...

— Trzeba je w taki wystawić sposób, ażeby poznały..,—zauważył młody człowiek.

— Gdzie?..

— Gdzieś w pobliżu i dosyć wysoko...

Dokoła się obejrzał, zatrzymując wzrok kolejno na dachach, które się widzieć dawały. Żaden się nie nadawał. Jedne, jak np. strzecha na probostwie, bociany inne zajmowały, inne okrywały budowlę, jak gorzelnia np., na których się bociany gnieździć zwyczajnie nie mają.

— Co tu począć?...—odezwała się panna Tekla tonem zafrasowania wielkiego.

— Wszak bociany istniały, zanim się ludzie na ziemi pojawili...

— A tak...—odrzekła. Pan Bóg ludzi na ostatku stworzył...

— I nie było wówczas domów, ani dachów, a bociany się gdzieś gnieździły...

— Nie...—odparła—trwało to bowiem krótko, dzień jeden tylko...

— Dłużej chyba trochę...—odpowiedział pan Piotr z uśmiechem. A przytem trzymając się nawet legendy biblijnej, ludzie pierwotni mieszkali w lasach, jaskiniach, w szałasach, nie zaś w domach dachami krytych...

— Zdaje się...—bąknęła panna Tekla.

— Na czymże w czasach onych gnieździły się bociany?...

— Na czym?...

— Niezawodnie na drzewach... Uczyłem się zoologii niegdyś i, jeżeli mnie pamięć nie myli, drzewa wymienione są, jako miejsca gnieźdzenia się bocianów... Wszak u grafa biblioteka jest; widziałem jak ją przenoszono: w bibliotece znajduje się może zoologia jaka...

— Może... nie wiem... — odrzekła hrabianka głosem nie koniecznie pewnym.

— Ale wyszukanie onej zabrałoby czasu dużo, a tu... czas nagli... Trzeba gniazdo wystawić jaknajprędzej... Biorę więc, jeżeli mi pani na to pozwoli, odpowiedzialność na siebie, gniazdo na drzewie wystawię; w razie zaś, gdyby bociany

stare nie powróciły, bocianięta sam odkarmiać będę... Przystaje pani na to?...

Panna Tekla, zamiast odpowiedzi ustnej, odpowiedziała spojrzeniem, należącym do spojrzeń tego rodzaju, dla których w epoce romantyzmu, ludzie wieku pana Piotra do cyrku pomiędzy lwy i tygrysy po rękawiczkę chadzali. I w wieku naszym nie mało się dla spojrzeń czyni. Do spojrzenia dodała jednak:

— O dziękuję panu...

— Chodzi jeno o wybranie jakiego na widoku drzewa...

Spojrzenie, jakie on na pannę Teklę zwrócił, znamionowało wezwanie do narady.

Potrzeba było warunków pewnych, którym by drzewo odpowiadało, a mianowicie: znajdować się powinno było w promieniu atrakcyi dworu starego, być dosyć wysokiem i nie zanadto liściastem. Warunki te przedstawił młody człowiek hrabiance i ta jęła się nad nimi rozmyślać. Oczy do góry nieco wzniosła, obliczu nadała wyraz poważny, i po chwili zawołała:

— Jest!... jest drzewo takie...

— Gdzie?...—zapytał pan Piotr.

— Niedaleczko... Proszę pana...

Ruszyła przodem. Obiegli dwór do koła. Po drugiej stronie palcem wskazała.

— O...

— Prawda...—młody człowiek na to.

Nieopodal, na granicy przestrzeni pod park zakreślonej, wyrastał dąb stary, w połowie zeschły, obwinięty do góry prawie powojem dzikim, zgarbiony, pokaleczony, zgrzybiało wyglądający. Ziełeniła mu się czupryna z jednej strony, z drugiej zaś sterczały, niby ramiona nagie, suche gałęzie, z których jedna tkwiła horyzontalnie, a dwie inne wyrastały pod kątami w górę.

— Doskonale...—dodał pan Piotr, popatrzywszy przez chwilę.

Wrócili. W gnieździe bocianięta, na których pałki odrastać dopiero poczynają, łebki wyciągały i dzioby długie szeroko otwierały.

— Jeść chcą biedne.—westchnęła panna Tekla.

— Pokarmimy je później, tymczasem zaś pośpieszać trzeba z wystawieniem ich na przynętę rodzicom, które gdy je tylko zoczą i do gniazda przylecą, same się odżywianiem swoich małych zajmą...

Rzekłszy to, na chłopca krzyknął:

— Jaśku, o sznur długi się postaraj, drabinę chwytaj i za mną pomykaj!... Słyszysz?...

— A dyćem nie głuchy...

Młody człowiek nosze z gniazdem dźwignął, na głowę wziął i rękami je podtrzymując, do drzewa się udał.

Hrabianka z nim poszła.

Zajmowało ją żywo wszystko, co się protegowanych jej tyczyło. Chciała przy nich być i widzieć, co się z nimi dzieje; radaby pomagać, gdyby pomoc jej przydać się mogła na co obok gorliwości, jaką rozwijał młody dozorca w uratowaniu potomstwa bocianiego. Jak skoro chłopiec drabinę i sznur przyniósł, wnet drabinę do drzewa przystawił, wlaźł po niej, wymiarkował i pokazało się, że trzeba przekładzin do zrobienia z takowych fundamentów pod gniazdo. Niezwłocznie posłał po drzewo, topór, piłę i świder i sam się do roboty wziął. W rękach jego topór i piła w chwili jednej dzieła dokonały. W niespełna kwadrans wywindowane gniazdo spoczęło na mocnych fundamentach pomiędzy zeszlęmi gałęziami drzewa.

— A teraz —rzekł, z drzewa zeskakując i drabinę odejmując—będę bocianięta doglądał, ażeby się odchowwały...

— Będziemy doglądali... — odparła panna Tekla.

IV.

„Dziwnie się plecie na tym tu bożym świecie,” powiedział Kochanowski, a przysłowie mu na to odpowiedziało: „Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Babanowiecka karczma.” Hrabiance Grackiej ani się śniło, ażeby na drodze żywota swego spotkać miała jakiegoś tam Piotra Ostróżkę. Że spotkała, to pół biedy, ale ze spotkania tego wyszła historia taka, że człowiek ten, ten dozorca przy robocie budowlanej, uwagę jej zatrzymał na sobie. W sposób ten proste spotkanie komplikowało się, postać p. Ostróżki nabierała znaczenia niejakiego, które przeminąć mogło, jak śnieg wiosniany, mogło jednak rosnąć, potęgować się i doprowadzić do rezultatów takich, jak te, do których doszli skojarzeni przez jakąś istotę romansową Numma i Pompiliusz. Znaczenia spotkań tego rodzaju modyfikują się do nieskończoności.

Pan Piotr, ułatwiwszy się z gniazdem bocianiem, kazał chłopcu zabrać drabinę, sznur i narzędzia ciesielskie i, do panny Tekli się zwróciwszy, następujące wygłosił słowa:

— No... nie pozostaje nam nic innego, jak odejść...

— I zostawić tak bocianięta?...—zapytała.

— Nie można inaczej. . Stare zapewne nadleca niebawem... Obecność nasza straszyć by ich mogła...

Do koła się obejrzał po horyzoncie i dodał:

— O... widzę je z daleka...

Rękę wyciągnął. Hrabianka w kierunku ręki jego okiem poszła i ujrzała ważące się na szerokich skrzydłach ptaki.

— Chodźmy... Naglądać możemy z daleka...

Pani w pałacu na piętrze masz obserwatorium, doskonale...

Grzeczny kawaler może by tak nie wypraszał panny z towarzystwa swego. Grzeczna panna możeby kawalera do obserwatorium zaprosiła. Nie nastąpiło nic podobnego. Razem odeszli na wysokość dworu starego, na którym robotnicy dach z poszycia obdzierali i w punkcie, w którym się drogi ich rozchodziły, pan Piotr kapelusz uchylił i pokłonił się. Panna Tekla za ukłon ukłonem odpłaciła w sposób taki, jakby się rozstawała nie z dozorcą, ale z młodzieńcem dostojnym. Nagle się zarumieniła, a powód rumieńca był osobliwy. Wydawało się jej, że pan Piotr dłoń jej do uściśnienia poda. Tego nie uczynił. Zmieszało ją to, jakby było zapewne zmieszało, gdyby ją był pożegnał w sposób angielski. Uczuła się prawie obrażoną—obrażoną przez człowieka, co dla dogodzenia jej nie wahał się po dachach i drzewach łązić, ciężar dźwigać, rąbać, pilować, wiercić—przez człowieka co... rękopisy jej czytał i znajdował analogią pomiędzy dworem szlacheckim opuszczonym a „grota, w której wiatr przychodzi po szczelinach wzdychać.” Ażeby analogii podobnej dopatrzeć, być potrzeba... nie prostym dozorcą przy mularzach i cieślach.

— Nie prostym dozorcą...

Z tą w głowie myślą do pałacu weszła, po schodach na piętro wbiegła i do tego przystąpiła okna, z którego widok się otwierał na dwór stary, i na drzewo na wpół uschłe. Okiem powiodła. Na dworze szkielet dachu wynurzał się już wyraźnie wśród kurzawy, jaką urywanie snopków sprawiało; na drzewie gniazdo bocianie pozostawało w spokoju pomiędzy szkieletami konarów. I to i owo nasuwało do głowy obfitą do rozmyślenia treść. Szkielety te mówiły dużo—przypominały życie minione, gwaru pełne, tu szlachty wesolej, tam ptasząt. Panna Tekla—przypuszczać można—oddawała by się rozmyśleniu temu przy oknie otwartem stojąc i na szkielety patrząc

gdyby jej dystrakcyi nie sprawiał dozorca ów, co ze szkieletami temi w związku jakimeś pozostawał. W jakim mianowicie? Na pytanie to odpowiedź nie była łatwa, wymagała zastanowienia się głębokiego, któremu hrabianka byłaby się zapewne oddała, gdyby nie dystrakcyja jeszcze jedna. Ta ostatnia wprost się do gniazda odnosiła—do gniazda, a raczej do bocianów, nadlatujących od strony lasów. Nadlatywały—najprzód jeden.

— To matka...—szepnęła panna Tekla. O, byleż ona gniazdo zoczyła...

Pokazał się następnie bocian drugi.

— To ojciec...—znów szepnęła.

Za drugim nadleciał trzeci, za trzecim czwarty, piąty, szósty i t. d.—mnogość, tłum.

— Co to?...

Wyraz oczu i oblicza panny Tekli wyobrażały zapytanie to, przedstawiające się pod postacią zagadnienia ogromnie do rozwiązania trudnego. Po co się ptaki te w mnóstwie takim ściągają i krążyły i mijały? Krążyły nad dworem starym, do którego się zbliżały i wyraźnie widać było, jak wyciągały łby i usiłowały przejrzeć przez kurzawę do dachu, kierując wejrzenia w ten punkt, w którym gniazdo się przed godzinami paru znajdowało.

— Gniazda... Gniazda szukają...—powiedziała panna Tekla w głos tak, że przebywająca w pokoju przyległym Maryś usłyszała.

— Słucham!...—odezwała się, wchodząc.

— Patrzaj jeno, co się dzieje...

Dziewczyna do okna podeszła i zawołała.

— O! la Boga!..

— Widzisz?..

— Widzę... Co tu boćków!...

— Czemu się one tak zleciały?...

— Czemuż-by!... Panienska przenajświętsza wie...

— Na dachu było gniazdo...

— A!..—zawołała dziewczyna tonem domysłowości. To one tak wedle gniazda...

— Na niem siedziało dwoje jeno starych...

— Ano dwoje...

— Dla czegoż zleciało się tyle?...

— To tak, jak ludzie: kiedy się jednemu chałupa pali, wszyscy biegną...

— Na ratunek...—dodała panna Tekla głosem wzruszonym.

— Kto na ratunek, a kto tak sobie...

Panna Tekla, cała niejako we wzrok zmieniona, patrzała, śledząc za ruchami ptaków, które krążyć nie przestawały. Środkowym krążenia ich punktem był dach zrywany. Zdawało się, jakby się przypatrywały czynności robotników, nie zważając zgoła na drzewo, na które pan Piotr przeniósł gniazdo. Niepokoiło to pannę Teklę. Serce jej mocno biło.

— Czemu do gniazda nie zaglądała!...—odezwiała się.

— Ludzie gniazdo zrzucili!...—odrzekła Maryś.

— Ono tam... — odpowiedziała panna Tekla, na drzewo palcem wskazując.

— O?... — wykrzyknęła dziewczyna ze zdziwieniem. Któż je tam przeniósł?...

Hrabianka na zapytanie to nie odpowiedziała. Odpowiedziała na nie Maryś sama sobie.

— Nie bociany chyba... gdyby bociany, to nie robiły by one gwałtu takiego... Stare snadź znać dały innym i zleciały się wszystkie, jakie gdzie jeno były... Eh... — dodała w rodzaju uwagi—bociany rozumieją się między sobą, jak ludzie... kłękają i mówią jeden do drugiego... Klekot, to ich mowa...

— Ah!... —krzyknęła panna Tekla radośnie.

Z bocianów jeden do gniazda się zbliżył, na chwilę nad nim w powietrzu zawisł, na skrzydłach się ważył; zdawało się, że ot—ot usiedzie już, bocianięta do niego łebki wyciągały, dzioby otwierając.

Hrabianka doznała potrzeby podzielenia się uradowaniem z kimś, co by je na równi z nią odczuć umiał i dla tego oczy od gniazda oderwała, zwracając je w dół i wodząc niemi po ziemi, jakby czegoś lub kogoś szukała. Szukała w rzeczy samej i znalazła. Za jednym z węglów domu rozbieranego, na zwalonym dylu siedział pan Piotr, trzymając w ręku papier jakiś, który odczytywał i od którego od czasu do czasu oczy odrywał, dla zwracania takowych na gniazdo. Gdy się do gniazda bocian zbliżył, on wstał i wpatrzył się. Wi docznie, zainteresowało go to żywo. Wnet jednak napowrót usiadł i oczy na papier spuścił.

— Czemuż to?... — szepnął głos cichy w hrabiance.

Odpowiedź na zapytanie to znalazła w powietrzu, gdzie nastąpiło tłumne krążenie ptaków, wśród których wmieszał się ów, co się do gniazda był zbliżył, ale na takowem nie usiadł. Wmieszał się; rozpoznać go panna Tekla nie mogła; zauważyła jednak osobliwość pewną, która uwagę

jej pochłonęła całkowicie. Jeden z pomiędzy bocianów stał się przedmiotem gonitwy wszystkich innych. Nie uciekał wszakże. Leciał, a ptak po ptaku ku niemu podlatał i to dziobem go potracał, to skrzydłem uderzał, to łapą dostać się starał. On się nie bronił. Trzymał się zrazu na poziomie, potem się wzbił wyżej, potem, zdawało się, jakby do gniazda na drzewie przez szlaki powietrzne drogi szukał i nie znalazł takowej, wreszcie skierował lot w stronę łąk, w którą go poprzedzały inne bociany i w którą za nim pociągnęły wszystkie. W manewrach tych było coś zagadkowego i przejmującego.

Gdy bociany ku odlotowi się miały, panna Tekla wzrokiem, zapytanie wyrażającym, na dozorcę spojrzała. Pana Piotra jednak nie było już za węglem domu. Widziała go z kijem pod pachą idącego szybkim krokiem, biegnącego prawie w kierunku tym samym, w którym bociany leciały.

— Maryś... — odezwiała się tonem, w którym niecierpliwość brzmiała — prędzej: kapelusz!... parasolkę!... narzutkę!... rękawiczki!...

Dziewczyna podała jej przedmioty żądane i ona w chwilę później ze schodów zbiegała, a gdy z pałacu wyszła, puściła się w kierunku, w którym się pan Piotr udał. Szła prędko. Uczucie, któremu się powodowała, było uczuciem pośpieszania na ratunek. Przed nią w dali szedł pan Piotr. Pomimo jednak, że pośpieszała, odległość pomiędzy nią a młodym człowiekiem zwiększała się ustawicznie, a to tem bardziej, że linia prosta, której się oboje trzymali, przechodziła przez pola uprawne i rowy. Pan Piotr rowy susem jednym przesadzał, przez pola uprawne szedł, jak się idzie po drodze bitej. Nie mu nie przeszkadzało, podczas kiedy przed hrabianką zawady stawały co moment, i tak ją opaźniały, że w końcu, za gruntu załomem, młodego człowieka z oczów straciła, a zarazem i bociany gdzieś znikły, jakby zapadły. Doszła do drożyny co pola dzieliła. Była zgrzaną, czuła się znużoną; mogłaby iść dalej, ale byłby to wysiłek pozbawiony racji pozornej nawet. Pomyślała o powrocie; zatrzymała się jednak, raz dla uczynienia zadość potrzebie spoczynku, powtórę dla tego, że się spodziewała mieć na polu rychlej, aniżeli w pałacu, rozwiązanie zagadki, która się zawiązała w powietrzu.

Na drożynie wznosił się kopiec nie wysoki, trawą, chwastami i polnem kwieciem porośły. Na kopcu tym usiadła i stworzyła na takowym

obrazek wdzięczny, który by był zachwycającym gdyby efektu nie psuły parasolka, kapelusz, i odzież nie sielska. Z tem wszystkiem, gdyby ją widział który z poetów epoki stanisławowskiej, biskup Naruszewicz szczególnie, gdyby przytem była ona córką z potentatów którego, wpływ na rozdawnictwo prebend i orderów wywierającego, wątpliwości nie ulega, iżby z siedzenia jej na kopcu, w otoczeniu łąk i chwastów, wziął assumpt do napisania ody na cześć hrabianki. Przyporównał by ją do Dafne, do Armidy, do Lucyny, Cytery, Minerwy, zaklinał by się na bogi wszystkie, że nie jest „rymobajem,” nazwał by ją boginią ziemską; na muzy by wołał, ażeby ustąpiły „z płonnem kwieciami Flory;” wyekspensowałby na rachunek jej mnóstwo wielkie słów pochwalnych mową wiązaną; mimo to wszystko nie oddałby uroku, jaki od tego na kopcu obrazka bił. Ani kwiatów nie zrywała, ani wianka nie wiała. Chwasty ją otoczyły; maki i groszki obok niej się wdzięczyły, to barwą pąsową, to mnóstwem gron kwiatnych, bławatki i kaskade miały minę wyzywającą: ona na nic nie zważała. Zadumana siedziała. Zrazu policzki jej okrywały rumieńce żywe, pierś podnosiła się pod naciskiem znużenia, oddychała prędko i mocno; z czasem jednak, powoli oddechanie jej uregulowało się i z policzków ustąpiły barwy, które z barwą maków o lepsze szły. Wypoczęła. Wstała, na szczycie kopca stanęła i w kierunku, w którym jej młody człowiek z oczu zniknął, spoglądać poczęła. Oczy sobie dłonią przysłaniała i wzrok natężyła. Po chwili znów usiadła; po chwili znów wstała. Wyglądała z powrotem pana Piotra, którego—powiedzieć należy, z nazwiska, ani zimienia nie znała, a wiedziała o nim tyle tylko, że robotom dozorował i że w chwili obecnej zeszedł się z nią na polu troski o losy wygnañców skrzydlatych.

Wyglądała; raz wstawała, znów siadała; niecierpliwiła się, czekała jednak.

— A!...—usłyszała nagle okrzyk za sobą.

Obejrzała się. Nieopodal za nią stał pan Piotr, który nadszedł ze strony nie tej, z której się go spodziewała. Odszedł przez pola, powracał drożyną.

Na miejscu się zwróciła i zmieszała. Na myśli jej przyszło, że może to nie wypada, ażeby ona z młodym człowiekiem sam na sam pozostawała. Przyszło jej to jednak na myśl nie w porę. Fakt się stał. Odrobić onego nie można już było. Zre-

szta myśl tę zneutralizowała ochota dowiedzenia się o rezultacie wycieczki młodego człowieka, który po wydaniu okrzyku, dodał:

— Przepraszam... Nie spodziewałem się spotkać pani...

— Wyszedłem... — zaczęła z zająknięciem lekkiem.

— Pociągnęło panią to, co i mnie...

— Jak-że się to skończyło?..

— Byliśmy świadkami dramatu, który się rozwinął bardzo smutnie...

Panna Tekla wejrzenie pytające na młodego człowieka zwróciła.

— Bociany... zadziobały...—odpowiedział.

— O Boże!...—zawołała. Na śmierć?...

— Na śmierć...

— Przewidywałem, albo raczej, przeczuwałem coś podobnego, gdy patrzyłem na ów sejm ptasi w powietrzu... Zainterveniewać chciałem; niestety... przybiegłem za późno, pomimo że... widzi pani...

Siebie pokazał. Odzież jego napojona była wodą, która z rękawów i z pól ociekała.

— Pan?... co?... — odezwała się zdziwiona.

— Egzekucja odbywała się na trzęsawiskach, za rzeką, tam gdzie wiklina rośnie... Nie miałem czasu rozbierać się... Na nic się to jednak nie zdało... Znalazłem ją bez życia...

— Ją?...

— Bocianicę... matkę...

— Oh!...—jęknęła hrabianka głucho, i dodała głosem wzruszeniem nabrzmiałym:—Zgroza...

— Ha... Tak się wyraziła sprawiedliwość ptasia... Dowód to, że ptaki posiadają pojęcia, mające niejakiś do pojęć ludzkich podobieństwo...

Panna Tekla na razie nie na uwagę tę nie odpowiedziała. Zwróciła się i iść poczęła ku Śródborzu w towarzystwie pana Piotra. Towarzystwo to nie zawadzało jej, na co dowodem ta posłużyć może okoliczność, że kiedy się pan Piotr przyostał nieco celem strzepnięcia z odzieży wody, ona się zatrzymała i poczekała, a gdy się on do niej przyłączył, zaczęła go w sposób następujący:

— Oburza mnie to...

— Nie dziwię się... oburza to bowiem i mnie, pomimo że na rzeczy takie zahartowany, lepiej zapewne, aniżeli pani...

— To więc tłumnie nad gniazdem latanie był to sąd?...

— Więc... sąd... coś podobnego, co się skończyło wyrokiem...

— Okropnym... — odpowiedziała hrabianka z naciskiem.

— Okropnym?... zapewne... Wszelako rzeczy takie ściśle zależą od pojmowania sprawiedliwości...

— Jak można pojmować sprawiedliwość podobną!...—odrzekła tonem protestacyi.

— Bocianica nie umiała obronić gniazda, pozwoliła je na miejsce inne przenieść i dzieci sobie zabrać...

— Czyż?...—zapytała panna Tekla, wykładem tym zafrasowana.

— Inaczej chyba wytłumaczyć nie sposób faktu, któregośmy świadkami byli... Pani może ma tłumaczenie inne?...

— Ja?... nie...

— Znajduje pani moje trafnem?...

— Ach, panie...—westchnęła panna Tekla.

Pan Piotr zamilkł tak nagle, jakby się za język ugryzł i szedł dalej w milczeniu. Milczenie przerwała panna Tekla.

— Która to godzina?...—odezwała się.

Młody człowiek w zanadrze ręką sięgnął, zegarek srebrny wydobył i odpowiedział:

— A?... zamókł i stanął... Stanął na dziewiątej i kwadrans, to znaczy, żem się o kwadrans na dziesiątą do wody rzucił... Zatem, nie może być więcej, jak pół do jedenastej... Nie ma więcej...—dodał na słońce spojrzawszy.

— Paneś się do wody rzucił niepotrzebnie...

— Nie zapytywałem siebie, czy potrzebnie, czy nie...

— Mogłeś utonąć...

— Nie pomyślałem o tem...

— To źle...

— Źle... to prawda... ale... zaczął, jakby chciał coś na usprawiedliwienie własne rzec.

— Szlachetnie...—podpowiedziała hrabianka głosem, jakby z pod pedału wychodzącym.

— I o tem nie myślałem... Wydawało mi się jeno, że na czas zagrożonej bocianicy z pomocą przybędę...

— Rzeka w miejscu tem głęboka?... — zapytała.

— No... nie płytka...

— Pan pływasz doskonale?...

— Nie doskonale; pływam jednak... Zawadzała mi odzież trochę, ale oparłem się prądowi... Silny jestem...

Usłyszawszy wyrazy ostatnie, panna Tekla mimowolnie zmierzyła go okiem z ukosa, jakby dla przekonania się, czy nie jest to przechwałka. Sprawdzenie od oka rzeczy tej trudnem było z powodu, że budowa młodego człowieka nie zdradzała kształtów atletycznych. Zbudowany był mocno, regularnie, szykownie nawet, ale nie tak, ażeby się wśród ogółu ludzi młodych we wieku jego wyróżniał. Wyróżniał się jednym chyba: zacięciem zuchowatym, świadczącym iżby nie pozwolił nikomu w kaszę sobie dmuchać, a zarazem, że na niego, jak na Zawiszę, liczyć można. Zresztą nic w nim osobliwego nie było. Miał włosy płowe, jak Polaków tysiące, oczy siwe, zarost na twarzy blond; wąsy mu bujnie wargę zwierzechną okrywały, co było znakiem, że epokę młodości pierwszej pozostawił już za sobą, wkraczając we wiek młodzieńczej dojrzałości, przychodzący w mężczyznach po skończeniu lat dwudziestu pięciu. Pięknością się nie odznaczał, luboć do przystojności męskiej zupełne posiadał prawo; tak dzięki wzrostowi przechodzącemu nieco mierzny, jako też rysom oblicza regularnym i wyrazem otwartości a szczeroci nacechowanym. Gdy przeto powiedział „silny jestem,” panna Tekla okiem go zmierzyła i prawdę słów jego uznała. Uważała jednak za potrzebne dodać:

— Wszelako... I najsilniejszym nieszczęścia się zdarzają...

— Zapewne...—odrzekł. Rozważnym być potrzeba... Zdarzają się jednak wypadki tak nagłe, w których na rozwagę czasu nie ma... Ten na przykład...

— Ach!...—przerwała hrabianka. Wypadek ten pamiętnym mi na zawsze pozostanie...

— I mnie.. Jest on nie tylko dramatyczny, ale znaczenia głębokiego pełen w stosunku do nas, ludzi, na mocy tego pokrewieństwa, jakie pomiędzy nami a zwierzętami zachodzi.. Fenomeny jedne tłumaczą się za pomocą drugich... Granice się schodzą i przenikają... Na mnie wielkie sprawiła wrażenie ta sprawa bociania, przedstawiająca ideę miłości ziemi w pierwocinach onej... Hm hm?...

Głowę spuścił i w milczeniu a zamyśleniu szedł przez czas jakiś. Po chwili odezwał się:

— I tak tedy, na odpowiedzialności naszej mamy sieroty...

— Czem się one żywią?...—zapytała hrabianka.

— Żabami, węzami, konikami polnemi, rybami..

— Zkądże im dostarczę tego?...

— Niech to pani nie obchodzi... Biorę bociankę na siebie i upewniam panią, że je odhoduję jak należy... Obecność moja w Śródborzu jak raz starczy na to, ażeby dzieło te do końca doprowadzić...

V.

Nikogo to nie zdziwi zapewne, gdy powiemy, że Pan Piotr wywarł na hrabiankę wrażenie niejakie. Wrażenia tego rodzaju są rzeczą naturalną; w tym zaś razie naturalność wsparła prawo, znane pod nazwą prawa kontrastów. Gdyby pan Piotr nie był członkiem warstwy towarzystwa poziomej; gdyby to był jaki *gentleman*, płynący wierzchem fal społecznych w łodzi, z rudlem lub bez rudla, gdyby *gentleman* ów zainteresował się sprawą bocianów, i dla niej odbył biegiem przez pola przechadzkę, uprzyjemnioną splawieniem się w rzece w odzieży: panna Tekla uważać by to mogła, jako rzecz prostą i naturalną — jako objaw uczucia pokrewnego uczuciu, które ją do wzruszania się losem ptaków przyprowadzało. Znastroju jednakowego jednaki wynikłby dźwięk. Byłoby to w porządku. Porządek ów—do jakich prowadziłby następstw? Najprawdopodobniej do żadnych, chyba iżby zachodziły racje jakie, to warzyskie, majątkowe, sercowe i t. p., i te by następstwa na innej sprowadziły drodze. Tu zaś racje owe nie istniały a fakt przedstawiał się nakształt odkrycia nadzwyczajnego i niespodzianego. W sercu człowieka znalazło się nie tylko uczucie, ale i oświecenie uczucia pojmowaniem, ilustrowanie onego wiedzą. Z kilku młodego człowieka wyrzeczeń poznała, a raczej odczuła w nim panna Tekla osobistość, co się uczyła i myślała. Wynikająca stąd dostojność zaimponowała jej i podniosła w jej oczach prostego dozorcę do znaczenia, którego określić nie umiała. To ostatnie najbardziej ją zajmowało.

A nie wiedziała, jak rzekliśmy wyżej, kto on i skąd.

— Maryś—rzekła do pokojówki swojej, po powrocie z wycieczki — czy ty znasz kogo z robotników?..

— O, a jakże!...—odpowiedziała dziewczyna. Jakżeby nie znać nie miała!...

— Mularzy?... cieślów?...

— Wszystkich...

— I dozorcę?...

— A nie... Znam tych, co się z ludźmi wdają...

— On że się nie wdaje?...

— No... ot... Nie chowa się, jak pies przed muchami, ale...

— Ale co?...

— Kiedy nie przy robocie, to przy książce: czyta i pisze, pisze i czyta; albo... z fuzyą chodzi, a nosi ze sobą torbę i młotek i kamyki zbiera... U niego w stancyi, słyszę, kamyków siła... Niewiedzieć na co mu to...

— Jak się nazywa?...

— Nazywają go panem Piotrem...

— A więcej...

— Nijak...

— Być nie może!...

— No tak... Nie słyszałam, ażeby kto nazwał go inaczej...

— Nie wiesz, skąd on?..

Nie umiała na to dziewczyna odpowiedzieć. Wiedziała o pochodzeniu robotnika każdego prawie: ten z Bydgoszczy, ów od Torunia, inny z Poznania; o nim wiadomości tej nie posiadała; zdawało się jej tylko, że „skądsik” zdaleka, bodaj czy nie z za kordonu. Nie była wszakże pewna.

— On tu od początku roboty?...

— Dyć od początku... — odpowiedziała. On tu wszystkim sam rozporządza... Ludzie powiadają, że on tak, jakby warfitekt...

— Kontenci z niego?...

— Ano... zdaje się...

Indagacya ta koniuszka nawet zasłony nie podniosła, owszem, gęstszym postać dozorecy skryła obłokiem i otoczyła ją zagadkowością. Panna Tekla dowiedziała się tylko, że mu na imię Piotr. Imię nie nie mówi. Piotrem być może syn chłopca, mieszczanina i księcia udzielnego. Domysły, że on z za kordonu, otwierał szerokie dla przypuszczeń pole. Katastrofy rozmaite wyrzucały ztamtąd ludzi różnych i stawiały ich częstokroć w położeniu kondycyi ich społecznej nie odpowiedniej. Hrabianka słyszała nieraz o potomkach wojewodów, zmuszonych biciem kamieni na życie zarabiać; wiedziała też nieco o położeniu ojca, znajdującym się także w stanie oplakanym, mającym w perspektywie katastrofę a za powód onej przyczyny analogicznie podobne do tych, co tam katastrofy sprowadziły. Czyż matka nie radniała dyplomacyi? A zatem—kto wie, co za figura kryła się pod postacią dozorecy? Może to jakiś Jagiellonów potomek. Kto wie!...

To „kto wie” potęgowało interesowanie się młodej dziewczyny młodym człowiekiem i pobu-

działo do utrzymywania stosunku, który się nie-
chęcący nawiązał.

Jakże stosunek ów utrzymywany być mógł?

We względzie tym nastęrczały się sposoby rozmaite, a pomiędzy nimi jeden tylko miał pewność za sobą. Młodzi ludzie opiekowali się bocianietami osierococonemi. Był to ich, że tak powiemy, mianownik wspólny. Po za nim sposób najprostszy przedstawiał się pod postacią wprowadzenia dozorca do towarzystwa rodziny. Co do tego atoli, zachodziła komplikacya. Wprowadzenia panna Tekla sama dokonać nie mogła; nie pozwalała na to przedewszystkiem przyzwolność, z którąby zerwać należało, gdyby hrabianka przyswoiła sobie prawo, do którego się nie poczuwała. Uczynić to należało za pomocą pośrednictwa czyjogoś. Czyjogoś?—ojca, matki, albo jednego z braci, albo wreszcie księdza proboszcza.

Przegląd osobistości tych przedstawiał się jak następuje.

Ksiądz proboszcz, człek w wieku duszpasterstwa pilnował i do niczego się nie mieszał.

Bracia, jeden w służbie rzadko do domu zaglądał, drugi zaglądał częściej, lecz, sobą zajęty, nie nadawał się na pośrednika w tej mierze.

Matka uprawiała—jak rzekliśmy wyżej niwę dyplomatyczną, po za którą jeżeli myślą wybiegała, to myśl jej przybierała znaczenie życzeń, dotyczących się „dobrego” pożenienia synów i „dobrego” wydania córki za mąż. Były to jeno *pia desideria*. Ważnemi zajęta sprawami nie miała ani czasu, ani sposobu zajmowania się losem dzieci.

Ojciec—ten jeden pozostawał tylko, raz dlatego że w domu najczęściej przebywał, powtórę dlatego, że panna Tekla odczuwała w sobie miłość jego. Graf kochał jednakowo córki i synów. Różnicy we względzie uczuć rodzicielskich pomiędzy dziećmi nie czynił. Różnica atoli nie nasuwała się sama, a pochodziła stąd, że synowie nie byli po myśli grafy, że mu się nie udali, że wyobrażenia ich i aspiracye w innym szły kierunku, aniżeli wyobrażenia i aspiracye jego. W rzeczy, która go zajmowała najżywiej, która stanowiła treść życia jego, okazывali się oni indifferentykami, rezygnantami. Smuciło to starego grafy; pragnął czego innego, dlatego jednak, że się pragnieniom jego nie stawało zadość, dla synów serca nie zamykał, a tylko chętniej aniżeli do nich garnał się do córki, a to dlatego już sa-

meo, że ona się garnała do niego. Częściej zresztą bywali ze sobą razem. Panna Tekla była niejako do gruntu przypisana: witała ojca, gdy wracał, żegnała, gdy odjeżdżał, osładzała grafowi staremu w domu pobyt i szła mu w ład. Wziąć i to na uwagę należy, że ojcowie do córek, jedy-naczek zwłaszcza, mają zazwyczaj słabość. Słabość tę hrabianka odczuwała, dlatego też na ojca, w sprawie uregulowania stosunków z młodym człowiekiem, co się przez lat parę pobytu w Śródborzu do rodziny jej nie zbliżył, rachowała. Rachuby tej atoli nie uważała za pewną i niezawodną, z powodu właśnie tego oddalenia, w jakim pan Piotr trzymał się, czy trzymany był. Czuła, iż potrzebną jest ostrożność w przystępowaniu do rzeczy.

Nie kwapiła się więc.

Dni kilka upłynęło od dnia wiecu owego bocianiego, co się zakończył tak smutnie.

Przez czas ten panna Tekla tem się jeno ograniczała, że miała gniazdo na oku i przekonała się o troskliwości, z jaką pan Piotr około bocianiat chodził. W ciągu dnia nie widać go było. Trzymał się przy robotnikach, z których jedni rozbierali dom stary i uprząтали gruzy, drudzy mur nowy wznosili. Dostrzegała go tu i tam; dawał wskazówki i rozkazy, i ani się zwracał w stronę drzewa zeschłego, tak że zdawało się, jakby go ono nie obchodziło zgoła. W ciągu pierwszych dni paru, nie wiedziała co o tem myśleć, i niepokoiła się, aż wieczora jednego dopatrzyła drabinę i na drabinie postać ludzką. Nie mógł to być kto inny, tylko on. Ale czemuż do gniazda dowiaduje się wieczorem? Nazajutrz jednak przekonała się, że się dowiaduje i rano, obudziwszy się bowiem równo z dnia świtaniem, widziała go od drzewa wracającego z drabiną na plecach, i z naczyniem jakimś, kształt rzeszota mającem, w ręku. Od momentu tego zrywała się z łóżka bardzo rano i widywała codziennie pana Piotra, noszącego żer ptakom. To co się jej rzeszotem wydawało, rzeszotem było w rzeczy samej. Przychodził drabinę do drzewa przystawiał, wlażył po niej i karmił bocianięta, które szeroko dzioby czerwone roztwierały. Dostrzegła że on je nie tylko karmił, ale i okrywał, każdego rana bowiem zdejmował z gniazda osłonę, mającą pozór baraniicy, czy też czegoś podobnego. Przypatrywanie się z okna czynności tej stało się dla panny Tekli potrzebą, której się oprzeć nie mogła tak dalece, że dnia każdego budziła się i z łóż-

ka zrywała przed słońca wschodem. Symptom ten na zaznaczenie zasługuje. Stanowi on dowód i świadectwo—czego?

Przychodziła jej do głowy myśl pewna, którą ona stale odpychała, jak się odpycha wyrzucanego za drzwi natręta. Myśl owa się w zapytaniu: czym pan Piotr bocianięta karmi? Nie śmiała jej w oczy spojrzeć. Razu atoli pewnego zawołać mogła, jak wołała Włodzimierza Wolskiego „Siostra mleczna”:

„Ach! co oczy me ujrzaly!”

W ręku pana Piotra wywijał się wąż.

— Jezus Marja!...—krzyknęła, oczy sobie dłońmi zasłaniając i do drugiego pokoju uciekając.

Okrzyk jej zbudził Marysię. Zerwała się i pobiegła.

— Co to?..

— Nic...—odpowiedziała panna Tekla.

— Panienska tak skrzyknęła...

— Coś mi się wydało...

Dziewczyna odeszła. Panna Tekla długo uspokoić się nie mogła. Wąż dwojakiem ją przejmował uczuciem: uczuciem wstrętu i uczuciem obawy—wstrętu do tego, co go w ręce brał; obawy dla tego, że wszystkie węże za jadowite miała, a zatem młody człowiek narażał się. Narażał się dla ptaków.

Dla ptaków?

Przypuszczała to i nieprzypuszczała. W głowie się jej mąciło. Dla ptaków się na takie wystawiać niebezpieczeństwo? Ale to nie dla nich chyba. Dla kogóż więc?

Zapragnęła się z młodym człowiekiem rozmówić, a to w celu nie innym, jak ażeby mu wyperswadować, że nie należy lekceważyć tak zdrowia i życia—życia, które...

Jak jednak pragnieniu temu zadość uczynić?

Myślała. Myślała od rana do południa. O południu nieobecny od dni kilku ojciec nadjechał.

Graf w dobrym przybywał humorze. Interesy peszły mu pomyślnie. Wytrząsnął potrzebne na dokończenie budowy pałacu pieniądze i przywoził córce upominków kilka, zakupionych u modniarek w Berlinie.

— Zmęczyły mnie te podróże... uh!..—odezwał się, siadając i oglądając się.

Przenosiny w jego odbyły się nieobecności.

— Kuso to jakoś wyglądała...—rzekł, okiem po meblach i ścianach prowadząc.

— Nie było czem, papo, pokojów zapełnić..—zauważyła hrabianka.

— Na pierwszy raz... na pierwszy raz...—odparł. Nie od razu Kraków zbudowano... Z czasem ten się zapełni.. Oglądałem meble (tu wyliczył firm kilka kupieckich) i pytałem o cenę... kilka tysięcy talarów... W tej chwili myśleć o tem nie można, ale... pomyślimy... Niezłe mam od matki wiadomości... Coś się klei... klei.. No... A cóż tu—zapytał słysząc?...

— Wszystko dobrze, papo drogi...

— Przez podwórze przejeżdżając widziałem, że murują i że domisko stare w gruzach już...

— W gruzach...—powtórzyła hrabianka posępnie.

— No?..

— Żal mi było...

— Za ścianami, co się ledwie w kupie trzymały?...

— Za ścianami i za bocianami...

— Dziecko z ciebie... — bąknął graf sentencjonalnie.

Panna Tekla opowiadać się jeła historię o bocianach, która szlachcica żywo zainteresowała. Słuchał, pytał, fajkę palił; wreszcie do stołu podali; przechodząc do sali jadalnej, rzucił córce wyrazy następujące:

— Mnie by tak, jak tego bociana, nie osądziły sądy nasze najsurowsze... Gniazda nie opuszczam, ale odnawiam i obwarowuję...

Usta wydał, wąsy wygładził, obiad z apetytem zjadł i po obiedzie zaproponował pannie Tekli, ażeby wyszła z nim razem, celem obejrzenia postępu robót.

Panna Tekla nie dała sobie tego dwa razy mówić. Wnet się wybrała i w chwilę później, parasolką się osłaniając, towarzyszyła ojcu, który krokiem powolnym, jak gospodarzowi i człowiekowi poważnemu przystało, obchodził pałac wewnątrz i zewnątrz, zaglądał tu, tam i ówdzie, gdzie nigdzie się dłużej zatrzymywał, uwagi czynił, lub wskazówki dawał. Z kolei zaszedł do budującego się pawilonu i zastał przy takim panu Piotra.

— A?.. jakże się tam miewamy?..—pozdrowił młodego człowieka.

Pan Piotr na pozdrowienie uchyleniem kapelusza odpowiedział.

Panna Tekla ze strony swojej coś dodać chciała, celem złagodzenia szorstkości tonu, jakim się graf odezwał, ale się wstrzymała, spostrzegłszy,



• Pałac oglądali...

że pan Piotr na szorstkość odpowiada sztywnością, świadcząca, jako sam godność własną obrobić potrafi.

— Roboty postępują?

— Postępują...

— No... cóż?...

— Nic...

— Nic, to nie wiele...

— Tyle jednak, co na zapytanie pańskie odpowiedzieć można...

— Uhm?... Proszę pana, a — zaczął graf. Uhm... Wszak pan wiesz, że to stajnie być mają?...

— Budujemy z planem w rękę, ściśle wedle oznaczenia...

— Podłogi pochyle... do ścieków...

— Pierwej wzniesiemy mury, założymy sufit, postawimy dach...

— Tak uhm... A drabiny i żłoby, pan wiesz... angielskie...

— Żłoby kamienne kuja się... Drabiny z żelaza lanego... mam już na składzie...

— Lufty, okna...

— Wszystko będzie, jak należy, to jest, jak się pan dobrodziej z budowniczym ułożył...

— Klatki...—dorzucił graf.

— O tych nie wiem, klatki bowiem w stajni, jak meble w domu, nie wchodzą do zakresu budownictwa...

— A no... tak... Panowie się liczyicie ściśle...

Na to, co z akcentem przymówki wyrzeczone było, młody człowiek nie odpowiedział. Graf zapytał:

— Kiedyż się to skończy?...

— W jesieni, jeżeli nie zajdzie przeszkoda jaka...

— Uhm... — mruknął graf z akcentem nieukontentowania, była to bowiem pod adresem jego przymówka, tycząca się nieakuratności w wypłatach. Uhm...—powtórzył i dodał:—Przeszkoda nie zajdzie żadna...

I poszedł dalej, nie kiwnąwszy panu Piotrowi głową na pożegnanie. Za to się mu panna Tekla ukloniła i on się jej odklonił z uśmiechem, smutkiem okraszonym, smutkiem który miał wyraz taki, jakby było w nim porozumienie pomiędzy młodym człowiekiem a panną Teklą, jakby wyraz ów powiedział: „Widzisz, pomiędzy mną a tobą wznosi się wał nie do przebycia.”

Panna Tekla doznała w sereu ściśnienia i razem coś naksztalt nieokreślonego jakiegoś

a zuchwałego postanowienia w duszy się jej zarysowało.

Towarzyszyła ojcu dalej. Udali się do parku, który był już prawie założony, drzewa pogrupowane i posadzone, trawniki poobsiewane, szpalery postrzyżone; pozostawały jeszcze drobne szczegóły, które graf oglądać chciał.

— Brak wody i grot... — mówił, przechodząc powoli z ulicy w ulicę. Tu zdałby się strumyk... — rzekł, laską znacząc — rozlewający się w jeziorko... Na strumyku mostki, na jeziorku łabędzie sprawiałyby efekt wspaniały, przy wierzbach płaczących... Ha, będzie to, ale poczekać musimy...

Hrabianka nic na uwagi ojca nie odpowiadała.

— Tam by — zaczął graf, laską wskazując — przydał się kopiec, którybyśmy przezwali kopcem wojewody, na pamiątkę pradziada twego...

Panna Tekla na to nic.

— Cóż?...—zapytał.

— Co, papo?...—odrzekła.

— Czyś nie słyszała, com mówił?...

— Papa... mówił.. — zaczęła powoli.

— Czegoś moja Lucia roztargniona... Gotowem pomyśleć, że podczas mojej w Śródborzu nieobecności był ktoś, co ci oczko zapruszył... Przyznaj się... no...—nalegał żartem.

— Nie był nikt taki...

— Ej?... Ludzi rozpytam...

— Niech papa pyta... — odrzekła tonem, w którym rezygnacya brzmiała, jakby w rzeczy samej żartobliwe ojca przypuszczenie niesłusznem nie było.

Ten ów ton sprawił, że graf stanął, na córkę spojrzął, spojrzenie na niej przez chwilę zatrzymał i, do poprzedniego spokoju powracając, zaczął:

— Mówilem o kopcu oto tam... Byłby efektowny...

— A... tak...

— Nazwalibyśmy go kopcem wojewody...

— A dobrze...

— Gdy może być kopiec Kościuszki, czemużby być nie miał kopiec wojewody...

— Jeżeli wojewoda wsławił się jak Kościuszko...

— Ba... Na sławę jest miara, która zależy od zakresu działania... Gdyby pradziadek twój znajdował się w położeniu Kościuszki, musiałby robić, co on robił i mógłby dojść sławy równej sławie jego... W takim razie sypano by mu

kopce pod Krakowem... Że zaś okoliczność podobna nie zachodzi, usypać mu możemy w Śródborzu... Co?..—zapytał.

— Jak się papie kochanemu podoba...

— Odpowiadasz, jakbyś o czemeś innem myślała, albo, jakbyś mi nie rada była...

— Ach! papo... cóż papa powiedział!..—zawołała głosem strwożenia.

— A cóż!.. ty, coś zazwyczaj szczebiotała i gruchała, albo mi nie odpowiadasz, albo tak mówisz, jakbyś kłaki w gębie miała...

— Niechże mnie papa nie posądza!..—odparła i ojcu rękę pod ramię wsunęła. Chodźmy, coś ciekawego papie memu pokażę...

Poprowadziła ojca na granicę parku i, rękę wyciągając, wskazała mu drzewo uschłe.

— No?..—zapytał.

— Nie widzi papa?..

— Widzę drzewo, które to kpowi Bartkowi ściąć kazałem i on nie ściał...

— I nie zetnie...

— Czemu?..

— Ja nie pozwolę...

— A?..

— Niech mu się jeno papa dobrze przypatrzy... Znajduje się na nim coś, czego dawniej nie było...

— Gniazdo...

— Bocianie... to samo, co dach domu starego zdobiło...

— Więc to stąd bocianica ofiarą padła?

— Stąd, papo...

— Ależ... — rzekł po chwili przypatrywania się—ono nie próżne... Widzę tam bocianięta...

— Sieroty... Znajdują się one pod opieką...—zawahała się przez chwilę i dodała — moją.

— Nie ty przecie nosisz im żaby i węże...

Na wspomnienie węży, hrabianka drgnęła. Westchnęła i odrzekła:

— Nie...

— A wiesz co, moja Luciu—podchwycił graf—to drzewo z tem gniazdem, tak jak jest, do parku przenieść każę!.. Myśl wyborna!.. Kopiec na kopcu drzewo zeschłe, na drzewie gniazdo, w gnieździe bociany...

— Ja na to nie pozwolę, mój papo...

— Zważ jeno... Ozdoba symboliczna...

— Ale ja nie pozwolę...—powtórzyła z przymleniem—a papa nie postąpi sobie wbrew woli jedynaczki swojej?..

Do ojca się przygarnęła.

— Nigdy w świecie...—odpowiedział graf.

— Nigdy?... — zapytała z akcentem znaczącym.

— Nigdy...

— Nawet, gdyby wola jej z wolą papę się nie zgadzała?..

— Masz tego dowód na tem drzewie... — odrzekł graf na pół serjo. Ja chcę, ty nie chcesz i stanie się po twojemu... Odwołam rozkaz który Bartkowi dałem... Czy potrzeba ci jeszcze dowodu innego?..

Panna Tekla nie na to nie odpowiedziała, głęboko jednak westchnęła i z ojcem ku pałacowi się zwróciła.

VI.

Hrabianka wzięła przed się postanowienie pomówienia z panem Piotrem we względzie węża. Do względu tego jednak przybywał inny, bodaj czy nie ważniejszy: potrzeba moralna zbliżenia się do młodego człowieka, nie cenionego przez ojca jej tak, jak na to zasługiwał—zbliżenia się: w jakim celu?.. Czy to się o celu w razie podobnym myśli! W życiu cele przychodzą nie od razu, zarysowując się z początku mglisto w dali niewyraźnej i tak przeszkodami najeżonej, że nie to o dojściu do onego, ale o puszczeniu się w kierunku, w którym on majaczy, ani się myśli. Mimo to w kierunku tym się idzie. Na drogę tę wprowadza sama rzeczy natura, kierownica naczelna i absolutna wszystkiego, co się w świecie dzieje. Ona to bocianom w jesieni wskazuje drogę na południe; ona to hrabiance podszeptowała potrzebę zbliżenia się do traktowanego przez ojca przez ramię dozorcę.

Chodziło jeno o pretekst.

Pretekst był do znalezienia łatwy. Nastęczyło takowy gniazdo. Cóż naturalniejszego, że się niem panna Tekla interesowała?

Wieczora doczekała, wieczora pięknego, letniego, dyszącego wonią i oświetlonego gwiazdami, które się wyiskrzyły na niebie lazurowem. Droga mleczna zaznaczyła się wyraźniej, jak zwykle. W powietrzu brzmiał przytłumiony nieco hymn, na który składały się przenajrozmaitsze śpiewające i krzyczące stworzenia, rade życiu. Gdzieś w dali odzywały się kukania jakieś; kiedy niekiedy w górze słyszeć się dawały świsty, jakby pochodzące od przelotu pociechu. Widoki tonęły w cieniach, nadających przedmiotom kształ-

ty fantastyczne. Słowem, noc miała nastrój romantyczny, pomimo że brakowało jej świadka romantyzmem specjalnie nacechowanego—księżycy, roniącego blask srebrny.

Ba nie! I księżycy nie brakowało. Wynurzał się on z po za lasów, w postaci sierpa wąziutkiego, w otoczeniu obłoków białawych, które się na widnokręgu wałęsały. Panna Tekla zoczyła go, gdy z balkonu do parku schodziła. Zoczyła, zatrzymała się, w księżyc się wpatrzyła i oblała oblicze wyrazem zadowolenia. Nie dziw. Zadowolnienie pochodziło stąd, że księżyc na nowiu pokazał się jej ze strony prawej. Wiadomo, że jest to prognostyk bardzo dobry. Nie mogło to nie ucieszyć jej. Westchnęła i po cichu sama do siebie szepnęła:

— Boże...

Boga na świadka wzywała, co stanowiło rękojmię we względzie tak czystości intencji, jakoteż nieświadomości pobudek istotnych, wyzywających ją na krok tak śmiały.

Krok ten śmiałym był względnie. Gdyby się ona na pana Piotra, jak na dozorcę zwyczajnego, zapatrywała, śmiałość zmniejszyłaby się znacznie, zeszlaby nawet do zera. W oczach hrabianki jednak był on czemś więcej — czemś w rodzaju człowieka, przechodzącego miarę ludzi pospolitych, a zatem niebezpiecznego dla dziewczyny młodej, za niepospolitościami — jak zwykle — się oglądającej.

Na księżyc popatrzyła, westchnęła i po parku krążyć poczęła. Udała się najprzód w stronę przeciwną, jakby dla nabrania rozpędu; obeszła trawnik środkowy dokoła i zapuściła się w ulicę prowadzącą ku obwodowi, gdzie stało drzewo zeschłe. Obwód ów znajdował się podówczas w stanie projektu. Nie zaznaczał jeszcze onego ani płotu, ani parkanu, ani rowu nawet. O sposobie ogrodzenia graf myślał dopiero, nie wiedząc na pewno na co się zdecydować. Nie zachodziła przeszkoda żadna do wejścia z pola do parku i do wyjścia z parku w pole. Tymczasowość ta sprzyjała pannie Tekli w tym względzie, że odejmowała skutecznieniu zamiaru jej, charakter umysłowości. Przechadzać się po parku w piękną noc majową — wszak wolno; wolno również nie mając potrzeby przez nie przełazić, ani przeskakiwać, ani żadnych drzwi zamkniętych otwierać, przekroczyć granicę idealną. Najsurowiej pojmowana sprawiedliwość temu na przeszkodzie nie stawiała. Hrabianka pod względem tym

znajdowała się całkowicie w porządku i szłaby z sumieniem spokojnem, gdyby nie głos jakiś wewnętrzny, który jej o niebezpieczeństwie mówił. O niebezpieczeństwie—jakim? O jakimś meś nadzwyczajnie ponętnem — ponętnem dla tego właśnie, że go nie znała.

Zapuściła się w ulicę ciemne i cofnęła się. Ciemność pochodziła od drzew, w których się odzywały szmery nocne. Postrach ją zdjął. Obeszła trawnik do koła i, kiedy na przeciwnej onego stronie się znalazła, kroku przyspieszyła, przyszło jej bowiem na myśl, że się spóźnić może. W miarę jak się do zarośli zbliżała, strach ją znów przejmował. Weszła i znów się cofnęła. Powzięła już zamiar do pałacu powracać i, albo rzecz do jutra odłożyć, albo też Marysię wezwać. Ale — rozmyśliła się. Odkładanie wydało się jej czemś zbrodni równem. Po cóż bowiem wyszła?—po to, ażeby na młodym człowieku wypróbować nie igranie z niebezpieczeństwem, powtórzyć się mogącym nazajutrz. W negocyacji tego rodzaju obecność Marysi byłaby jeno zawadą przy Marysi bowiem innym by przemawiać musiała tonem — tonem nie takim, jaki w niej brzmiał. Nie — Marysi wzywać nie mogła do tego tylko, ażeby przejść pomiędzy drzewa.

Zebrała się z odwagą, weszła, szybko przebiegła i w samą dobrą porę to zrobiła, albowiem, kiedy się z zarośla wynurzała, pan Piotr drabinę do drzewa przystawiał.

— A to co!..—zawołał, gdy ją szybko idącą ujrzał i wnet dodał:—A, to pani...nie poznałem...

Panna Tekla w pierwszej chwili przemówić nie mogła.

— Wyszła pani w celu dowiedzenia się do pupilów...

— Tak... to jest... — bąkać zaczęła, oddechając z wysiłkiem niejakim. Wyszłam do... pana...

— Cóż mi pani rozkaże?..

— Nie, ach... nie... Przychodzę nie z rozkazem, ale... z prośbą...

— Słucham pani...

Ton, jakim się młody człowiek odzywał, ton grzeczny, ale zimny — zimny—mieszał ją.

— Chcę, chciałabym prosić pana... Ale — poprawiła się i rezolutniej nieco przemówiła — nie wiem, czy mam prosić prawo...

— Pani!.. — odparł.

— Prawo takie nie narusza się...

— Ja myślę, że prawo proszenia posiada każ-

dy i w odniesieniu do niego o naruszeniu mowy być nie może..

— Jam też źle się wyraziła... Jam co innego na myśli miała...

Młody człowiek na drabinie przedmiot jakiś zawiesił.

— Chciałam — ciągnęła — mieć, jeżeli nie pewnoś, to przynajmniej nadzieję, że prośba moja wysłuchana zostanie...

— Jak skoro zadośćuczynienie takowej nie przechodzi możności mojej... Ja mogę tak mało!..

W wyrazach ostatnich czuć się dał inny nieco, giętszy ton, co pannę Teklę ośmieliło.

— Mało?..—powtórzyła ze współzapytaniem. Przecie... gdy o zapanowanie nad sobą chodzi?..

— To mi się udaje niekiedy...

— A więc...—podechwyciła, oddychając z głębi piersi — prosić chcę pana... ażebyś... ochraniał siebie...

Prośba ta wydała się pannie Tekli niewłaściwą w momencie, kiedy już wymówioną została. Gdy już z ust jej wypłynęła, spostrzegła się, że ją umotywwać pierwej, opatrzyć wstępem stosownym należy. Dodała więc:

— Bo... widzi pan, człowiek *nie dla siebie* samego tylko żyje...

Wymówione to było z naciskiem, który nie mógł pana Piotra nie uderzyć. Brzmienie wyrazów szło z serca. Co z serca idzie, do serca trafia. Nacisk opierał się na „nie dla siebie,” a wyrażenie to inaczej by zabrzmiało w ustach obojętnych. Czuć w niem było, że wypłynęło nie z wyrozumowania ale z uczucia, że stanowiło punkt ogniskowy nie kazania, ale troskliwości tej troskliwości macierzyńskiej, która w sercu dziewczęciem znamionuje budzenie się miłości.

— O pani!..—odparł.

— Nie prawdaż?..—zapytała z uczuciem.

— Wielka prawda... Uznaję ją i uznawałem zawsze...

— Owóż... proszę... proszę pana... — i po chwilce z akcentem przymilenia, tonem ujmującym, dodała: — ażebyś życie swoje oszczędzał...

Zdanie to niespodziane zdziwiło młodego człowieka. Zdziwiło go i zdumiło, a to tem bardziej, że odczuwał głębokość owego, że zatem domyślał się, iż miało ono powód jakiś, który był tajemnicą dla niego.

— Alboż—zapytał—życia... nie oszczędzam?..

— Igrasz pan z niem...

— Pani!..—zawołał. Wypowiedzieć nie umiem

zdumienia, w jakie mnie wyraz ten wprawia... Proszę mi zagadkę tę rozwiązać... Coś pani widziała?..

— W ręku pańskim... węża...

— Węża?..—podechwycił, odpowiadając tonem tonowi, z jakim wyraz ten z ust panny Tekli padł.

— Dziś rano, kiedyś bocianom jeść dawał, widziałam...

— Ah!..—przerwał, domysławiając się nareszcie wszystkiego. Niechże się pani uspokoi... Wąż ów nie jest bynajmniej jadowitym... Stworzenie niewinne, nie kłuszące nawet... Nie wszystkie węże należą do tego rodzaju, co przeciął nie żywota Kleopatry... Wężyk ów, coś pani w ręku moim widziała, ma z tamtym pokrewieństwo dalekie kształtów, ale nie natury... Dziękuję pani... dziękuję...—dodał z naciskiem.

— Ale... — zaczęła panna Tekla, zmieszana nieco.

— Co?..

— Czy to się omylić nie można?..

— Można, nie znając się.. Ja się jednak znam... Z węzami znam się... lepiej, aniżeli z ludźmi, w których strona psychiczna nie zawsze pozostaje w ścisłym ze stroną zewnętrzną związku... W zwierzętach, dzikich zwłaszcza, niezgoda tego rodzaju nie zachodzi... Grzechotnik zabija, boa dusi, gadzina w klimacie naszym w gorączkę wprawia, ale wężyk, wężyk nasz, jest to, pani, stworzeńko niewinniejsze, pod względem szkodliwości, od pszczoły, żywi się owadami i ziołami i sam za pożywienie służy wedle tego porządku, jaki niestety, w przyrodzie panuje...

— Nie-wie-dzia-łam... — powiedziała, jak się mówi w zawstydzeniu. Przepraszam...

— Za co, pani?..—zapytał młody człowiek.

— Za... za... natrętność...

— Oh!.. Natrętność taka... Ja za nią czuję... wdzięczność... Nie przyzwyczajony jestem do niej... Spotyka mnie ona w życiu po raz pierwszy... Po raz pierwszy...—dodał—nie domyślałem się bowiem, ażeby życie moje kogo obchodzić mogło...

— Jakto!.. — wyrwało się pannie Tekli z ust ze zdziwieniem.

— Ano... tak... i szlusznie: cóż kogo obchodzić może życie jednostki, przebijającej się w tłumie!.. Gdybym się *był* nie urodził, nikt na tem ani by się spostrzegł; gdy umrę, nikt tego nie zauważy... O... — rękę wyciągnął i wskazał na gwiazdę, co

się po niebie w chwili tej przesunęła i zgasła. Przyrównałbym siebie do gwiazdy spadającej... Jest to przyrównanie trafne, mimo że zuchwałe, ze względu na blask, jakim na jedno oka mgienie gwiazda świeci...

— Panie!.. panie!.. — tonem protestacyi zawołała hrabianka.

— Przepraszam panią.. — podchwycił ze skwapliwością niejaka. Zdaje się, jakbym pani przykrość wyrządził...

— Wielką przez to... takie małe cenienie siebie... Czy to się godzi!..

— Ależ... — powiedzieć chciał „co pani do tego” i, niby za język się ugryzł, zamilkł.

— Czy pan nie masz matki, siostry?... nikogo, co by... — powiedzieć chciała „kochał pana” i, niby się za język ugryzła, zamilkła.

Nastało pomiędzy dwojgiem młodych ludzi milczenie, które im zarówno zaciężyło i które razem równocześnie przerwali. On się odezwał „a”, ona „o.” Znow zamilkli i pan Piotr głos zabrał.

— Należy się pani odemnie podziękowanie serdeczne za troskliwość jej o mnie...

— Nie mów pan do mnie tonem takim!.. — upomniała go panna Tekla surowo. Czy się pan nie domyślasz, że troskliwość ta płynie z podobudek...

— Dobrego, litościwego pani serca...

— Żegnam pana!.. — podchwyciła z akcentem złego humoru.

— Obraziłem panią?.. czem?.. — zapytał.

— Tonem...

— Umieć niekiedy panować nad sobą...

— Ton ten przeto z panowania pochodzi?..

— Niech się mnie pani nie dopytuje... Niech pani do pałacu odejdzie... — odezwał się z prośby akcentem i, jakby coś nagle przypomniał sobie, dodał: — Mam jeno pierwej do oddania pani zgubione, czy zapomniane przez nią kartki...

Mówiąc to, wyjął z kieszeni bocznej kopertę sporą mocno napelnioną i podał takową hrabiance.

Panna Tekla rękę cofnęła.

— To — rzekł — pisanie pani...

— Zniszcz je pan... — odrzekła z akcentem żalu w głosie. To żadnej nie ma wartości...

— Będzie dla mnie miało wartość... pamiątki... — odpowiedział, kopertę w zanadrze chowając.

— A!.. — odezwała się panna Tekla z głuchem w głębi piersi jęknięciem. Żegnam pana...

Dłoń wyciągnęła. Młody człowiek podał jej dłoń swoją i spojone te dłonie pozostały przez chwilę jedna w drugiej.

Chwila ta rozstrzygnęła los ludzi dwojga.

Pan Piotr nachylił się i złożył na rękę panny Tekli pocałunek. Usta mu drżały. Pocałunek się przedłużył o sekund nie wiadomo ile, o tyle jednak, że płyn ów eteryczny, co młodemi dla miłości otwierającymi się duszami wstrząsa, miał czasu aż nadto do obiegnięcia razy mnóstwo ogromne ją i jego i do nastrojenia dusz ich do tonu jednego, jak dwie harfy.

„Jak dwie harfy”... — śpiewa poeta.

W zetknięciu się tem ludzi młodych dwojga było nie co innego, jeno poezya czysta, grająca na tych strunach, co, pod postacią promieni gwiazd naciągniętych pomiędzy niebem a ziemią, wydawały dźwięki rozkoszne.

O młodości!

Pan Piotr pocałunek pożegnalny złożył. Panna Tekla nie odchodziła; a jednak:

— Żegnam pana... — powtórzyła.

W słowach tych pełno było łez niby.

— Och!.. — westchnął młody człowiek. Kiedy na panią patrzył z daleka, patrzyłem jak na wcielenie ideału mego dobra i piękna, o którym jeno marzyć mi wolno... Anim przypuszczałem, ażebyś kiedy do mnie zeszła i... nie pragnąłem tego... o!..

— Czemu?.. — zapytała panna Tekla łagodnie.

— Bałem się...

— Czego?..

— Czy ja wiem!.. — odrzekł w sposób ucinkowy. Bałem się o siebie, o panią, o to że, gdy robotę skończę, panią z oczów na zawsze stracę, o innych jeszcze rzeczy wiele, które mi się po głowie snuły... o to, na przykład, że się z panią wypadkiem spotkać mogę...

— Nie chciałeś pan tego?..

— Nie życzyłem sobie... *Mein Ruh ist hin*... Człowiekowi przecie o spokój własny chodzi, o spokój który byłby zupełny, gdybym się dowiedział, żeś pani wyszła za człowieka rozumnego, zacnego i serjo... tegom sobie życzył...

Zaczął tonem na pół drwiącym, skończył z drganiem rozrzewnienia w głosie i dodał:

— A teraz...

— Co?.. — zapytała hrabianka zaniepokojona.

— Bartkowi polecę, ażeby bociany doglądał, sam zaś manatki swoje spakuje i wyjadę...

— Kiedy?.. dokąd?..

— Jutro pani... do Poznania... Poszukam sobie zajęcia innego ..

— Nie czyń pan tego... dla... dla... bocianów... —wyjąkała z naciskiem, który się nie do bocianów odnosił.

— Zastępca mój...

— Ach! nie...—przerwała. Co tam bociany!.. i ja bym je doglądać potrafiła... Odjazdem swoim sprawiłbyś pan przykrość tej istocie, która, jak się zdaje... obchodzi pana trochę...

— Obchodzi mnie tak trochę—podechwycił—że, gdybym wiedział, iż szczęście jej, życiem swoim okupię, nie wahałbym się życie dać... Romantycznie to wygląda...—mówił dalej prędko tonem przekąsu. W czasach naszych nie praktykują się rzeczy takie, pomimo, że i w czasach naszych istnieją uczucia i namiętności te same, co w epoce romantyzmu najbardziej rozczochranego; wiem, że życie moje na nie by się nie przydało: z tem wszystkiem... ot, żałuję, że się z panią zeszedł i kilku frazesów nieoględnym z ust wymknąć się dał... Żałuję tego mocno, mocno.. Adieu, będziemy do siebie na Berdyczów pisywali, jeżeli pani pozwolisz...

— Przedewszystkiem nie pozwolę panu rzucać mnie tak...—podechwyciła hrabianka, widząc pana Piotra zwracającego się, celem zabrania drabiny. To niegrzecznie i nieludzko... Czy to pan sobie tylko przyznajesz... uczucie?..

— Pomiedzy nami, pani, taki przedział... taki przedział głęboki i szeroki, że go nie zapelni uczucie najpoważniejsze, nie przeskoczy najsubtelniejsze...

— Przedział majątkowy...—bąknęła.

— Ach! nie... Jam od pani bogatszy; ale pani masz w łodzi swojej taki wojewodów i kasztelanów, wyobrażeń i przesądów balast, z którym, gdybyś do mojej wsiadła, poszlibyśmy na dno oboje... O mnie mniejsza; ale... pani...

— Przymawiasz mi pan i ubliżasz... Cóż ja z tym balastem od pana lepszego!..—zawołała, protestując.

— Hm hm. —zaśmiał się. Opowiem pani historyjkę. ...Był sobie oficerek pewien, pokochał córkę magnata i z powodu miłości tej kraj ojczysty opuszczać musiał... Tenże sam oficerek zagranicą rozgłosu się dobił po jakimś czasie, jako generał, do kraju przybył; serce jego przemówiło powtórnie; panna go kochała; była to córka nie magnata już, ale szlachecka karmazyna; ojciec ręki jej ukochanemu przez nią

odmówił i dla tego, że był to tylko... Kościuszko... Co?..

— O panie...—zaczęła panna Tekla.

— Proszę mi pozwolić dokończyć... Ja się do Kościuszkowstwa nie poczuwam... Daleko mi do tego olbrzyma w sukmanie... Gdyby żył, nie byłbym godzien wiązać mu rzemyków u trzewików... Ja Ostrożko i dla tego przedział pomiędzy mną a hrabianką Gracką bez porównania większy, aniżeli pomiędzy Kościuszką a nie tamtą pierwszą magnatką, ale tą drugą, w której ojca oczach kolega i przyjaciel Washingtona był figurą za mało dostojną... Co?..

— Proszę pana. . Czasy się zmieniły... Papa... papa mój demokrata...

— A ha!.. Pani, demokracja jest dwojaka: jedna się wyznaje, druga praktykuje... Zachodzi pomiędzy nimi różnica ogromna.., demokrata praktykujący nie stawiałby pałacu ..

Na rysujący się na tle nocy gmach ręką wskazał.

— Pan wszystko czynisz, ażeby mnie od siebie odepchnąć...—poskarżyła się hrabianka.

— Przeciwnie odpycham siebie od pani...

— Nie wyrządzaj że mi tej przynajmniej krzywdy i nie odjeżdżaj. . Proszę pana... bardzo proszę...

— Ach!.. o to mnie prosić nie trzeba... Zdobyć się chciałem na heroizm, nie dla chluby, ale dla spokoju... Zdobyć się mi łatwo na heroizm odwrotny: spokój zahazardować, a szukać chluby w tem, żeś pani na mnie łaskawa...

— Co za mowa!.. co za ton!..—zawołała panna Tekla w oburzeniu prawie.

— Gniewasz się na mnie?...—zapytał z akcentem wymówki łagodnej.

— Kogóż by z cierpliwości nie wyprowadziło rozumowanie podobne!.. Przedział? . — rzekła, jakby sama do siebie. Czyż przedziałów tego rodzaju nie zapelnia niekiedy wola?..

— W balladach średniowiecznych, kiedy to kochanek kochankę... „w noc poślubną napadł, na konia porwał i w ziemię się zapadł...” Dobrze to było na moment taki krótki, jak odczytanie ballady i westchnienie na los bohatera i bohaterki, ale nie na życie całe, życie pracy, idące od młodości ku starości i wytyczone temi drogowskazami, co obowiązki nazwę noszą... Wobec tego, niestety, sercu milezenie nakazać i rozumować potrzeba...

Panna Tekla na razie nie na to nie odpowiedziała. Noc nie pozwalała wyrazu oblicza jej widzieć. Naokoło milczenie chwilowe, które przerwała ona.

— Oh!..—odezwiała się. Jakżem się od pana nauczyła wiele!.. Wydaje mi się, że w ciągu rozmowy tej myślą dojrzała... Zobaczymy, co z tego wypadnie; co by nie wypadło jednak, wdzięczna sobie jestem, że się wyjść odważyła... Szyderstwa pańskie drogę mi wskazują, drogę trudną, ciernistą... Ale...

Urwała. Po chwili:

— Dobranoc panu...—rzekła i odeszła.

Pan Piotr stał nieruchomie tak długo, póki postać jej wśród drzew nie znikła, następnie po drabinie do góry wszedł, bociany baranicą okrył, zeszedł, drabinę na plecy zabrał i oddalił się.

VII.

Dojrzała—w rzeczy samej dojrzała. Stało się to w przeciągu godziny niespełna. Jak więzień Crilonu posiwał w noc jedną, tak panna Tekla w godzinę dojrzała. Cud li to był?—Jako żywo. Fenomeny tego rodzaju powtarzają się dosyć często pod warunkiem, ażeby grunt pod nie był przysposobiony. W momencie, w którym się rozpoczyna młodość, w człowieku zachodzi zmiana fizyczna i moralna. Jedna z drugą się wiąże, jedna na drugą oddziaływa, ulegając działaniu wpływów rozmaitych. Jedno słowo niekiedy wystarcza do wskazania drogi.

Hrabianka od pana Piotra dowiedziała się wiele. Otworzył się przed nią nowy świat. Dowiedziała się, np., że on od niej bogatszy, to znaczy, że potrzeby jego do zaspokojenia łatwiejsze są, aniżeli jej. Dowiedziała się o demokracji praktycznej, o życiu idącym ku starości a zależnem od pracy i wytyczonem obowiązkami, o tem że pan Piotr nazywa się Ostróżką i pielęgnuje w duszy swojej kult dla Kościuszki, o tem wreszcie, że pomiędzy nią a nim lata „gołąb biały,” który „nosi wieści” jej o nim i jemu o niej, inaczej bowiem, z kąd-że by się wziąć mogła ta nie sympatyczna, która serca ich osnuła! Dowiedziała się i o tem jeszcze, że ją czeka wyjście za mąż za kogoś, nie oddzielonego od niej przedziałem.

To ostatnie zastanowiło ją mocno, zajęło jej czasu dużo. Noc jej upłynęła bezsennie; zasnęła gdy świtać począł; mimo to obudziła się

w porę, ażeby oglądać pana Piotra, dającego bocianom pożywienie. Przyszedł, jak przychodził zwykle; po drabinie do gniazda się dostał; ptaki do niego szyje wyciągały.

— Obowiązek...—rzekła do siebie hrabianka—dobrowolnie przyjęty...

Śledziła za nim następnie przez dzień cały. Widziała go przy robotnikach: jak go oni otaczali i słuchali, jak on im skazówki dawał, jak wymierzał, cegły układał, cementem zalewał, kielnią gładził. Wieczorem pod drzewo nie poszła; przez noc zaś rozmyślała nie o urokach romansu, prowadzonego po za wiadomością ojca i matki, braci i świata całego, ale o tej drodze, na której człowiek pożytecznym stać się może sobie i drugim. W myśli jej plątały się dwa nazwiska: Kościuszkó i Ostróżko. Upatrywała pomiędzy niemi nie tylko podobieństwo brzmienia, ale i powinowactwo jakieś—rodzaj pokrewieństwa moralnego. Gdyby Kościuszkó nie generałem, ale dozorcą był, wywiązywałby się z zadania swego nie inaczej, jak Ostróżko. Robotnicy by go tak samo otaczali i słuchali; on by im tak samo skazówki dawał. Rozmyślając tak, zwracała się ustawicznie myślą ku osobistości własnej i przypominała sobie opowiedzianą przez pana Piotra „historyjkę.” Historyjka ta sprawiła jej przykrość wielką.

W domu szło wszystko trybem zwyczajnym. Graf krzątał się. Porankami odczytywał gazety i listy z poczty przynoszone i w dobrym był humorze, albowiem—jak powiadał—„kluje się”: przy obiedzie z córką się schodził; po obiedzie niekiedy wyjeżdżał, niekiedy gości z sąsiedztwa przyjmował i szeroko o polityce rozprawiał. W dni parę później nadjechał Masio—młody hrabia.

Młody hrabia łączył w osobie swojej wszystkie, cechujące ten rodzaju człowieczego gatunek przymioty. Był to *jeune homme accompli*, trochę anglik, nieco polak, wychowaniec zakładu, który się znajdował pod dyrekcją księdza Jana Zmianko i miał na celu układanie młodzieży w widokach specjalnych, a zatem utylitarysta w rzeczach wiary i indferentysta we wszystkim, z wyjątkiem tego, co się osoby jego tyczyło. Zakład ów, słynny w czasie swoim, wytknął był sobie za zadanie, przygotowanie obrońców narodowości polskiej na podstawie katolicyzmu. Ponieważ jednak podstawa ta do narodowości nie przystaje, a zatem chwiała się i jedna



Ucałował jej rękę...

i druga, pozostawiając jeno to, co po środku stało. Ogół elewów ćwiczył się w sztuce udawania i brał takową za przewodniczkę w życiu. Sztukę tę pan Maurycy posiadał w zupełności. O ile ojciec, człek dawnej daty, był szczery i otwarty, o tyle syn myśli kryć umiał głęboko i nałamywać się do towarzystwa, w jakim się znajdował, zachowując przy tem pozory człowieka niepodległego. Do specyalności nie usposobił się żadnej, skąd poszło, że umiał szukać losu w kierunku nie innym, jeno w tym, jaki mu jego tytuł, prezenya i młodość nastęczały. W tymże samym kierunku szedł i brat jego starszy, z tą jedynie różnicą, że, stojąc z pułkiem w Westfalii, w odmiennem znajdował się otoczeniu. Tamten polował i ten polował, hrabia Bolesław na niemki, hrabia Maurycy na polki. Grafa to potrosze gniewało.

— Co u licha świętego!.. — odzywał się niekiedy. Czy im to potrzebne!..

Niestety, potrzebnem im było. Potrzeba naciskała hrabiego Maurycygo zwłaszcza, nie mającego przed sobą karyery, która się bratu starszemu nastęczała. Ten ostatni czekać mógł w wojsku na uśmiech fortuny i, w razie gdyby się takowego nie doczekał, kierować się, jeżeli nie na generała, to bodaj na pułkownika; tego zaś nie podtrzymywała i nie ochraniała specyalność żadna od ciosów, jakie rokowała ruina majątkowa. Nie pozostawało mu nic innego, jak ożenić się dobrze. Był to dla niego wóz i przewóz, albowiem szanowny dyrektor zakładu edukacyjnego, znany z tego że słów w bawelnę nie obwijał, odsadził go nawet od drogi kapłańskiej, na którą młody hrabia gotów by w ostateczności wejść.

— Masz być kiepskim księdzem, przyklej się do lafiryndy jakiej, która się uhrabić zechce... Gęsi jest tyle, Bogu dzięki, że na tego rodzaju karyerę rachować możesz... ufaj tylko sam sobie...

Graf, który w rzeczach wiary za wonomyślne go się podawał, synów zaś do zakładu księdza Jana Zmianko oddał nie z przekonania, ale dlatego tylko że oddawali inni, inaczej o hrabi Maurycym myślał. Upatrywał on w nim uzdolnienia dyplomatyczne, przejęte od matki.

— Wykapana Gidulcia... — powiadał.

Młody hrabia, w rzeczy samej, matkę przypominał bardziej, aniżeli ojca, i to tak pod względem rysów oblicza, jako też pod względem uspo-

sobień moralnych. Wydawał się o ile światowym, o tyle głębokim. Za takiego w oczach ojca uchodził. Stary hrabia chętnie by go hrabinie do boku dodał, gdyby nie ta okoliczność, że tego rodzaju *adlatus* drogo kosztował. Próba, jaką we względzie tym razy parę uczynił, nauczyła go ostrożności. Hrabia Maurycy towarzyszył matce raz do Paryża, drugi raz do Ostendy i pokazało się, że trzeba, ażeby posiadał na cel ten środki inne, aniżeli te, jakich Śródborze dostarczyć mogło. Stan ten pogorszył się jeszcze od czasu, jak się pałac budować zaczął. Budowla pochłaniała tyle!

Młody hrabia przyjechał tedy na wypoczynek po kampanii karnawałowej, która się dla niego przeciągnęła długo, a to dla powodów bardzo ważnych. Miał przedmiot upatrzony i przedmiotu tego, reprezentującego sto pięćdziesiąt tysięcy talarów, związanych węzłem nierozzerwalnym ze skrofulami, pilnować musiał. Przedmiot ów zwał się zdrobniale Misia. W brzmieniu imion — Misia i Masio — zachodziło podobieństwo, na któreby, we względzie doprowadzenia rzeczy do rezultatu pomyślnego, rachować można, gdyby na skrofuly nie było, obok młodego hrabiego Grackiego amatorów więcej. Biedak się pocił, wysilał, kochał, mięso surowe jadał i pewnym nie był. Kłopotał się tem wielce. W kłopotach jego udział moralny brali matka, ojciec i siostra: matka dla talarów; ojciec dla tego, że skrofuly owe z dobrogo pochodziły gniazda; siostra dla powodu, dla którego siostry zazwyczaj po stronie braci stają, gdy się cele matrymonialne na widoku mają. Przytem panna Tekla przypuszczała, że Masio kocha — kocha mimo wszystko, to jest, pomimo to, że Misia ramię jedno wyższe miała od drugiego, że nieco kulała, że wyglądała niby połamana i że przez jeden z policzków z pod szczęki dolnej do oka przechodził szew, który krzywił usta i rozdwajał jej powiekę dolną. Drugi policzek był niczego. Politowanie brało, patrząc na nią. Pomimo to przypuszczała hrabianka, że pan Maurycy tę pokaleczoną istotę kocha, jeżeli nie dla czego innego, to dla tego, że ona temu niewinną była.

Nie przypuszczali tego ani ojciec, ani matka, a jednak życzyli sobie bardzo, ażeby się to stało jaknajprędzej pobrało. Z tego powodu, gdy pan Maurycy w domowe zawitał progi, po powitaniach i po przejściu chwil pierwszych pobytu, prędko się zawiązała rozmowa o Misi.

— Cóż tam?.. jakże?..—zapytał graf. Sprawy sercowe pełnemi płyną żaglami?.

— Płyną — była młodego człowieka odpowiedź—ale w kierunku zmienionym...

— Lawirujesz, celem wejścia do portu...

— Tak... ale nie do tego, co ojciec myśli...

— Co!.. Misia?..—zawołał graf w przerażeniu prawie.

— Misia... a!.. Powiedziałbym: niestety... gdyby mi się inne nie odkrywały widoki...

— Lepsze?.. co?..

— Trzy razy z górą...

— Pięćkroć?..

— Pięćkroć...

— Amh... — odetchnął graf z akcentem zadowolenia i po chwili zapytał: — W ziemi?..

— W gotówce...

— Uhm?... — mruknął sam do siebie, lecz w mruknięciu tem akcent zadowolenia przebiegał się słabo.

Obecna rozmowie tej panna Tekla ze zdziwieniem się w brata wpatrzyła i, gdy ojciec zamilkł, odezwała się.

— Jakto, Masiu... tyś z Misią zerwał?..

— Nie zerwałem tego, co związaniem nie było...

— Byłeś nią tak zajęty!..

— Cóż stąd!.. Zajęcie bywa wielkie, większe i największe.. Wielkie ustępuje większemu...

— Więc?..—i ucieła.

— Nastąpiła rzecz bardzo prosta... Odwróciłem się od jednej a zwróciłem się do drugiej...

Rozmowa ta nie nader mu snadź miłą była, dla przerwania jej bowiem zapytał ojca:

— Jakież od matki wiadomości?..

— Nie złe... dobre... Gada francuzom na prusaków i gadanie jej na wiatr nie idzie... Nie strawią oni Hohencollerna na tronie hiszpańskim...

— Nie zapowiada mama przyjazdu?..

— A skąd!.. Teraz nie może... Józef powiada, że bez niej nic się nie zrobi... Poczyniła kroki, celem widzenia się z Napoleonem i nagadania mu prawdy we cztery oczy... Prusacy pchają się do Hiszpanii po to, ażeby Francją we dwa ognie wzięść... Trzeba, żeby Napoleon wiedział o tem...

— Toć jemu to mówić muszą...—wtrącił hrabia Maurycy, z pewną zaakcentowaną niechęcią, obojętnie słuchając wywodu ojcowskiego.

— Kto?.. — podchwycił graf. Nie czytujesz gazet chyba... Wszystko się tam bawi a bawi...

Bale, recepcye, polowania... Wioski by administrować jak należy nie można, gdyby ekonom i włóдарze ustawicznie w karczmie siedzieli i tańcami się zajmowali, nie dopieroż takiego jak Francya cesarstwa... Jak miarkuję, ministrowie Napoleona muszą być zawsze albo objedzeni, albo przepici: jakże oni mieć mogą jasne o rzeczy pojęcie!.. Ludzie ludźmi... O...

Młody hrabia westchnął i przybrał minę sceptyka, puszczonego uchem jednym to, co wchodzi drugim. Rezonowanie ojca widocznie do przekonania jego nie trafiało.

— Ludzie ludźmi...—powtórzył graf z naciskiem. Człek objedzony trawić, spity trzeźwić się musi: jakże oni o sprawach i interesach nie tylko myśleć, ale i wiedzieć mogą!.. Zachodzi niepodobieństwo fizyczne...

— Przecież papo, przy każdym z nich są urzędnicy, obowiązani kwestyi specjalnych pilnować i o takowych referować codziennie, w godzinach oznaczonych...

— Nie powiadasz mi nic nowego.. Wiem o tem... na to jednak odpowiem ci tak: spróbuj, spij się dziś wieczorem, a ja jutro rano będę ci referował o tem, że ksiądz Zmianko zdmuchnął ci Misie z przed nosa: czy rozumiesz o co chodzi?..

Pan Maurycy uśmiechnął się i odparł:

— *Argumentum ad hominem*... Wyznać należy że papa wykłada rzeczy jasno...

— Owóż widzisz... Umieć się potrzeba stawiać w położeniu ludzi...

— Skądże pochodzi, że się jakoś rozstrzygają wielkie kwestye gabinetowe?..

— Ztąd, że pomiędzy żołądkami i głowami zachodzą różnice, jedne bywają słabsze, drugie mocniejsze; ludziom jednym przedstawienie rozumne trafia do przekonania łatwiej, drugim trudniej: dla tego jedni nad drugimi górę biorą... Ot co...

— Ale tenże porządek zegarkowy!..

— Urobił się sam przez się za pomocą prób, które się odbywały przez ciąg wieków... Kleił się, rozklejał, znów się kleił, aż w mierze stanął, luboż nikt nie zaręczy, czy się nie rozklei jeszcze... Zresztą, tu nie o porządek ów chodzi ale o to, żeby prusakom, po Sadowie jak pęcherz nadętym, kurtę skroić... Ja ich pałacem w oczy kole, a matka wasza, ze swojej strony, zabiegi czyni... Jedno z drugiem rezultat sprowadzi... *Qui ne risque rien n'a rien*...

Rozmowa się tym razem skończyła. Młody hrabia znał upór ojca, nie próbował przeto nawet występować przeciwko takowemu. Panna Tekla nie do powiedzenia nie miała, tem bardziej że pozostawała pod wrażeniem wiadomości o zerwaniu brata z Misią i wiadomość ta całkowicie ją zajęła. Jak się to stać mogło. Słyszała cyfry, które wymówione zostały. Domyślała się, że rzecz z cyframi temi styczność ma; nie przypuszczała atoli, ażeby odgrywały one rolę główną i decydującą. Zająć przeto musiało coś innego i w mniemaniu jej ważniejszego, co serce brata ostudziło dla Misi a rozgrzało dla innej. Dla jakiej innej? Tego pan Maurycy nie powiedział; nie spieszył z wymienieniem imienia i nazwiska nowych zapalów swoich. Czemu? Była to zagadka, rozwiązanie której żywo pannę Teklę obchodziło.

— Masiu — zapytała, znalazłszy się z bratem w parku sam na sam — powiedz mi, kogo będę za bratową miała?..

— Ciekawaś... he?.. — odpowiedział żartobliwie.

— Czy cię to dziwi?..

— Bynajmniej... Powiedziałbym ci, gdyby...

— Gdyby nie co?..

— Gdyby nie zachodziły okoliczności, wymagające, ażeby się rzecz przed czasem nie rozgłaszała...

— A?..—odezwiała się. Zachodzą więc okoliczności takie ..

Wyrazy ostatnie wymówiła, myśląc o sobie i o panu Piotrze. Nie zachodziła tu na pozór styczność żadna. Zachodziło jeno podobieństwo jakieś dalekie, odnoszące się do sytuacji. Panna Tekla westchnęła. Pan Maurycy prawił dalej, idąc obok siostry powoli i uderzając się zlekka trzymanym w rękę pręcikiem po nogach:

— Rzeczy bowiem tak się układają, że od powodzenia mego zależy los twój...

— W jaki sposób?..

— W sposób bardzo naturalny... Wyjdiesz za mąż...

— Nie rozumiem...

— To przecie do zrozumienia łatwe... W czasach naszych panny bez posagu, albo za mąż nie wychodzą wcale, albo wychodzą bardzo źle...

— Czyż ja panna bez posagu?..

— Toś o tem nie wiedziała!.. — zawołał w przestachu niby. Jakże mi przykro, żem tem

słówkiem, niebacznie wyrzeczonem, przykrość tobie sprawił!.. Wybacz mi, Lusiou...

— Nie sprawiłeś mi przykrości najmniejszej...

— Rewelacya ta jednak nie może ci być miłą...

— Owszem... Gdyby do rewelacyi tej przyłączyła się jeszcze jedna, czułabym się zadowolona zupełnie...

— Jaka, jeżeli zapytać wolno?..

— Żem ani hrabianka, ani nawet szlachećka...

— Masz racyą...—odrzekł po chwili zastanowienia. Nazwisko bez majątku staje się trudnym do dźwigania ciężarem... Masz wielką racyę... Nie spodziewałem się, że znajdę w tobie taki głęboki i dojrzały na rzeczy pogląd... Majątek bez nazwiska... uchodzi, ale nazwisko bez majątku jest ironią, która o opatrności wątpić każe... A ba.. gdybym ja majątek posiadał!..

— Mnie się zdaje... — zaczęła panna Tekla głosem, w którym się wahanie niejake czuć dało—że... Śródborze...

— Śródborze...—powtórzył pan Maurycy, pręcikiem na odlew machnąwszy.

— Pałac...

— Owóż pałac ten dobija Śródborze do reszty... Mówię ci o tem dla tego że, kiedyś się przed tobą wyrwał z odkryciem, które cię przez pół wtajemniczało, lepiej więc przeto, ażebyś wiedziała o wszystkim... Na utrzymanie pałacu takiego, potrzebaby Śródborzy trzech przynajmniej niezadłużonych... Nie wystarczy jedno w landszafcie zastawione i długami prywatnemi obciążone...

— Papa jednak... ma nadzieję...—wtrąciła.

— Opartą na przypuszczeniach, które, gdyby się nawet ziściły, nie oczyściłyby Śródborza... Któż za kogo długi płaci?..

— Papa przecie... papa... mama... — dyskutować panna Tekla chciała, ale się jej argumenty nie składały.

— Papa i mama ludzą się, licząc na to, że prusacy długi popłacą... Prusacy wprawdzie długi płacą, ale w warunkach pewnych: należy majątek odłużyć, politycznie nabroić i za granicę umknąć; w razie takim dobra się sekwestrują, administracya skarbową oczyszcza takowe, emigrant wraca na mocy jakiej ogólnej lub szczególnej amnestyi i... *le tour est joué*: zdobywa się sławę i powraca do majątku...

— Ależ to niegodnie!.. — podchwyciła panna Tekla.

— Godnie, czy niegodnie, ale tak się robi, gdy kto chce się prusakami posłużyć...

— Papa by nie zrobił tego...

— Faktem jest, że nie zrobił; nie wchodzę w to, czy dobrze czy źle; zaznaczam jeno fakt straszliwie dla nas wszystkich groźny...

— Groźny?..—powtórzyła hrabianka z akcentem pół-zapytania.

— Czy masz ty jakie o następstwach wyobrażenie? Czy pojmujesz, co to znaczy ubóstwo?..

— Przeciwno ubóstwu jest obrona...

— W czym?..

— W pracy...—odpowiedziała rezolutnie, mając wyraz ów w pamięci z rozmowy z dozorcą.

— Cha cha cha...—zaśmiał się hrabia Maurycy. Rzecz zabawna, wyraz ten w ustach twoich... Zkąd ci się on na usta przyplątał?..

Panna Tekla zmieszała się, jakby na gorącym schwytaną została uczynku. Oczy na brata podniosła i niepewnym głosem odpowiedziała:

— Ludzie pracują przecie...

— Jak jacy... Jedni pracują, drudzy nie... Tak się społeczność urządziła i przeciwko temu środka nie ma... Ztąd wypada, że jedni są do pracy usposobieni, drudzy nie, a do tych ostatnich należysz ty, należę ja, należą rodzice nasi i... dla nas rady nie ma... Czytałaś „Nieboską komedję”? Wiesz jak skończył hrabia Henryk?.. Oto rada jedyna dla ludzi z nazwiskiem bez majątku...

Panna Tekla milczała; pan Maurycy prawił dalej:

— Wyobraź sobie bowiem rodziców naszych, na przykład, zmuszonych się pracy jać... Jakiej?.. Do czego oni?.. Z łaski chyba, przez wspaniałość, wziął by kto ojca na ekonoma, matkę za klucznicę, albo, co gorzej na chleb łaskawy... Podobano by się to tobie?..

— Masiu!..—zawołała z akcentem wymówki.

— Ha! rzeczy po imieniu zwać należy, gdy sobie z położenia jasną zdać chcemy sprawę...

— Nie masz więc rady, powiadasz?..

— „Nie masz bo rady dla duszy kozaczej...” — zaintonował pan Maurycy i mówił dalej prozą: — chyba w tem, ażebym się ja ożenił dobrze, ażebyś ty dobrze za mąż wyszła... W sposób ten, nie przez nas wynaleziony, ratują się rody na świecie całym... Korona królewska bywa żelazna, i to wyjątkowo, jedna na kuli ziemskiej,

nie licząc rozumie się królestw na Oceanii i w głębi Afryki, gdzie monarchowie przyozdabiają skronie w skorupy z orzecha kokosowego, lub wroniłe miedziane u eksploatatorów europejskich skradzione; ale korona hrabiowska musi być ze szczerzego złota a gałki na niej z pereł prawdziwych... Jest to konieczność, wynikająca ze stosunku hrabiego do króla...

— Komu zaś na złoto nie starczy...—wtrąciła panna Tekla.

— Niech szuka sobie okopu Św. Trójcy i w przepaść skoczy, zamiast czego jednak hrabiowie zbankrutowani tegocześni szukają okopów innego rodzaju, a mianowicie: żon bogatych... Krotko powiedziawszy, moja Lusi, proponuję tobie przymierze, zaczepne i odporne... Pomagaj mnie; ja się zobowiązuję pomagać tobie... Mam rzecz napiętą, która się ojcowi z pewnością nie podoba... Popieraj mnie w obec niego...

— Dobrze... — odpowiedziała panna Tekla przeciągle—kiedy ci o to chodzi...

— Chodzi mi o to, zwłaszcza że mamy nie ma... Przy pomocy mamy, wolniejszej od przesądów pewnych, aniżeli papa, sprawa poszłaby gładko... Popieraj-że mnie, szczerze.

VIII.

Kto z tych, co się w zakładzie księdza Jana Zmianko wychowywał, nie znał żydówki, co nosiła w koszyku przysmaki rozmaite, owoce suszone, orzechy włoskie i tureckie, pierniki, makagigi, makaroniki, karmelki i sprzedawała takowe studentom? Sprzedawała—byłoby to nie wiele jeszcze; ale co wartość jej wysoce podnosiło, była ta osobliwość, że na kredyt dawała. Studenci obdłużali się u niej po uszy, co znów osobliwością było, albowiem w tym wzorowie urządzonym zakładzie jaknajsurowiej przestrzegano stosunku studentów do podnoszących specyały przekupniów. Ona jedna na osobnych znajdowała się prawach: miała monopol kredytowania i trafiało się, że względem niejednego z wyrostków, zapelniających zakład, stawiała się wierzycielką na talara całego. Zkąd łaska ta pochodziła? Z łask. Żydówka posiadała księdza dyrektora względy, które skarbiła sobie za pomocą przysług drobnych, jakie mu oddawała. Jakież to były przysługi? Rozmaite a drobne. Opowiadano, na przykład, że w sławnej wyciecz-

ce do Hamburga, z powodu której dzienniki w swoim czasie wrzawy dużo narobiły, wołając jedne „zgorszenie!” drugie „oszczerstwo!”, w wybieczce odbytej w towarzystwie milem, umiennie towarzystwa było dziełem żydówki owej. Ona wypośredniczyła. Nie był to dla publiczności sekret zgoła i spodziewano się ztąd dla zakładu następstwa tego, że po wakacjach ojciec żaden syna w takowym nie umieści, że matki będą się od owego odżegnywały. Nie nastąpiło jednak nic podobnego. Przeciwnie. Wypadek ów stał się reklamą potężną dla zakładu, który się nappełnił po brzegi i do którego oddał synów graf nawet, pomimo że trzymał stronę tych, co o autentyczności faktu nie wątpili. Z wieńca więtości dyrektora zacnego nie odpadł listek ani jeden; zakład funkcjonował dalej w porządku wzorowym i, jak przedtem, kupcowa pozostawała w łaskach. Jak zwykle, studentom udzielała kredytu i, księdzu dyrektorowi, przysługi drobne świadczyła.

A była to kobieta ni młoda ni stara, nie brzydka ni piękna; należała do tego rodzaju niewiast odważnych, co to nie przebierają w środkach, gdy chodzi o zarobek. Łakocie obnosiła, a przytem faktorowała, pośredniczyła, stręczyła, grosze ściągala, ale takowych nie zatrzymywała, a to z powodu klątwy, która na niej ciążyła, wyrażająca się w ten sposób, że ani do majątku dojść, ani potomstwa doczekać się nie mogła. Jedno zależało od drugiego, a raczej, od potomstwa zależał majątek. Dzieci, uważane u żydów za błogosławieństwo boże, zapewniają powodzenie przez to, że ściągają pomoc ludzką, a ściągają pomoc dla tego, że takowa zwraca się ochoczo w stronę, nad którą błogosławieństwo boże świeci. Żyd ubogi, rodziną liczną obarczony, łatwiej znajduje poradę, skazówki i odgrywające bardzo ważną w operacjach handlowych rolę spółnictwa, aniżeli bezdzietny. Ten ostatni uchodzi za niebezpiecznego. Bo — i dla czegoż on bezdzietny? Dla powodu nie innego, jak dla tego, że klątwa nad nim ciąży, klątwa groźna Jehowy, który plemieniu izraelskiemu wskazał w przyszłości tryumf w połączeniu z mnożeniem się. Żydówka przeto, co plemienia nie mnoży, jest polem jałowem, o które się troszczyć nie warto; żyd, co potomstwem się nie otacza, jest zerem, które na uwagę nie zasługuje. Chodzi o to, ażeby ciężąca nad głową jego klątwa nie przeszła na głowy inne, nie ogarnęła tych, co by mu doradzali

i skazówek udzielali, co by z nim spółki zawiazywali. Ztąd poszło, że kupcowa nadaremnie grosz do grosza składała i kwoty uciulane mężowi oddawała. Nie wiodło się im. Ile razy Srul Kalisz na operacyę jaką się porwał, regularnie tracił. Brał się do drzewa — drzewo się pokazało spróchniałe; chwytal się jabłek — jabłka zgniły zanim je na sprzedaż wystawił. Czuł się pod ciężarem niebłogosławieństwa i, zrozumieć nie mogąc, skądby ono pochodziło, zagłębiał się w księgach, oddawał się nabożeństwu, błagał Stwórcę o zwrócenie ku niemu oblczca. Nikt nad niego skrupulatniej nie pełnił obowiązków religijnych; żaden żyd głośnieji w bóżnicy nie krzyczał i zapalczywiej się nie kiwał. Przerwy całe po lat kilka trwające pomiędzy próbą jedną a drugą obracał na modlitwę, w której, rzecz można, nieustawał; wydосkonalił się w tem; stał się uczonym, nabożnym, przykładnym; najgłębszy rabin nie by mu do przyganienia nie miał, najbieglejszy małamed nie złapałby go na niczem; znał wszystkie Jehowy imiona, wiedział wszystko o lichtarzach i aniołach; wiedział ile razy wyraz który w talmudzie jest napisany, wiedział dla czego koza daje mleko nie zimne, ale ciepłe, pomimo że ogon do góry nosi; ust trefnem nie splamił nigdy, cebulę jadł, pieprzu sobie żałował: mimo to wszystko, Pan Bóg mu nie błogosławił.

— Nu?..

Ze swojej strony Chana Pana Boga nieobrażała niczem. Że goimom na kredyt dawała, toć ona nie na tem nie traciła; chłopcy płacili jej cò do grosza, z wyjątkiem jednego, do którego ona słabość czuła i którego by wolala widzieć żydem, aniżeli grafiątkiem. Rzecz to jednak małej w oczach Jehowy wagi. Cóż ona na tem traciła! Owszem — zyskiwała, grafiątko bowiem brało na kredyt i przez to zachęcało chłopców innych do nabierania makaroników i karmelków, rachunek za które pokrywał z nadwyżką długi u grafiątka. I dla czego ona je miłowała? Dla tego, że mieć pragnęła takiego synka, jak ono — rumianego, czupurnego, nie chudego, nie bardzo jednak tłustego. Tego talmud nie zabraniał, kabała nie zabraniała, w tem nie było grzechu najmniejszego przeciwko przykazaniom i zakonowi. Chana znajdowała się w porządku pod względem tym, jak pod każdym innym, napędzającym jej grosz po groszu. Można by jej zarzucić łaski u księdza. Ależ ksiądz ów dla

niej znaczyl to samo co każdy nie-ksiądz; a łaski zaś jego stanowiły nie co innego, jeno wymianę przysług, które z jej strony tłómaczyły się pośrednictwem lub dostarczycielstwem, ze strony jego gotówką. On potrzebował, ona potrzeby jego zaspakajała—jakie?—w to nie wchodziła—to do niej nie należało. Pilnowała swego nosa, nie zaś cudzego prosa „dostawała rebuschem”, którego nie kradła, które zarabiała, chodząc, pukając, szukając, ugađując się, tracąc czasu duzo i łożąc trudów nie mało. Urządzenie owego towarzystwa milego do Hamburga—ileż ona na to zachodów wyłożyła! Nie miała więc sobie nic do wyrzucenia w obec Jehowy i nie rozumiała, za co na siebie niebłogosławieństwo ściągnęła.

— Za co?.. ny?.. Czy ja co złego Panu Bogu zrobiła?..

Dla upewnienia się we względzie tym, gdy się pieniędzy uzbierało trochę, zaproponowała mężowi pielgrzymkę do rabina sławnego, chusyty wielkiego, który w Kutnie mieszkał i ludziom radził na dolegliwości fizyczne i moralne. Było to i nie blisko i za granicą. Cóż robić jednak! Srul pomyślał, pomedytował i propozycję żony przyjął tem chętniej, że miał na widoku spróbowanie handlu rybami i handel ów wyszykować chciał na te święta chrześcijańskie, w których goimy na potęgę rybę jedzą. Są to święta Bożego Narodzenia. Chana z powodu wakacyi mniej zajęcia miała. Zebrali się przeto i odbyli pielgrzymkę, która ich wiele na duchu pokrzepiła. Rabin zadawał im pytania, co do zachowywania zakonu, no i nie znalazł do przyganiania nic zgola, a to tem bardziej, że Srul okazał się biegłym w rozwiązywaniu kwestyj zawitych, takich np.: czy żyd popełnia grzech, gdy w szabas pisze?

— Żyd grzechu nie popełnia, gdy pisze jedną literę, popełnia gdy pisze dwie: gdy przeto kreśli raz jedną, potem znów jedną, potem jeszcze jedną, napisać może liter tyle, ile się mu podoba i duszy grzechem nie obciąży...

Sam rabin by nie wyjaśnił tego lepiej. Poznał więc mąż uczony, że ma do czynienia z człowiekiem świadomym zakonu i prawym w obec Najwyższego i nie umiał wytłómaczyć inaczej niebłogosławieństwa, jak za pomocą przypuszczenia, iż Bóg go doświadcza. Czyż nie doświadczał Abrahama? Czyż nie doświadczał całego ludu wybranego w pustyni? Z tem rabin odesłał

Kaliszostwo; powrócili pocieszeni i pokrzepieni i Srul z ufnością przystąpił do interesu rybnego, przedstawiającego się w sposób bardzo obiecujący. Pyl do zaarendowania staw, który właściciel niemiec spuścić zamierzał. O szczupakach, karpach i linach, w stawie tym przebywających, cuda opowiadano. Cena arendy nie była wygórowana. W kontrakcie warunek najcięższy dotyczył się sposobu wypłaty, której właściciel stawu domagał się z góry, w całości, gotówką. Srul liczył, przeliczał, myślał, wahał się, do Pana Boga wzdychał, kontrakt wreszcie podpisał i gotówkę wyliczył. Ostrzegano go, że baron ów (baron to był) *a szajger puryc*; ale kontrakt napisany był tak wyraźnie, że, zdawało się, nie pozostaje, jak wykonać takowy. Sam bowiem baron powiadał:

— Myślę nad tem, jakby ciebie, trzeba, oszukać i nie wymyślić nie mogę...

Interes zapowiadał się świetnie; zysku, lekko licząc, sto na sto, jeżeli nie wyżej. Pomimo to z żydów ani jeden nie stręczył się Srulowi na współnika, co do pewnego stopnia zadziwiającem było.

Kontrakt jednak!

Kontrakt zobowiązywał barona do otworzenia grobli i spuszczenia wody. W celu tym kazał on przekopać uprzednio rów i wzmocnić groblę w stawie innym, który się znajdował poniżej, na rzeczce tej-że samej a był również barona własnością. Rów miał za zadanie regulować pęd wody. Zadanie to rów spełnił, z tym atoli dodatkiem, że ryba, której Srul wyglądał w łożysku stawu spuszczonego, spłynęła przekopem do stawu niespuszczonego. Żyd, spostrzegłszy się na tem, gwałtu narobił.

— Aj wej!.. aj wej!..

— Zabieraj sobie rybę moją...—baron na to.

— Gdzież ona?..

— Szukaj...

— Kiedyż ona w tamtym stawku...

— Do tamtego wara tobie...

— Ny... kontrakt!..—zawołał Srul z rozpaczą.

— Co kontrakt?..

— W nim nie stoi, ażeby pan baron kanały kopał...

— Czy stoi, żebym nie kopał?..

— Ja pozywać będę...

— Pozywaj, uprzedzam cię jednak, że sprawy z Polakiem nie masz, jeżeli więc nie wygrasz, to sam sobie winę przypisz...

— Polak by mi... polak by mnie...

— Nie oszukał?.. — podchwycił baron. Nie umiałby... to co innego... Polacy noszą na barkach głowy kapuściane... to rzecz wiadoma... W sprawie tej jednak z Polakiem byś nawet procesu nie wygrał, rzecz bowiem jest prosta, jak obreć: umowyśmy sobie dotrzymali wzajemnie; że zaś ryba uciekła, to... wina czyja?.. Moja, mówisz ty; twoja, mówię ja... Salomon dojść by nie potrafił...

Żyd się za pejsy garściami obiema uchwycił, powieki zamknął i kiwał się z przodu w tył. Rozpacz go ogarniała. Żonie sprezentował się, jakby z krzyża zdjęty, tak że ona pytać nawet nie potrzebowała, co się stało.

— Ferfał!..—powiedziała jeno z przyciskiem.

Srul nic na to nie odpowiedział; z gorączkową jakąś skwapliwością za księgę w pargamin oprawną pochwycił, otworzył, stanął i poszeptem czytać się jął. Czytał, kiwał się, głową kręcił, oczy zmrużył, wzdychał i odsapywał, wydając niekiedy z głębi piersi jęk głuchy.

Chana z napół złośliwym uśmiechem na niego spoglądała.

— Aje aje... if!..—wyciągał.

— Tfu!..—ona na to.

— To nie pożałujesz ty nawet?..—odezwał się.

— Co bym żałować miała gałgana... gałgana!.. Jesteś gałgan... skończony gałgan... gałgan...

Zauważyć należy, że wyraz „gałgan” w ustach żyda posiada znaczenie inne, aniżeli w ustach chrześcianina. Gałganem jest człowiek, zasługujący na pogardę litośną z racji nie koniecznie z uczciwością w niezgodzie pozostających. Ztąd wyraz ten wymawiała Chana przeciągle, bez najmniejszego gniewnego uniesienia. Powtórzywszy takowy razy z dziesięć, rzekła w końcu:

— Możeś ty z tym baronem pogadać nie umiał...

Srul jeno ramionami mocno wzruszył i oczy do góry wznosił.

— Możeś ty jemu mądrego słowa nie powie-dział...

— Mówilem o pozywaniu...

— Co to pozywanie!.. Do czego pozywanie!.. Gdyby on był z naszych, to by rabin rozsądził; gdyby był z tych gojów od szlachty, to by na niego był sąd... Ale on niemiec... Z nim gada-niem chyba dojść do ładu można...

— Idź... gadaj ty...

Chana się w drogę wybrała. Dojechała do

karczmy w Śródborzu i tam zanocowała. Ze Śródborza do Klatek, przezwanym „Kleit”, gdzie baron Ernest von Krapiloff mieszkał, liczyła się mila niespełna. Przenocowawszy, raniutko wstała i milę tę piechotą uszła. Droga prowadziła przez las, po przejściu przez który wnet rzucał się w oczy dom niegdyś szlachecki, zamieszkały przez barona, który nabył majątek ze subhasty. Dom wyglądał staro, zupełnie jak dwór w Śródborzu, który w czasie owym stał jeszcze i ani się zanosilo na to, ażeby kiedy ustąpić miał pałacowi miejsca. Poprzedzało go podwórze obszerne. Chana na podwórze weszła ostrożnie; bramę przekroczyła nieśmiało; oglądała się w obawie przed psami, temi zawziętymi żydów nieprzyjaciółmi; rychło atoli przekonała się, że obawiać się nie ma czego, albowiem nietylko się pies nie pokazywał żaden, ale w dali, w ganku, widziała ludzi, zajętych czynnością jakąś. Ruszyła środkiem podwórza śmieiej i do ganku doszła bez wypadku. Zatrzymała się. Pomiedzy ludźmi, co się tam znajdowali, wyróżniła jegomościa w kurcie bronzowej i w kaszkiecie z daszkiem, roslęgo, barczystego, noszącego wasy i faworyty gęste i mającego minę brysia. Patrząc na niego, zdawało się, że ma na karku znak od obróży, że warknie i szczeknie. Taką miał minę—groźną ale o zależności od kogoś świadczącą. Przed ławką stał i nóż w rękę trzymał, co mu nadawało minę tem groźniejszą. Ku niemu, od strony zabudowań stajennych, podchodzili dwaj ludzie, dźwigający psa związanego, któcy im w rękach szarpał się i skowyczał.

— A czy związany, jak należy?..—krzyknął jegomość po niemiecku.

— Nu ja...—była odpowiedź.

— Trzymajcie go jeno mocno!..

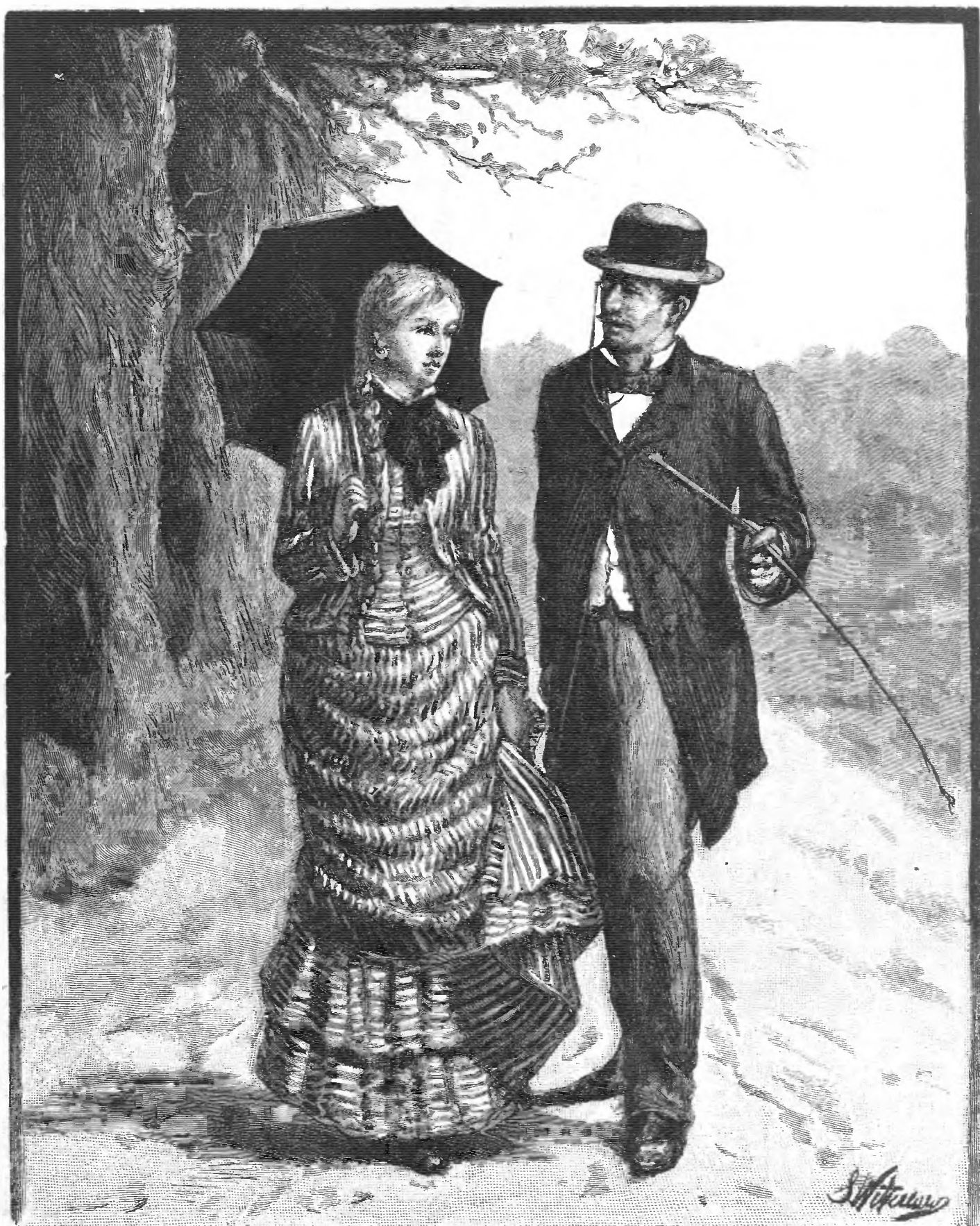
Ludzie psa przynieśli i, na dany przez jegomości znak, obok ławki na ganku położyli.

— Znieście tu wszystkie!.. — odezwał się tonem rozkazującym.

Ludzie ku stajni się zwrócili i, gdy odeszli, jegomość w boki się podparł, pod nosem sobie gwizdać począł i, zoczywszy znienacka Chanę u stóp ganku stojącą, zapytał:

— Cóż tam?..

— Jam jest, łaskowości wasza, panie baronie—odpowiedziała żydówka, domysłając się że z panem Klatek do czynienia ma—jam jest żona tego bardzo biednego Srula Kalisza, co u łaskowości waszej staw zaarendował...



„A ty skąd wiesz o tem?”

- No?..
- No i... i jam przyszła...
- Dobrze, żeś przyszła... będziesz widziała, jak ja psy chędożę...
- Ja nie o to... ja nie po to...—bąkać jakby w zastraszeniu poczęła.
- O co, po co?.. mnie to wszystko jedno... Cóż porabiasz?..—zapytał.
- Ny?.. co?.. przed łaskawością waszą stoję i...
- A gdy nie stoisz?..—przerwał. Leżysz.. he?.. Wylegasz się a mąż na ciebie pracuje... co?...
- Ij...—odparła. I ja nie siedzę z rękami założonemi...
- Siedzisz więc z rękami rozłożonemi...
- Bodajby tak siedzieli wrogowie moi!—odparła.
- Chodzisz więc?..
- Od rana do wieczora.. Chodzę i chwilki spoczynku nie mam... Ach! i tak mi ciężko... Ach! i tak mi trudno grosz mizerny zarobić...
- Za czym-że chodzisz właściwie?..
- Za czym?.. jakto, za czym?.. Nu za wszystkim... Kto czego potrzebuje, to ja chodzę, szukam...
- Szukasz i nic więcej?..
- I noszę w koszyku na sprzedaż makaroni-ki, karmelki, makagigi, pierniki...
- Komu?..
- Studentom...
- Którym?..
- Od księdza Zmianko...
- Ty to więc zapewne wyprawiałaś go do Hamburga...
- Nu... a jak ja... to co?..
- Cha cha cha...—jął się baron śmiać. Cha cha cha... A toć tyś widzę, walna kobietka!.. Cha cha cha...
- Bawiło go to wielce; tym czasem ludzie, co odeszli byli, powrócili z drugim psem związanym, którego, na znak barona, położyli obok pierwszego i odeszli.
- Walna z ciebie kobiecina!..—powtórzył. Mam ochotę wynadgrodzić ci za to...
- Niech łaskawy pan baron...—podchwyciła.
- No?..
- Krzywdę nam naprawi...
- Krzywdę?.. o!.. jaką?..—odparł.
- A też to tę, wedle stawu i ryby, co uciekła, a co my za nią gotówką z góry zapłacili...
- Kto wy?..
- Nu kto!.. Srul Kalisz...
- To Srul, a Srul nie jest żaden „my”...
- Łaskawość wasza żartuje sobie na zdrowie...
- Bynajmniej... „My” mówić ma prawo monarcha tylko o sobie, ale nie Srul Kalisz... Skąd on do tego przychodzi?..
- Ztąd że on, to on i ja, a on i ja to my!..
- A... Ale ja nie znam ciebie...
- Dla tego też ja do łaskawości pańskiej, panie baron, przychodzę i kłaniam się jemu (tu się Chana pokłoniła) i powiadam...
- Co?..
- Powiadam ja, że Srul bardzo był, z prze-proszeniem za słowo, głupi, że łaskawości pańskiej o jakimieś pozywaniu wspominał...
- Otóż to... Masz racją...
- On o pozywaniu wspominał, bo jego bardzo serce zabolało za temi talarami, co gotówką wyliczył i za tę rybkę co uciekła... Kogóżby serce nie zabolało!.. I łaskawość wasza, pan baron...
- Co ja?..
- I pana barona by serce zabolało...
- Mnie?.. Chroń Boże!.. Mnie zboleć może wszystko, noga, ręka, brzuch, grzbiet, głowa zresztą, ale serce nigdy... Co ty pleciesz, żydówko stara!.. A! przepraszam...—poprawił się, na Chanę z pod brwi nasuniętych okiem rzuciwszy — starą cię nazwałem, a tyś całe nie stara jeszcze... Przepraszam... Jam człowiek taki, co nikomu ubliżać nie chcę, ani nawet temu psu związanemu, którego widzisz oto...
- Na psy oczami wskazał.
- Nu, ja wiem, co łaskawość wasza człowiek taki, co ani psu nie ubliży, ani biednych żydów nie skrzywdzi...
- Przyniesiono w chwili tej psa trzeciego i obok dwóch pierwszych złożono.
- Ja wiem—ciągnęła Chana—że łaskawość wasza krzywdę Srulowi sam z siebie wynadgrodzi...
- Wynadgrodzę, ale nie krzywdę żadną, o której nie wiem, lecz przysługę, którąś księdzu polskiemu wyświadczyła, wynadgrodzę, pomimo, żeś coś od księdza dostała...
- Nu... co...—odparła Chana lekceważąco.
- A?..—odezwał się tonem pytającym.
- I... mała rzecz...
- Przecież dał ci coś za fatygę...
- Dał, ale... ot...

— Bodaj talara...
— Więcej trochę..
— Dwa talary?..
— Co tam gadać o tem!..
— Masz rację.. Mniejsza o to... Zresztą, jam nie ciekawy...

Przyniesiono psa czwartego.

Żydówka usiłowała rozmowę do stawu i ryb zwrócić; baron zagadywał i gawędkę przeciągał, aż do psów czterech przybyło dwa jeszcze. Gdy to nastąpiło, tak się do Chany odezwał:

— A teraz czekaj i patrz, co to będzie...

Na parobków skinął; parobcy psa jednego na ławę podnieśli; on go za ogon ujął, nożem takowy przy osadzie odciął i wnet psa rozwiązać kazał. Pies skoczył, przysiadł, znów skoczył, umykał i zwijał się, przysiadł i skowyczał, puszczał się i zatrzymywał, znacząc ślad krwawy za sobą.

Takiż sam los spotkał psa drugiego, następnie trzeciego, czwartego, piątego i szóstego. Baron ogony jeden po drugim odcinał i na ganku na kupę składał. Sześć psów zoperował, sześć ogonów mu zostało. Operacyi dokonawszy, jednemu z parobków oddał nóż zakrwawiony, sam zaś w boki się ujął i z głębi piersi, po wciągnięciu w płuca powietrza, wytechnął:

— Aa—uhfl..

IX.

Po dokonaniu dzieła, kiedy sześć psów—a były to gończe porody szlachetnej—z podwórza się wyniosły i jeden za drugim drogą śródborską zmiatały, baron do Chany się zwrócił i w te do niej słowa się odezwał:

— No, moja kobieto, widziałaś?..

— Widziałam...

— Prawda, żem rzecz zrobił porządnie, przyzwocie i radykalnie?..

Żydówka, luboć nie zrozumiała wyrazu ostatniego, odpowiedziała:

— Prawda...

— Wiesz, co to było?..

— Nu... co było?.. były ogony na psach, a teraz są ogony nie na psach...

— Uhm... Ma to znaczenie swoje... Były to psy polskie, azatem i ogony polskie i poobcinały się... Pojmałem je w moim lesie... Rozumiesz?..

— Rozumiem...

— Cóż ty rozumiesz?..

— Był las, w lesie były... ryby...

— Co, co?..

— Ny... Ja do łaskawości jego z prośbą wedle ryb...—odrzekła tonem pokornym.

— A ja pytam ciebie wedle ogonów...

— Co mi ogony!.. nū, co ogony!.. — zawołała głosem skargi, dłonie i oczy podnosząc do góry.

— Były w moim lesie, tak jak ryby w moim stawie, tak jak wy żydzi i jak *die Polaken, die schlachcicen* (wyrazy te z przekąsem wymówił) nie w swoim jesteście świecie... Jak te psy, coś widziała, z podwórza mego, tak szlachcice z państwa pruskiego, kosztem własnym, bez ogonów, wynieść się muszą... O!..—ręką dosadnie machnął. To pruska gręda, *donner-wetter!*.. nie polska, nie żydowska, ale pruska... pruska!.. A teraz, rozumiesz?..

— Rozumiem... ale...

— Ale co?..

— Nu...

— Mów śmiało, mów... Ja lubię iść do głębi rzeczy... Ja człowiek sprawiedliwy, jak... wiesz?.. nasz Fryderyk wielki, co młynarza nie pokrzywdził...

— Łaskawość jego mnie, biednej żydówki, nie pokrzywdził!..—podchwyciła Chana, czepiając się wyrazu, jak się tonący brzytwy chwytą.

— Boże chroń!.. Bądź o to spokojna...

— Nu, jam to wiedziała... Jam tego pewna była...

— Ale, pod warunkiem—przerwał, palec znacząco podnosząc — żebyś mi przysługę oddała, jak oddałaś temu księdzu co do Hamburga...

— Ah!.. Czemu nie!..—zawołała i, przysuwając się do barona bokiemi nieco, dodała tonem konfidencyjnym:—ta sama Zośka...

— Co za Zośka?..

— Nu... ta, bardzo fajna, co do Hamburga jeździła...

— Oszalałaś!..

— Łaskawość wasza przysługi chce...

— Przysługi... zapewne, ale nie takiej... Może ty innej oddawać nie umiesz?..

— Czemu nie!.. Ja do wszystkiego, łaskawy panie...—jęknęła.

— A, to dobrze... W takim razie, ot co... Widzisz te ogony?..

— Ny... tak... widzę...—odpowiedziała biedna kobieta, nie wiedząc czy baron kpi, czy o drogę pyta.

— Ogony te, pięknie i porządnie zawinięte

i związane, dam tobie i ty je, wraz z listem, do Śródborza, do grafa zaniesiesz... Zaniesiesz, pakunek i list mu wręczysz, na odpowiedź poczekasz i, gdy mi odpowiedź dostawisz, wówczas o wynagrodzeniu pomyślę...

Na słowa te fizygnomia żydówki drewnianą się stała. Co odpowiedzieć—nie wiedziała. Zaczęła, jaskając się:

— Nu... e... jakże to?..

— Rzecz prosta... Na tym świecie, darmo nic... Chcesz wynagrodzenia, zarób na nie... o...

Chana westchnęła, z nogi na nogę przestępowała i coś mówić chciała, lecz jej baron do słowa przyjąć nie dał.

— Gadania nie ma...—podchwycił. Tak, albo nie?.. Pomówimy za powrotem twoim... Wówczas dopiero się pokaże, czyś zasłużyła, czy nie... Namyśl-że się; ja na chwilę odejdę, dla ułożenia listu. .

Odszedł. Chana została sama w obec ogonów i wobec propozycji, o jakiej w życiu swoim nigdy nie słyszała. Spotykało ją jednak propozycji tyle i takich! Czego się ona nie podejmowała! W codziennej o życie walce goniła za groszem, bez względu na to, z jakiego grosz wydobywać trzeba było mniej albo więcej czystego źródła, lub też wprost z błota. To jej nie obchodziło. Pilnowała się tego jeno, ażeby kodeks karny obchodzić i obchodziła takowy z bliska, z bardzo bliska niekiedy. Nie miała więc skrupułów i wstrętów, które by jej zabraniały podejmowania się rzeczy „delikatnych.“ Wszakże te ogony, tak od kodeksu karnego dalekie i zgoła nie delikatne, wydały się jej czemeś tak do dotykania trudnem, że co począć nie wiedziała. Wahala się. Spoglądała na złożoną pod ścianą wiązkę; zdawało się jej, że to nie ogony, ale gady, które lada chwila pełzać zaczęą i oczy od widoku tego odwracała. Wyobrażała sobie psy, jak się one wiły i przysiadają i uciekały—i wyobrażała sobie jeszcze, że żydzi i szlachcice polscy tak samo czynić zmuszeni zostaną za sprawą barona, ucinającego im—to jest, żydom i szlachcicom polskim—ogony. Nie pomyślała o tem, że oni przecie należą do rodzaju człowieczego, pozbawionego tego kości pacierzowej odrętu. W głowie się jej męciło. Chustkę na sobie naciągała i ręce w rękawy chowała, mówiąc do siebie samej w duchu:

— Nie... nie..

Postanowiła sobie nie tykać paskudstwa tego i zakłęła się na kurcz w rękach.

— Bodaj mi pierwszej ręce pokurczyło!..

Gdy postanowienie to powzięła, baron wyszedł z listem w kopercie wielkiej w rękę, poprzedzając pachółka, który niósł w arkuszu ogromnym papier smołą napuszczony i szpagat w kłębku.

— Zawień to... — rzekł do pachółka baron — w pakiet porządy.

Pacholek ogony zebrał, ułożył, papierem je obwinał, szpagatem obwiązał i zrobiła się z „paskudstwa“ rzecz całę pokaźna—pakieci, w którym domyslać się było można wszystkiego, tylko nie psich ogonów. Pakiet ów baron z rąk pachółka wziął i Chanie podał:

— Na... masz...—rzekł. A oto list...

Chana wzięła jedno i drugie.

— Idźże z tem do Śródborza i powracaj z odpowiedzią...

— A jak powrócę?..—zahazardowała się.

— Wówczas... zobaczymy...

— Pogadamy?..

— Pogadamy, spraw się jeno dobrze ..

— Już ja się sprawię, byle łaskawość wasza... byle...

— No...—skinął baron dłonią. Teraz gadać nie ma o czem...

Żydówka słówka więcej nie rzekła, pakiet pod chustkę schowała i w drogę ruszyła.

Idąc rozmyślała i rozważała. Ach! ten baron. Pomimo, że na atletę wyglądał, ona jednak czuła w sobie siłę dostateczną do zgniecenia go w dłoniach. Siła ta pochodziła z ochoty a nie znajdowała się w zbyt wielkiej z fizycznością kobiety sprzeczności. Chanę natura zaopatrzyła w kości grube, w mięskuly sprężyste, w ścięgna oporcze, w warunki wszystkie, od których zależy potęga dłoni. Wzrost przytem miała więcej aniżeli mierny, posiadała więc upoważnienie do poczuwania w sobie ochoty, o której wzmiankujemy powyżej a do której podnieta znajdowała się zarówno tak w tem, co dotyczyło jej, jak w tem co się odnosiło do człowieka, wymienionego z imienia i nazwiska na kopercie niesionego przez nią listu. Na kopercie tej figurował po niemiecku napis, brzmiący w dosłownem na język polski tłumaczeniu: „Jego wysoko dobrzeurodzoneści panu, panu hrabiemu Krzysztofowi (von) Grackiemu, rycerzowi na Śródborzu — w Śródborzu.“

— *Hörste die?*.. — rzekła do siebie Chana, napis ów odczytawszy. Grackis?.. Grackis?.. To coś tak niby nazywał się ów studencik, na którego wołano „Masiu!“, a któremu naborgowała tyle na przepadle... Jużem go lat kilka nie widziała... Już on wyrósł chyba...

Przesunęło się jej to przez myśl od niechcienia, przypadkowo, dla tego tylko, że się ze znanem sobie nazwiskiem spotkała. Wagi do tego nie przywiązywała żadnej. Głowę jej zaprzętała przedewszystkiem ryba i ona też ryba, byłaby w myślach zapanowała wyłącznie, gdyby, w las wszedłszy, nie zoczyła na drodze jednego z poszkodowanych, liżącego sobie z zapalem miejsce zranione. Zirytował ją widok ten. Dalej nieco spotkała drugiego, który, na łapach tylnych usiadłszy, suwał się na udach własnych, jakby jechał na saniach. Z głębi lasu dochodziło słu-chu jej skowyczenie, co świadczyło że psy, podążają w tęż co i Chana stronę, zatrzymując się i ulżyć sobie, czy też ból uśmierzyć starają się, jak im instynkt wskazuje. Jedne się liżą, drugie na udach się suwają, inne skowyczą. Ścisnęło się jej serce. Wyobraziła sobie, że to nie psy, ale żydzi — żydzi i szlacheńcy polscy.

— Aj aj aj... — jęknęła.

Baron przedstawił się jej pod postacią potwora.

— Jemu by, ogón uciąć... Niechby się on tak lizał... — rzekła w duszy głębi.

Zformułowanie życzenia tego ulżyło jej nieco. Krok przyspieszyła i niebawem ujrzała przed sobą dwór ze strzechą słomianą, na której obok komina, gnieździł się bocian, ten sam co w kilka lat później skończyć miał tak tragicznie. Ona wszakże na bociana nie zważała zgoła. Z pakietem i listem zmierzała wprost do dworu. Na podwórze weszła. Na podwórzu pachółka spotkała.

— Ja do jaśnie grafa...

— Ano... dyć dobrze...

— Jaśnie graf w domu?..

— Jużci...

— Kędy do nich?..

— Prosto... we drzwi, do sieni, na prawo... i już...

Wedle wskazówki tej trafiła do komnaty obszernej, w której, przy stojącym po środku a zastawionym nakryciem stołowym stole, zastała osób pięć. Miejsce naczelne zajmowała hrabina, obok niej po stronie prawej siedział ksiądz bar-

czysty, śladami ospy na obliczu poznaczony, na przeciwko księdza po lewicy hrabiny graf, obok księdza młodziuteńka podówczas hrabianka, obok ojca pan Maurycy. Chana wszedłszy, jak skoro po obecnych okiem od proga powiodła, wnet okrzyk radości wydała.

— Nu, chwała Bogu!.. — zawołała. Człowiek się nie spodziewał aż dwóch znajomych w miejscu obcym zastać...

— A, to ty... — odezwał się ksiądz. Cóż tu porabiacie?..

— Co ja porabiam?.. Iii... aaa... Ja porabiam to, że nie wiem już, gdzie głowa moja...

— No, przecie?..

— Wielmożny pan wiedzą i poświadczą, co ja kobieta uczciwa...

— Poświadczy Masio... — odparł ksiądz — który się na piernikach twoich wyhodował...

— Ny... jaśnie paniczek... jak oni, chwalić Pana Boga, wyrosli!.. — odezwała się Chana, obrzucając wejrzeniem zwilgotniałym młodzika, liczącego już wówczas lat dwadzieścia bez mała. Jak oni, na zdrowie im wyrosli!..

— To na piernikach twoich... — rzucił ksiądz żartobliwie.

— Jaż bo im nie żałowała...

Na słowa te pan Maurycy zapłonął się lekko.

— Ny, ale co tam!.. Jabym się cieszyła widkiem wielebnego pana i jasnego paniczka, gdyby nie kłopot jeden, co mnie tu sprowadza... kłopot taki, że ja się sama dziwuję sobie, dla czego mi głowa moja nie pękła... Dla czego ona mi nie pękła!.. — powtórzyła z rozpaczą w głosie.

Dziewczynka, panna Tekla, ze współczuciem na żydówkę jasnymi patrzyła oczętami. Patrzała na nią i hrabina, a i w hrabiny oczach zajęcie się malowało. Hrabia odchrząkał. Ksiądz miał na ustach uśmiech na poły drwiący; brwiami ruszył i zapytał:

— Cóż tam przecie?..

Chana odpowiedziała sprawę swoją z baronem.

— Hm... — mruknął graf. Niemczysko nie dawno się u nas zakupiło i burezy, niby mucha w ukropie; dziwne jakieś gospodarstwo zaprowadza; hutę szklaną założył; koleje drewniane precz pobudował; lasy tnie, drzewo wozi i z sąsiadami się swarzy... Wczora psy moje gończe w knieje jego wpadły i do dziś nie wiem, co się

z niemi stało... Ani chybi, że je jeżeli nie postrzelał, to połapał i powywieszał może... Hm?..

— Rychtyg... — podchwyciła żydówka, jak skoro o psach wzmiankę usłyszała. O...

Rzekłszy „o“, wręczyła grafowi list i pakiet.

Graf, pakiet na stole przy sobie położył; list rozpieczętował i czytać się jął. Czytanie po niemiecku nie gładko mu szło. W papier się wpastrywał, wreszcie przez stół takowy księdzu podał, prosząc, ażeby zawartość onego tłumaczył.

„Raczyłeś mi pan—tak tłumaczenie brzmi—przysłać łaskawie psy swoje. Zdziwilo mnie to. Nie wiedziałem, co to znaczy. Lecz pojęcie honoru i obowiązków sąsiedzkich rychło mi rzecz wyjaśniło i, na mocy wyjaśnienia tego, oddałem panu sąsiedzką przysługę. Że zaś do przysługi wszelkiej przywiązana jest wartość, obliczająca się na pieniądze, a zatem mam zaszczyt przyłączyć przy ninieszem rachunek, który pan graf zaspokoić raczysz, wręczając kwotę w podsumowaniu wyrażoną oddawczyni niniejszego. Psy wraz z wszystkim co do pana grafa należy odsyłam. Spodziewając się, że pan graf postąpił sobie ze mną tak honorowie, jak ja sobie postąpiłem z nim, mam zaszczyt“ etc. Podpis.

— Co to znaczy?.. — zapytał graf. Gdzież psy?..

— Idą... och!.. — odrzekła żydówka.

Ksiądz, który rachunek oczami przebiegł, czytać w głos począł:

„Za odcięcie ogonów sześciu, po pół talara od ogona, talarów trzy.

„Za upakowanie pół talara.

„Za transport ogonów z Klatek do Śródborza pół talara.

Co czyni razem talarów cztery.“

— Co?.. — krzyknął graf, brwi groźnie marszcząc.

— Widocznie... — odparł ksiądz—psom ogony poobcinał...

— O... — odezwiała się Chana, palcem na pakiet wskazując.

— Co?.. — zerwał się graf. A!..

Gniew, który go pięknym czynił, władzę mówienia mu odjemował.

— Ogony... ogony... — powtarzała żydówka palcem na pakiet wskazywała.

Graf się przeszedł, stanął, pięść zaciśniętą do góry wznosił i zawołał:

— Ja go!.. ja!.. ja mu... łeb roztrzaskam!..

— Sztofeczku .. — odezwiała się hrabina.

— Ja go złapię i zbiję...

— Sztofeczku...

— Ja mu za ogony uszy poobcinam!..

— Sztofeczku...

— Ja mu tego płazem nie puszcze!..

— Sztofeczku... — powtórzyła hrabina po raz czwarty.

Każde jej imienia spieszczonego męża wymówienie działało na grafa na kształt balsamu łagodzącego. Za wymówieniem każdym skalę gniewu obniżał. Wreszcie niecierpliwie hrabinie odpowiedział:

— Czegóż chcesz!.. Maż łotrostwo takie bezkarnie ująć!.. Boć to łotrostwo... Toć to, panie gończe!.. Kto kiedy gończego bez ogona widział!.. A łotr! a skurczybyk!.. a!..

— Sztofeczku... — odezwiała się hrabina.

— Czegóż, no... czego chcesz po mnie?..

Ręką mu żona krzesło wskazała.

Graf usiadł.

— Co unoszenie się pomoże?..

— Co pomoże?.. — odparł. Pytasz, Giduleczko, co pomoże... Ty się nie unosisz, bo to ty; ale we mnie zburzyła się krew wszystka... Gdybym niemca tego pod ręką miał, ha!..

— Uspokój się... — rzekła łagodnie.

— Ojczy wielbny... — zwrócił się graf do księdza — czy na opryszków, na hyclów takich, niebo piorunów nie ma?..

— Niebo piorunów nie ma... — odparł zapytany — ale sposoby są...

— Jakie?... mów: jakie?..

— Przedewszystkiem... spokój...

— Spokój... — potwierdziła hrabina.

— A potem?..

— Oddanie sprawy prokuratorowi...

— A?.. I jakże to?..

— Na mocy prawa o patentach...

— W czymże on przeciwko prawu temu wykroczył?..

— Pełniąc rzemiosło hycła, bez opłacenia na takowe patentu do skarbu... Ale... — podchwycił, widząc że się graf zapala — trzeba, żebyś graf dobrodziej rachunek mu zapłacił i pokwitowanie od niego wziął... Wówczas pozostanie jeno sprawę wdrożyć i, jako dowód, kwit złożyć...

— Ph... — wytnął graf.

— Będzie to satysfakcja jakaś... Kara wypadnie zapewne nie wysoka; ale postawienie przed kratkami barona von Krapiloff pod zarzutem takim, to rzecz...

— Ahm...

— Zapłać więc graf rachunek...

— Ach!.. to to... tak... Wielmożny pan mówi, jakby z książki czytał...—podchwyciła żydówka, która się na rzecz tę zapatrywała z punktu interesu własnego, wymagającego powrotu jej do Klatek z odpowiedzią.

— Jak tu jednak zrobić?.. — zapytał graf. Jak pokwitowanie wydobyć?..

— Hm?..—ksiądz na to; pomyślał trochę i dodał: — Niech Masio rachunek i pieniądze poniesie...

— Masio?..

— Ano... Będzie to dla niego próba życia z ludźmi... Potrzeba, żeby się zachował grzecznie, ujmując nawet, w obec człowieka, dla którego w sercu żywi uczucia nieprzyjazne... Niech się trzyma ściśle w granicach interesu, niech się potarguje nawet...

Graf na hrabinę pytając zwrócił wejrzenie; ta zaaprobowala, podkreślając propozycję księdza głowy skinieniem; kwestya oparła się o hrabiego młodego.

— Cóż ty, Masiu, na to?..—zapytał ojciec.

— Jasnemu paniczкови korona z głowy nie spadnie.. — wtrąciła Chana. Bo, gdzież będę ja?... ja!.. Ja będę... o... za jasnym paniczkiem.. ja...

Przybrała postawę, znamionującą gotowość bronięcia młodzieńca, jak lwica dzieci swoje broni.

— Gdy papa sobie tego życzy...—odparł pan Maurycy.

— Jedź... jedź .. — odezwał się ksiądz — korzystaj ze zdarzenia wystawienia siebie na położenie drażliwe... Położenia podobne zdarzają się w życiu często... Pismo święte—dodał z uśmiechem dwuznacznym—mówi o prostocie gołębia i chytrości węża... Bądź w obec barona gołębiem i wężem zarazem... Ot co jest...

— Ja bym pojechała...—podchwyciła dziewczynka, która mieć mogła podówczas lat trzynaście czternaście.

— Naprzykład... — odezwał się ksiądz żartobliwie.

— Dobrze...—odparł pan Maurycy—jadę...

Graf przez lokaja posłał do stajni rozkaz, ażeby konie do wolanta założono i odszedł na chwilę celem odpisania baronowi. Gdy odchodził, żydówka przypomniiała:

— A ogony!..

Wyraz ten uwagę na leżący na stole pakiet, zwrócił.

— Niech to zabiorą!.. niech zabiorą!..—zawołała hrabina, głowę ze wstrętem odwracając.

Pakiet zabrano; obecność atoli owego na stole—na tym stole, na którym spożywano preparaty kuchenne, nie pozostała bez wpływu na proces, przygotowujący się w żołądku hrabiny w odniesieniu do włożonych w takowy artykułów pożywienia. Poczula łechtanie w przewodzie gardlanym, które zmusiło ją zerwać się nagle od stołu i uciekać z dłonią przy ustach. Za matką, która z pokoju przyległego znać o sobie dawała, wybiegła hrabianka. Pan Maurycy został, celem przyszykowania się do wizyty. Ksiądz się na krześle wyciągnął, policzki nadał, odsapnął i, do Chany się uśmiechając, rzekł:

— A co... widzisz?.. A ha!..

X.

— Czy ja się tego spodziewać mogła—odzywała się od czasu do czasu Chana, jadąc jedną z panem Maurycem bryczką ze Śródborza do Klatek—żebym jaśnie paniczka spotkała!.. Ani mi się to śniło... Ny... ny?..

Powtórzyła to razy parę, tak że w końcu pan Maurycy zapytał jej:

— Czegóż to cię tak dziwi?..

— Mnie to nie dziwi, ale cieszy...

— Cieszy?.. czemuż to?..

— Tak sobie... ot... Jakiem nie wiedziała czemu tam, pomiędzy studentami, co ich było mnóstwo takie, jasny paniczek mi tak w oko wpadł, żem dla was osobno pierniki i osobno makagigi odkładała, tak i teraz nie wiem, dla czego mnie cieszy... Cieszy... ot... i... gdyby nie ta ryba... Aj!..

Westchnęła i głową pokręciła.

— Wszystko to poszło z gałganstwa Śrula... ny, gałgan... Śrul gałgan... Jemu się tak już sądziło.

I prawila jeszcze z tematu tego; ale pan Maurycy nie odpowiadał, może i nie słuchał. Zajmowała go wizyta, która tak niespodzianie, i w takich warunkach niezwykłych, na niego spadła. Miała ona cechy negocjacji dyplomatycznej, chodziło bowiem o wyspekulowanie podpisu, którego by się znaczenia i przeznaczenia podpisujący nie domyślił. Przysposabiał się

więc do takowej, jak zapewne ambasador nadzwyczajny przysposabia się do wywiązania się z zadania delikatnego. Chodziło mu jeno o to, ażeby barona w domu zastać i, prędko się załatwić. Życzył sobie tego.

Życzeniu temu stało się zadość.

Barona przybycie jego zdziwiło trochę. Nie spodziewał się czegoś podobnego. Spodziewał się zupełnie czego innego. Znajomość temperamentu polskiego ukazywała mu w perspektywie zajście sąsiedzkie, poprzedzone listem impertynencji pełnym. Nie w innym celu, jeno dla wywołania awantury, dopuścił się względem grafa szykany. Zobaczywszy przeto zajeżdżający przed ganek wolant, a w wolancie młodzieńca jakiegoś i z młodzieńcem żydówkę, którą z listem do Śródborza wyprawił, nie wiedział co to znaczy. Brwi namarszczył i policzki wydał.

— Co u licha!.. Do kogo to się żydówka przysiadła?..

Grafa starego z widzenia znał, młodego nie widział nigdy.

Pan Maurycy przedstawił się mu.

— Ah... oh... Co za zaszczyt!.. Racz że pan usiąść...

— Ja do pana barona na chwileczkę tylko...

— Zechcesz pan jednak po podróży wypocząć...

— Dziękuję... Podróż nie daleka... Mam do załatwienia z baronem interes i nie chcę mu czasu zabierać...

— Mogę zapytać, na czym interes polega?..

— List ten wytłómaczy...

To mówiąc, podał młody hrabia baronowi list, który ten otworzył, okiem nań rzucił i ramionami wzruszył.

— Po polsku... Język ten jest mi nieznany...

— Ojciec mój, o ile wiem, dziękuje panu baronowi za przysługę, jaką mu wyświadczyć raczyłeś...

— A?.. hm...—znów ramionami wzruszył.

— I przysłała mnie celem uregulowania rachunku...

— Wszak rachunek uregulowany... Posłałem takowy przez żydówkę...—odpowiedział, oczami na stojącą z boku Chanę wskazując.

— Mam go przy sobie...—odparł pan Maurycy, rachunek z zanadtra wydobyl i na stole złożył.

— A więc?..

— Wydaje się ojcu memu za wygórowany trochę...

— No?.. w jakim względzie?..

— Po pół talara od ogona... Zgódź się pan baron sam, to za wiele...

— Za wiele?..

— Czy by się zredukować nie dało?..

— No?..

— Pół talara za dwa ogony ..

— Hm?.. — pomyślał przez chwilę i, głowę podnosząc a na pana Maurycego z góry spoglądając, dodał: — Ahm... Domyślam się czegoś ze strony waszej...

— Panie baronie... — podchwycił młody człowiek. Ze strony mojej, pragnę jeno sprawę ku zadowoleniu pana i ojca mego załatwić...

— Zapłać więc pan, panie graf i kwita...

— Jeżeli pan z ceny spuścić nie chcesz...

— Nie chcę...

— Nie pozostaje mi zatem, jak zapłacić, ale pan baron będziesz łaskaw rachunek pokwitować...

— Uhm?...—baron głową wstrząsnął.

— Muszę przed ojcem z powierzonego mi interesu sprawę zdać ..

— To prawda...

Widać było w niemcu wahanie się; usta ścisnął, wąsy rozglądał i na rachunek spoglądał, ale się z podpisywaniem nie kwapił.

— Składam oto pieniądze...—odezwał się pan Maurycy, cztery talary na biórko lokując.

— Uhm?..

— Teraz uregulowanie od pana barona zależy... podpis jego będzie dopełnieniem formalności, od której uchylać się człowiek honorowy nie może...

Baron odkasznął z przyciskiem.

— Zresztą porządek tego wymaga...

— Porządku mnie pan graf nie ucz...—odrzekł baron tonem złego humoru.

— Nie ośmielam się uczyć, tłumaczę się jeno przed panem, dla czegom go wizytą moją zaniepokoił...

— O panie grafie...

— Sądzę jednak, że mi pan tego nie weźmiesz za złe, i zechcesz, bodaj dla pozbycia się mnie, załatwić tę tak prostą i tak naturalną formalność...

Baron brwiami ruszył:

— Pozbywać się gościa tak miłego wcale bym nie chciał...



„Chana Kalisz.”

— Dziękuję panu baronowi... bardzo dziękuję...

— Naleganie jednak pańskie... hm?... wydaje się mi, jakby nie całkiem naturalne było...

— O?... — odczuwał się pan Maurycy, udając zdziwienie.

— W tem coś jest...

— Cóż, na przykład?... Racz mnie, panie baronie nauczyć, ja bowiem nie wiem...

— Wy, panowie, Polacy...—zaczął.

— Cóż, my Polacy? Czyśmy czego dokazali?..

— Nie dokazaliście wy niczego, z tem wszystkiem z wami się na ostrożności mieć należy, z podpisami zwłaszcza... Oto, Fryderyk Wilhelm podpis dał i podpisem tym wojujecie w sejmie...

— I czegośmy się dowojowali?..

— No... niczego... to prawda, ale dla tego żeśmy naród twardy...

— Kwadratowy...—powiedział pan Maurycy.

— Tak... żelazny... Kwadratowy żelazny...

— Zkądże przeto wyciągnąć co byśmy mogli z podpisu pana barona, kwitującego za odebranie należnych mu za przysługę sąsiedzka czterech talarów?... Niech baron pod rozwagę to wziąć raczy... Ja płacę, baron kwitujesz... Oto wszystko...

— Kwitem tym ojciec pański chwalić się będzie... — podchwycił baron tonem takim, jakim się wypowiadają odkrycia niespodziane.

— A... może... zapewne... We względzie tym, pojmujesz baronie, ręczyć się nie podejmuję...

— Chwalić się?... przed kim?... I!.. Co mi tam!.. Panowie polacy i tak mnie nie chwalą, ja zaś o pochwały ich nie stoję... O, panie grafie...

Przy wyrazach ostatnich do biurka się zwrócił i całkowicie a wyraźnie, wypisawszy datę, podpis swój pod zakwitowaniem nakreślił.

— Czy tak?...—zapytał, podając panu Maurycemu rachunek. Rzecz w porządku?..

— W porządku... Nie pozostaje mi, jak pożegnać pana...

— Chwilka... — odczuwał się baron, dłoni podnosząc i wstając. Do porządku zupełnego brak jeszcze czegoś... Racz, grafie, poczekać moment... natychmiast powrócę...

Po wyjściu jego Chana dłonie złożyła i, z wyrazem mało że nie uwielbienia na młodego hrabiego patrząc, odczuwała się:

— Nu... jakże pięknie jasny paniczek z bydlęciem tem rozmawiać umiał... Żeby się tak jasny paniczek za mnie rozmówił... Ale nie...

nie... Już ja za siebie sama będę gadała... Coś on jeszcze ma... jakiś ani chybi kłopot nowy...

Baron wrócił, niosąc w ręku obróż kilka.

— Oto—rzekł, obróże panu Maurycemu wręczając—własność pańska... Ludzie moi pozdejmowali te obróże i zaręczają, że nie było więcej, jak cztery... Jeżeli tak, w razie takim, nie możecie mieć panowie do mnie pretensyi najmniej: oddałem panom psy, ogony i obróże, słowem wszystko, co do panów należy...

— I myśmy się baronowi uiścili... I baron do nas...

— Pretensyi nie mam żadnej...

— Skwitowaliśmy wzajemnie...

— Skwitowani...

Młody hrabia skłonił się; baron go na ganek wyprowadził, powrócił i Chany zapytał:

— Widziałas?... słyszałas?..

— Łaskawość wasza... nu...

— Co?..

— Takiego pana mądrego nie widziałam jeszcze...

— Nie widziałas... nie dziw... z Polakami się wdajesz... Wdaj ty się z Niemcami... zobaczysz...

— Już ja widzę...

— Ano... Graf Gracki kwit odemnie wziął i chwalić się nim będzie... Będzie się chwalił głupotą własną: szkodę poniósł i zapłacił... Na to Polakiem być potrzeba... Nie prawda?..

— Prawda...—potwierdziła żydówka.

— A jak to spokorniało!.. Dawniej byłby: hom! bom! narobił i jam się tego spodziewał; byłby za psie ogony na pojedynkę mnie wyzywał, awantury wyprawiał; a teraz, zamiast tego wszystkiego, syna z talarami i z prośbą o podpis przysłał... On nie Polak chyba?..

Że wyrazy ostatnie akcentowało zapytanie, Chana więc odpowiedziała:

— Nu... nie wiem ja... On graf polski...

— Graf on niemiecki... to skóra nie polska i ciekaw bym był dowiedzieć się, kto w skórze tej pod nazwiskiem Gracki siedzi?..

Żydówka ramionami ścisnęła.

— Żyd chyba?..

— Chyba że nie...

— Czemuż awantury nie wyprawiał?..

— Może on się łaskawości waszej lęka...

— Hm... hm... No, niech tak będzie... Zobaczymy dalej... Jeszcze ja go na próbę nie jedną wystawię...

— Niech jeno łaskawość wasza nie wystawia na próbę mnie...

— Albo cóż ty?..

— Co ja?.. Ja... wedle tego co łaskawość wasza obiecać mnie raczyła...

— Wynadgrozienie... he?..

— Jużci...

— Masz!..

Rzekłszy to, do kieszeni sięgnął, sakiewkę wyjął i pół talara żydówce wyliczył.

— Nu?.. cóż to?..—zapytała, patrząc na pieniądze, które na dłoni trzymała.

— Zapłata za transport ogonów i listu... Mało?..

— Nie to, ale... łaskawość wasza...

— Tylem w rachunku zapisał...

— Ten interes wedle ryby...

— Oho!.. interes ten skończony... Jeżeli Srułowi wydaje się, że pokrzywdzonym został, niech się na drogę prawa udaje...

— On się na drogę prawa nie uda... On mnie przysłał do łaskawości waszej, ażeby pokornie prosiła i mówiła, że taki pan, z takim honorem wielkim, zlituje się nad żydem biednym... To ja mówię do honoru waszego, *gnädiger Herr*... Honor taki...

— Hum...—uśmiechnął się baron i zapytał:— Jakże tam w Śródborzu było?..

— Nu... jak?.. Było tak, żem ja list oddała i ogony oddała...

— A graf co?..

— Wziął i przeczytał... przeczytał i... no, i rozgniewał się, a potem...

— Co?..

— Powiedział: nie ma co... Z tym baronem zadzierać się nie można...

— Ty mi bajki gadasz...

— Bajki... *hörste*... Jakie bajki?..

— Graf sam z siebie nie powiedział tego...

— Czemu nie?..

— Dla tego że byłoby to roztropnie, a u szlachciców o gadanie roztropne trudniej, aniżeli o włosy na dłoni... Graf on niemiecki, ale szlachciec polski, nie sposób przeto, ażeby się, list mój odczytawszy, nie zapalił i głupstw nie prawił...

— Prawił... no...

— Co mianowicie?..

— Głupstwa...

— Jakie na przykład?..

— Jakie?.. nu: oto takie, że łaskawości waszej uszy poobcina...

— Uszy?... mnie?... *donnerwetter!*... — wykrzyknął.

— Ogón...—poprawiła się żydówka przestraszona.

— Cha cha cha!.. niedoczekanie jego... A dalej?..

— Dalej nic...

— Ktoś mu podpowiedzieć musiał, że się ze mną zadzierać nie można...

— Młody graf...—odrzekła na chybił trafił.

— Aha... O to majster, jezuicki wychowanek: z nosa mu to widać... Ale na jezuitów my sposobu mamy... Ho ho!.. A nie mówili tam o Prusakach czego?..

— Jakby mówić nie mieli!.. Mówili: oni nas zjedzą...

— Otóż to... O tak... Zjedzą?.. tak: zjedzą z korzeniem i z nasieniem, jak należy... *so*...

— A moja ryba, *gnädiger Herr*?...—przerwała żydówka tonem lamentu.

— Ahm... uh?.. Chciałbym coś dla ciebie zrobić za to, żeś się tak dobrze sprawiła... Co na przykład?..—zamyślił się.

— ~~Ach~~ najłaskawszy panie...

— Co się stało to stało: jak wstecz woda nie plynie, tak ryba nie wraca, ale... oto co... Hm?... Poniosę ja na tem stratę... no... Ponieważ jednak wynadgrodzić bym ci chciał, więc... mniejsza o to: szkło...

— Co... szkło?..—zapytała.

— Odstąpię ci za bezcen wszystkie szkło, jakie na składzie mam...

— Na co mi ono?..

— Na handel... Na cóż ryba służyć miała?.. Wysprzedasz szklanekę po szklance, flaszkę po flaszcze i co zarobisz to będzie twoje... Hurtem kupiona flaszka wypadnie ci na przykład za feniga; gdy ją sprzedasz za fenigów dziesięć, zyskasz... ile?.. Rachunek prosty...

— Ja bym woląa rybę...

— Ryba uciekła... Zamiast ryby masz szkło, które nie zdechnie, cuchnąć nie będzie, nie przepadnie, a sprzeda się zawsze... I swoje odbierzesz, i rybę odbijesz, i zarobisz... To interes dobry i dla mnie i dla ciebie: dla mnie, bo mi się magazyn oczyści, dla ciebie, bo ci zapewnia zarobek lekki... Będiesz sobie siedziała, sprzedawała i pieniądze chowała...

— Nie można by widzieć tego?.. — odezwała się Chana po namyśle.

— Owszem... można... Zobacz, opatrz, namyśl

się... Nie będziesz przecie kupowała kota w worku...

Służącego przywołał i kazał mu żydówkę do magazynu zaprowadzić.

Chana obejrzała szkło w składzie. Było tego dużo. Miarkowała, obliczała, rozważała. Baron nadszedł.

— No i cóż?..—zapytał.

— Coż łaskawość wasza za to chce?..

— Żebyś za rybą nie płakała, zapłacisz mi talarów dwieście...

— Ja nie mam tyle...

— Pożycz sobie... Możesz śmiało ryzykować. chociażbyś miała dać procent jaknajwyższy... Pomiedzy żydami na interes pieniądze dla żyda znajdują się zawsze...

— Jak dla którego...

— Miałeby się Srul znajdować pod klątwą rabina?..

— Nie... a!.. Boże chroń... Ale...

Nie śmiała przyznać się do tego, że cięży nad jej i męża jej głową gorzej aniżeli klątwa rabina, bo niebłogosławieństwo boże. Nie powiedziała tego. Zagadała. Targować się zaczęła. Ofiarowała talarów pięćdziesiąt. Baron ofiarę tę z indygnacją odrzucił; nazwał Chanę głupią z powodu, że nie korzysta z dobrego jego humoru i gadać z nią nie chciał. Ledwie nieledwie żydówka ulagodzić go zdołała i uprosiła, ażeby jej do namysłu czasu nieco zostawił, albowiem:

— Trzebaż, żebym się z mężem poradziła... — mówiła.

— Ano... dni trzy...

O tydzień prosiła.

— Bo to — tłumaczyła — nie tylko poradzić się, ale i pieniędzy skądś dostać potrzeba...

— Hm?.. co do pieniędzy... — odparł i dodał: — Gotowem od was weksel wziąć... Wystawicie mi weksel za półroku płatny... Jest to ze strony mojej ustępstwo takie, o jakim mi się ani śniło... Jedź-że, radź się i za tydzień powracaj... W razie, gdybyś nie powróciła, każę szkło partjami na jarmarki wywozić i dostanę za nie talarów nie dwieście, ale pięćset, może osiemset...

Ustępstwo, co do sposobu wypłaty, przedstawiało tę korzyść elementarną, że zaoszczędzało procent półroczny, któryby dla Srulostwa wyniósł kwotę znaczną, ze względu na trudność uzyskania kredytu, jaką im sprawiało niebłogosławieństwo boże. Liczyć było można, że w przeciągu pół roku część szkła się wyprzeda i, w ra-

zie najgorszym, bodaj połowa długu ze sprzedaży się wyręczy. Pozostawało więc jeno zbadać stan handlu szklanego, pod względem aspektów, jakie przedstawiał. Pozostawało oraz pomówić ze Srulem. Tego ostatniego jednak Chana ani próbowała. Srul, dotknięty głęboko niepowodzeniem ostatniem, tak, ze strony jednej, w księgi się wgłębił, z drugiej, zgałganiał, że nie rozumiał, co się do niego gadało. Chana przeto dowiadywała się o cenę w sprzedaży na sztuki, wyrobów szklanych, takich jak szklanki, kieliszki, butelki, szkła na szyby, miarkowała, obliczała i w rezultacie regularnie wypadał jej zysk. Zysk wydawał się pewnym. Zgłaszała się do szklarzów. Z tych niektórzy zobowiązywali się zabrać u niej tafle, jeżeli się przydatne okażą. Dla czegoż by przydatne być nie miały! Rzecz się składała całę obiecująco, tak że, po namyśle głębokim i rozważaniu wszechstronnem, Chana, po upływie tygodnia, najawwszy skład w mieście powróciła do Klatek z wekslem przez Sruła podpisanym.

— Zabieraj...—oznajmił jej baron.

Słowo te powiedziało się łatwo; gdy jednak do zabierania towaru i transportowania przyszło, dopiero Chana poznała, jak to trudno ze szkłem się obchodzić. „Nie miała baba kłopotu” — na pytała sobie takowy. Połowa szkła wytłukła się, druga połowa doszła na miejsce przeznaczenia i pokazało się, że się do handlu nie przydaje. Były to próby najpierwsze, jakie wyprodukowała huta barona, szklanki, kieliszki, butelki nie możliwe, tafle pokrzywione i dziurawe, wszystko ze skazami, garbami, wklęsłowiami, których nie posiadają szkła najpośledniejsze. Na nie się nie przydało chodzenie od kupca do kupca, nastroczenie się, roznoszenie towaru: nikt gadać nie chciał. Chanę rozpacz ogarniała, odwaga ją opuszczała, przychodziło jej niekiedy do głowy: „powieszę się;” chwyciła się znów handelku łakociami i ze strachem myślała o terminie wykupienia weksłu. W rozpacz jej, w strachu, pociechę jedyne stanowiło to, że weksel podpisanym jest przez Sruła.

— Gałgan... — myślała sobie, myśląc o mężu, i ze złością spoglądała na niego, kiedy się on w koszuli śmiertelnej i z symbolami na czole i ramionach, modlił i kiwał.

— Do czego to!.. Co to pomoże!.. Ot Lejba (był to brat rodzony Chany, co przed laty do

Ameryki wyjechał) nie modlił się i nie kiwał i gorzej mu się nie działo...

W myśli czyniła przegląd bogaczów i znajdowała, że żaden z nich zakonu, jeżeli nie w zupełności, to po większej części, nie przestrzega, a pomimo to Bóg Izraela od nich oblicza swego nie odwraca.

— Bóg Izraela!..—powiadała z przekąsem.

Termin fatalny nadszedł i sprowadził akcyę sądową, która się rozstrzygnęła sfantowaniem za długi. Nie była to niespodzianka żadna. Stało się, co stać się miało. Bieda się wzmogła. Przepadło wszystko z wyjątkiem dwóch rzeczy: nabożeństwa, którego się Srul uparcie trzymał i odwagi, z jaką Chana czoło losom przeciwnym stawiała, prowadząc po dawnemu handelek swój drobiazgowy.

XI.

Mijały lata po latach, następowały zmiany, które czas sprowadza i okoliczności tworzą. Dzieci powyrastały, ludzie dojrzali ku starości się chylili, Prusacy Austryjaków pobili, graf w Śródborzu pałac stawiał, baron w Klatkach szkła fabrykował i majątki przykupował, Chana na sprzedawaniu studentom łakoci, i oddawaniu ludziom przysług, fundusiku się na nowo dorabiała; mąż jej zawsze się modlił; ksiądz Zmianko ją zawsze protegował. Nagle — z horyzontu znikła. Nadaremnie ją, a raczej koszyka jej studenci, wyglądali. Nie przyszła w dniu jednym, drugim i trzecim; nie pokazała się przez tydzień cały. Dziwiło to studentów, dziwiło i księdza Zmianko.

— Zachorowała zapewne...

Na przypuszczeniu tem skończyło się. Po niem nastąpiło zapomnienie. „Co z oczów, to i z myśli.” Chana nie pokazała się więcej. Zapomniano przeto o niej, zapomniano tak dalece, że po przypuszczeniu, iż zachorowała, nikt już nawet nie czynił następnego, które, gdy się przez tygodni kilka nie pokazała, nastroczało się samo, a mianowicie, że umarła. Nikogo to nie obchodziło, ani nawet księdza Zmianko. Ksiądz faktorkę inną zaufaniem swem zaszczycił.

Z tygodni zrobiły się miesiące, z miesięcy złożył się rok, który upływał był z górą, gdy, razu pewnego, księdzu, pracującemu w kancelaryi swojej, oznajmiono, że dama jakaś z nim się widzieć życzy sobie.

— Co za dama?..—zapytał służącego.

— Niby znajoma, ale nie znajoma .. — odpowiedział zapytany.

Że ksiądz oczekiwał wizyty matki jednego z elewów, więc nazwisko matki owej z akcentem zapytania wymówił.

— Ale... gdzież tam!.. To jakaś, o której by powiedzieć można że... niemka chyba, a może... hm?...

— Do refektarza proś... wnet wyjdę... — ksiądz na to.

Od biurka wstał, rewerendę na sobie obciągnął, otrzepał się nieco i do refektarza się udał.

Dama zajmowała fotel w głębi. Wygląd jej był imponujący. Na niej atłasy, aksamity, sobole, złoto, klejnoty; na głowie kapelusz modny, spięty klamerkami, w których połyskiwały diamenty; na ręku szal tyftkowy wartości wysokiej. Gdy ksiądz wszedł, podniosła się — widzieć się dał wzrost jej okazały i postawa szacunek wzbudzająca — iście królewska postawa.

Ksiądz się do niej zbliżył, skłonił się jej i, otwierając usta do zapytania, „z kim ma zaszczyt”, cofnął się o krok, jakby go niespodzianie blask poraził.

— Co widzę?..—zawołał.

— Ny... cóż wielmożny pan?..

— Ach!..

— Nie poznaje mnie?..

— Właśnie, że poznaję i oczom własnym nie wierzę...

— Czemu to nie wierzyć!.. To ja...

— Cóż to się stało?..

— Co?.. ot... rozbogaciałam...

— A to rzecz nadzwyczajna, niesłychana!.. Niechże.. pani (wyraz „pani” wymówił z akcentem lekkim) siada...

— Usiądźmy, to ja rozpowiem het wszystko.. Usiedli i dama zaczęła:

— Do rozpowiadania nie ma wiele... Brat mój, co lat temu ze dwadzieścia do Ameryki popłynął, umarł i zostawił majątek wielgi... Cały ten majątek dostał się mnie: ot i wszystko...

— Nie miał żony, dzieci?..

— Albo ja wiem!.. Widać, że nie miał... Wiem tylko, że pieniądze na handlu mięsem wieprzowem zebrał...

— On?.. żyd?.. mięso wieprzowe?..

— Toż to i jest... Bóg Izraela mu nie błogosławił, póki zakonu jego się trzymał...

— Wychrzcil się... co?..—zapytał ksiądz.

— O tem ja nie słyszała... Ale, co tam!.. Czy to Bóg chrześcjan lepszy od Boga Izraela?..

Ksiądz się uśmiechnął, nie chcąc się z kobietą głupią w dyskusję wdawać, ona zaś prawila dalej:

— Doznałam tego na sobie... Kiedym Srulowi raz nakoniec wyraźnie powiedziała, żeby nabożeństwo zarzucił i kiedy mi on na to odpowiedział, że Boga obraziła i że teraz dopiero na pewno zmarniejemy, w półgodzinki później nadeszła wiadomość, że na mnie majątek wielki spadł.. Nu?..

— Cóż Srul na to?..

— Głosem wielkim wołać zaczął: „Chwała Panu na wysokościach!"; a jam się rozgniewała, na niego nakrzyzczała i z miotłą, z przeproszeniem, na Sruła poszła... Odczepnegom mu dała: niech się modli sobie...

— Jakto, rozwiodłaś się z mężem pani?..

— Cóżem robić miała!..

— Hm?..—mruknął ksiądz sam do siebie i dodał po chwili: — Zapewne jednak wkroczyłaś w związki małżeńskie nowe...

— Nie jeszcze...—odparła. Nie spieszy się mi... Wybieram, przebieram, od bankierów wielkich opędzić się nie mogę...

— Jednakże... — wtrącił tonem sentencyonalnym.

— At... O...

Ujęła w dwa palce brzeżek narzutki aksamitnej, co ją okrywała i wstrząsnęła nim z tym gestem charakterystycznym, który otrząsanie się moralne z czegoś tłómaczy.

Ksiądz na nią uważnie spojrział i oczami ją zmierzył; odchrząknął i rzekł:

— Bądź co bądź... tak przecie nie zostanie... Serce pani przemówi, a zapewne i — dodał znacząco — przekonanie co wybierze... Gdzie pani mieszka?.. — zapytał.

— W domu własnym (wymieniła numer i nazwę ulicy); alem ja zapytać o coś chciała i dla tego tu przyszła...

— Proszę...

— Jaby do Śródborza pojechała?..

— No?..

Oczy kobiety magnetycznym migotały blaskiem.

— Nic...—odpowiedziała ze zmieszaniem lekkiem. Tak sobie... o... Czy to nie wolno?.. Ja teraz bogata taka!.. Siedmdziesiąt tysięcy talarów dochodu...

Wyrazy ostatnie z dumą uakcentowaną wymówiła.

— Była tam pani kiedy?..

— Wielmożny pan nie pamięta?..

Ksiądz oczy do góry wznosił, jakby przypominał sobie. W rzeczy samej, zapomniał może.

— Wtenczas... wtenczas... — podpowiadała, usiłując wspomnienie w umyśle księdza obudzić.

— Kiedy?..

— Jaż tam wielmożnego pana widziała...

— Nie przypominam sobie...

— List od barona z Klatek...

— List?..

— Nu... i ogony...

— Ogony?..

— Od psów... od psów, co to je baron poobcinał...

— Oho!.. — krzyknął ksiądz. Przypominam sobie... List i rachunek... czy tak?..

— Tak...

— Odjechałaś pani z młodym grafem?..

— Nu... rychtyg... z młodym grafem, z tym co był tu studentem...

— A tak: czas jakiś znajdował się w zakładzie moim...

— Otóż to... młody graf, co tak pięknie... pięknie wyrósł...

Pięknie wyrósł...—powtórzyła, patrząc księdzu w oczy.

Ksiądz nie nie odpowiedział na to; nie zważał zdawało się, na akcent, z jakim wyrazy te wymawiane były. Milczał i czekał na to, co kobieta powie; ta zaś ze swojej strony czekała także, wreszcie milczenie przerwała:

— Jakże — zapytała — gdybym do Śródborza pojechała?..

— Hm?.. nie wiem...

— Jak się wielmożnemu panu zdaje?..

— Trudna rada...

— Ja się tak wielmożnego pana pytam dla tego, że wielmożnemu panu niekiedy się... przydawała... to mnie się zdaje, że mi wielmożny pan poradzi...

— Owóż, jeżeli mam prawdę powiedzieć... nie myślę, ażeby to wypadało...

— Nie?..

— Nie... nie myślę... — odrzekł z akcentem przekonania.

— Choć ja bogata taka?..

— Tam pieniądze znaczą nie wiele...

— Cóż znaczy?..

— Co innego... Wyobraź pani sobie jeno grafa, hrabinę, hrabiów młodych, hrabiankę...

Mówiąc to, giestykułował ręką, pokazując dłoń wyżyłą, niby obłoków sięgającą.

— Graf, hrabina, hrabiowie młodzi, hrabianka...—powtórzył — o!.. Pałac sobie postawili...

— Pałac .. — bąknęła kobieta w sposób echo-
wy, a tonem takim, jakby się z pod jakiegoś przygniecenia wydobywały; po chwili jednak, jakby otrzeźwiała, odezwała się: — Ny... a ja: czyżbym to ja pałaca postawić nie mogła!.. Pałac, owa!.. Nie ma co w pałac dać tak bardzo ..

— Zapewne... gdy do dęcia nie ma innego... Po pałacach mieszkają ludzie różni mniej i bardziej bogaci; nie każdy jednak bogacz grafem jest... To coś przecie znaczy...

— Jakże to będzie?.. — odezwała się bogaczka tonem pretensyi.

— Pozwól mi pani, ażebym rzecz tę bliżej rozpatrzył... Dowiem się i... panią odwiedzę...

— No... to ja się na wielmożnego pana spuścić już mogę?..

— Jaknajzupełniej...

Posiedziała jeszcze trochę; pytała kto studentom pierniki i makaroniki nosi; powiedziała, że za czasem kiedy to czyniła, nie żałuje zgoła i pożegnała księdza, który ją do schodów odprowadził.

W ciągu rozmowy wyraziła się, że przyszła. Nie zgadzało się to z istotą rzeczy. Nie przyszła, ale przyjechała, a przyjechała nie lada jak. Przywiozła ją i odwoziła kareta, nosząca stem-
pel fabryki jednej z najpierwszych w Berlinie, ciągniona przez konie rasowe, nad którymi berło furmańskie dzierzył stangret w liberyi migdałowej i ze wspaniałym kołnierzem futrzanym. Stangretowi wtór trzymał lokaj, odpowiadający wszelkim dobrego tonu wymaganiom.

Kareta zatrzymała się przed jednym z domów przedmieściowych, wjechawszy w podwórze, graniczące z ogrodem. W podwórzu nie się osobliwego w oczy nie rzucało, a to dla tego zapewne, że zima użyczała onemu tej cechy, którą nadają mrozy, sprowadzające do mianownika jednako-
wego piękno i niepiękno, uśmiech i skrzywienie płaczliwe. Warto jednak było do środka domu zajrzeć. Wnętrze domu miało pozór pudelka do przechowywania klejnotów co najkosztowniej-
szych. Na podłogach kobierce; meble wytworne a miękkie i sprężyste; obicia, firanki, ozdoby i sprzęty w gatunku jaknajlepszym. Na wszy-
stkim tem wszakże odbijało się piętno tapicera,

któremu polecono dom wewnątrz zaopatrzyć i przyozdobić, bez oglądania się na koszt. Nie brakło smaku, ale smaku takiego, jakim się od-
znaczają okazy na wystawach przedstawiające salony, budoary, gotowalnie, jadalnie i sypialnie, to jest, smakowi brakło natchnienia, zdradzają-
cego się często w drobiazgach, zawsze w rozkła-
dzie. Widocznem było, że gospodyni domu w nie swego nie włożyła, z wyjątkiem chyba łóżka sypialnego, zaopatrzonego w piernaty ze zbyt-
kiem, przechodzącym granice zbytku zwyczajne-
go. Piernaty odznaczały się grubością i puszy-
stością, przysposobioną do przyjmowania ciała ludzkiego, jak woda przyjmuje przedmioty toną-
ce. Tego tapicer nie wymyślił. Piernaty nosiły na sobie piętno indywidualizmu osobistości, oto-
czonej wytworami sztuk i rzemiosł, składających się na przyozdabianie i zaopatrywanie mieszkań ludzkich. Od piernatów wiało żydówką.

Takiem było mieszkanie Chany, która umodyfikowała imię swoje i nazywała się pani Anna Kalisz.

„Prybud szczęścia, rozum bude.” Zostawszy nagle wielką panią, pani Anna zastosować się potrafiła do nowego położenia swego. Wielkiem we względzie tym dla niej ułatwieniem było to, że pełniła funkcję faktorki. Dzięki funkcji tej przypatrywała się i wiedziała, jak ludzie na róż-
nych szczeblach drabiny społecznej żyją i gdzie się zwrócić należy, ażeby sobie życie na stopę odpowiednią urządzić. W krótkim czasie prze-
ciągu w domu aparat wewnętrzny w ruch pusz-
czony poszedł i szedł, jak w zegarku. Służba zajmowała stanowiska odpowiednie, a przy oso-
bie pani znajdowała się panna służąca, panna Maryanna, osoba obowiązki swoje na wylot zna-
jąca.

Gdy przeto pani Chana, czyli Anna, od księ-
dza powróciła, osobą, która ją w progu budoaru spotkała, była panna Maryanna. Pani Anna usiadła; panna Maryanna wnet przystąpiła do głowy jej, celem zdjęcia z takowej kapelusza. Podczas kiedy iglice wyjmowała, pani Anna ode-
zwała się:

— Ten kapelusz... ny: w nim doprawdy mnie do twarzy... Przekonałam się o tem w zwierciadle w karecie...

— Jużem pani mówiła... Jak tylko się to za-
miast wstażki gładkiej dało mora, wnet się ka-
pelusz zrobił szyk...

— No... no... Jak to mało na szyk potrzeba!..

— Jedno nie...
— Nic zawsze będzie nie...
— To tak się mówi... Nie niekiedy nazywa się brylancik, kosztujący talarów tysiąc...
— Cóż to znaczy tysiąc!.. Owa... tysiąc... Ph...—dmuchnęła.

Gdy ze zwierzechnich narzutów rozebraną została, w zwierciadle się przejrzała i zapytała:

— Nie było tu nikogo?..
— Owszem: trzech panowie, którzy karty swoje zostawili...

Karty na srebrnej pozłacanej tacy podała i pani Anna wzięła jedną, spojrzała, rzuciła i rzekła:

— Człowiek ten nudzi mnie..
Wzięła drugą:
— Ach!.. — wymówiła przeciągle z zacięciem indygnacji.

Wzięła trzecią, nazwisko przeczytała.
— Cóż to za jeden?.. Pisz się od Rotszylda?..
--- Kawaler jakiś bardzo sztywny i grzeczny...

— Dla panny Maryanny grzeczni oni wszyscy..
— O tak... za pozwoleniem pani... — odparła panna służąca ze zmizdronym uśmiechem.

— Nie bronię... ja nie taka... Niech panie Maryannie grzeczności przynoszą jaknajwięcej... i owszem... Ja bym chciała, żeby u mnie wszystkim działało się dobrze.. taka natura moja... A swoją drogą, powiadałam i powtarzam, że jak mi panna Maryanna da znać o kawalerze, do którego serce moje idzie, to ja jej dam na rączkę...

Cmoknęła i pokazywała liczenie pieniędzy na dłoni...

— Byle bym go poznać mogła...
— Phi... poznać?.. Poznałaby go panna Maryanna z łatwością, gdybym ino powiedziała imię jego.. Bo i on, gdy przyjdzie, to kartę pokaże...

— O, gdybyż przyszedł!..
— Aih... — westchnęła pani Anna otworzywszy gębę szeroko i odjęknawszy po westchnieniu.

Nadęła się i dmuchnęła, przystrojając oblicze w minę utrapienie oznaczającą.

— Może on nie przyjdzie nigdy...
Usta oddęła, głowę na bok nieco przekrzywiła i zadumała się.
— Niech się pani nie trapi...—głosem płaczliwym odezwiała się panna Maryanna.

— Jak mi się nie trapić!.. oh... — odparła i głową kiwać poczęła.

Wzdychała a oczy to zamykała to otwierała.
— Co bym ja za to dała, gdybym panią pocieszyć mogła!..

— At...—machnęła pani Anna ręką. Miałam ja dawniej utrapienia inne, a teraz znów inne, a zawsze takie wielkie, że nie daj Boże... Ah aj...
— Pani duszka... pani... pani...—poczęła panna Maryanna popłakiwać naprawdę.

Pani Anna także do płaczu się krzywiła i byłaby nastąpiła scena łzawa, gdyby turkot na podwórzu nie oznajmił czyjś przybycie. Panna Maryanna wyskoczyła, za chwilę powróciła z kartą wizytową.

— To ten od Rotszylda...—rzekła pani Anna, na kartę okiem rzuciwszy.
— Jakiś bardzo sztywny...

Pani została, w zwierciadle się przejrzała, włosy sobie poprawiła, uczyniła wszystko zupełnie, jak czynią damy najlepiej wychowane i przeszła do salonu, gdzie na wejście jej podniósł się z fotelu młody człowiek, przedstawiający typ paryżanina, wychowanka salonów. Prezentować się nie potrzebował, pozdrowił więc jej no panią domu i ta, skłoniwszy się, krzesło mu ręką wskazała. Usiedli. Gość nogę na nogę założył i zaczął rozmowę od tego, że wygłosił komplementów kilka, odnoszących się do gustu w urządzeniu salonu, przypominającego salony paryskie. Ten sam akcent, taki sam ton!

— Pani z Paryża dawno?..
— Nigdy tam nie była..
— Być nie może!..—zawołał.
— *Af meine munes...*—odrzekła z eleganckim uśmiechem.

— Przyznać więc pani muszę potęgę smaku olbrzymią... Ze smakiem takim pani byś w Paryżu rewolucję salonową sprowadziła...

— *Hörste die!*.. Ja do rewolucji taka, jak kocha do chomonta...

— Pani siebie nie zna, o! nie zna...—perswadował paryżanin.

Następnie zagadał o teatrze, dalej o sztukach pięknych; bawił nie długo i odchodząc, prosił o pozwolenie korzystania z miłego towarzystwa, jakie mu losy nastęrczyły w tem mieście, do którego go sprowadził wielki interes kolejowy.

— Na sto siedemdziesiąt siedem milionów...—mówił. A rozechodzi się o bagatelę: o dziewiętnaście milionów...



„A teraz czekaj i patrz co będzie.”

— Piękna mi bagatela!.. Dziewiętnaście milionów?.. Aj waj!..

Żegnając się już, przypomniał sobie, że ma do pani Kalisz list od barona Rotszylda. List ów z pugilaresu pięknego wyjął, podał, pani domu dłoń uściskał, szlachetnie głowę skłonił i za drzwi się wyniósł.

— Ot masz...— rzekła pani Anna, powracając od buduaru, dokąd i panna służąca weszła. Pluwał mi w oczy dziewiętnastu milionami, a przyjechał w zalecanki do milionów moich... Będzie je widział, jak ucho własne... Nie dla psa kielbasa...

— A taki szykowny!..—wtrąciła panna.

— Phiii... Szykowniejsi aniżeli on obwąciewać mnie będą... Ale... djabła zjedzą... Ja nie taka... Ja jak ta tabaka, od której w nosie kręci... Niech tam sobie idzie na *furfal*... Aha!..—zawołała. A jaż mam od barona Rotszylda list!.. Ciekawam, co w liście tym stoi...

Czytać się jął, bąkała i wyrozumiała, że wielki bankier poleca jej pełnego nadziei na przyszłość najświetniejszą młodego człowieka, który ma pieniędzy dużo i pomysły znakomite; nie wątpi, że uzyska on jej względy łaskawe i spodziewa się, że względy owe nie będą przemijające.

— Fiu fiu fiu... — wygłosiła po odczytaniu listu. Nie tędy droga... Czemu to baron Rotszyld nie pisał do mnie, kiedym ja z piernikami chodziła?..

Tok dalszy rozmyślań głośnych przerwała druga wizyta; po tej nastąpiła trzecia, czwarta i tak dalej. Ludzi młodych luzowali mężowie poważni, przyozdobieni w typowe szory i uszy; język niemiecki zmieniał szwargot żydowski; na stół wytaczały się przedsiębiorstwa rozmaite przemysłowe i handlowe: ten o pszenicy, ów o drzewie, inny o skórach, a jeszcze inny o lupinach z jaj prawil. A wszystko to przedstawianem było, jako rzecz ważna, zyskowna i ciekawa; we wszystkim tem atoli najciekawszem było to, że każdy z gości, bez względu na to czy młody, czy stary, nie żonaty i żonaty, występował w charakterze spółubiegającego się o rękę rozwódki bogatej.

— Jakże mnie oni nudzą .. nudzą!.. — zawołała, gdy się wreszcie procesya ta skończyła, Harmider niby we młynie, a .. o co?.. o plewy... Tak było wczora, tak będzie jutro, pojutrze... ufl!..

— Bo, gdyby pani którego jednego z kawale-

rów szykownych wybrała... — wszczeła panna Maryanna.

— Jam już wybrała... Wybrało serce moje... A!.. Powiedz tam panna Maryanna, niech konie do karety założą... Wywiozę utrapienie moje za miasto, to mi się troszke koło szerca lżej zrobi...

Przejażdżki zażyła, wróciła; stół nakryty zastala, do stołu zasiadła. Utrapienie apetytu jej nie ujmowało; przeciwny raczej wywierało skutek. Toż samo powiedzieć można o śnie. Na pierzynie położona i pierzyną okryta, w puchach utepiona, strychem jednym przespala od wieczora do rana. Budziła się wedle nawyku starego równo z dnia świtaniem, ale wylegiwała się ile zasnęła.

X.

Po niespodzianej pani Anny wizycie, ksiądz Jan do kancelaryi swojej powrócił, przy biurku zasiadł, ale pracować nie mógł. Przeszkadzało mu świeże tej wizyty wspomnienie, nasuwające mężowi temu do głowy obfity do rozmyślenia materyał. Materyał ów rozpadał się sam przez się na filozoficzny i konjunkturalny i nadawał się do ważenia na wążkach podwójnych: na metafizycznych — abstrakcyjnych i praktycznych — utylitarnych. Pierwsze odnosiły się do władzy owej tajemniczej, od której zależą losy ludzi i narodów. Dziwnie jest ona fantastyczną w rozdawaniu łask. Jaką się we względzie tym powoduje regułą? Ksiądz Jan długo, bębniąc zlekka po stole palcami, nad rozwiązaniem problemu tego myślał i nie wymyślił nic. Analiza orzeczeń, ubranych w poważność najwyższą, doprowadzała go do rezultatów, których by się wypowiadać nie odważył głośno, luboć w cichości ducha powiadał otwarcie, co o nich myśli. Z sobą samym był szczerym i uznawał, że przypadek, co Chanie, która toczyła walkę o byt nie przebierając w sposobach, majątek w ręce dał, podciągnąć się nie da pod żadną z prawd, które sam głosił.

— Ale zużytkować się da...

Właściwość utylitarna ukazywała się wyraźnie, zależało jednak od warunków, które rozpoznać i zbadać należało. Znawca serca ludzkiego, jakim był ksiądz Jan, spostrzegł, że się następuje sytuacja do wyzyskania. Chodziło jeno o sposób. Chodziło także i o cel, ten atoli pozostawał do oznaczenia, mógł być bowiem taki lub

inny, stosownie do skłonności, jaka by się w fa-
worytce fortuny zmanifestowała. Zachodziło
pytanie: co się z Chany zrobić da?—czy się ona
wykieruje na dobrodziejkę, czyli też na gorszy-
cielkę społeczności?—w jakim charakterze wy-
stąpi w razie pierwszym, w jakim w drugim?—ja-
kie sprężyny w niej działają? Pytania te wszy-
stkie przedstawiały się, jako zdania, których
rozwiązanie określało warunki, na jakich wy-
zyskiwać należało sytuację, wytworzoną przez
przypadek.

Ksiądz Jan znał Chanę, ale znał ją w okolicz-
nościach, które nad nią panowały wszechwła-
dnie. Ona się do takowych nagięła bezwzględ-
nie. Naginanie się owo dawało skazówkę nie-
jaką we względzie charakteru kobiety. Podsta-
wiając namiętność na miejscu okoliczności, moż-
na się było naginania spodziewać.

— Namiętności...

Zanotował sobie ksiądz punkt ten w myśli
i zabębnił na stole mocniej. Z namiętnościami
znał się on i we względzie tym pobłażliwość po-
suwał tak daleko, jak można, zwłaszcza w od-
niesieniu do osoby własnej. W mniemaniu jego
wszelakie reguły przyzwoitości i moralności
istnieją nie na to, ażeby onych nie gwałcić, ale
na to ażeby gwałcenia nie pospolitować, ażeby
nadawać onemu wytworne a heroiczne formy,
dostępne jeno dla wybranych. Na drodze tej łą-
czył on etykę z estetyką, poczytując za grzech
nie to, co się konwencyjonalnie grzechem nazy-
wało, ale to co oryginalnem i ciekawem nie by-
ło. Był więc co do tego wymagającym i z tej
przyczyny w słowach okazywał się moralistą
surowym; słowem ustnem i pisanem głosił cnotę,
karcił występki, filozofował, dogmatyzował, sub-
tylizował i grzech lubił ala oryginalny i cieka-
wy. Pod warunkiem tym gotów był i sam
zgrzeszyć i bliźniemu do zgrzeszenia rękę po-
mocną podać.

Warunek tego rodzaju w perspektywie w mi-
lionach Chany ukazywał się przez to samo, że
miliony owe do wzięcia były. Przedstawiały
się one, jako coś nakształt premium w wyści-
gach, jako klejnot zawieszony na szczycie masztu
mydłem wysmarowanego. Ksiądz zanadto znał
świat, ażeby wiedzieć nie miał, iż spółubiegają-
cych się stanie dużo.

— Pogarną się oczywiście żydzi...—pomyślał.
Pomyślał atoli jeszcze i odchrząknął.

— Hm?.. Żydzi, zapewne... — powiedział so-
bie po chwili—ale... nie żydom, czy nie wolno?..

Chana zapytywała o Grackich. Co by to zna-
czyć mogło?.. Co by nie znaczyło, znajdował się
w tem punkt do zahaczenia działalności, dzięki
której na pole wyścigów wprowadzić by się dało
żywioł nie żydowski.

Działalność ta atoli wymagała pewnych kro-
ków wstępnych, przygotowawczych, przedewszy-
stkiem zaś, rozpoznania gruntu—uczynienia w tę
stronę rekonesansu. Bez tego, myśleć nie ma
o czem. Działanie na oślep sensu nie ma.

Do konkluzji takiej doszedłszy, ksiądz Jan
wstał, papiery zsunął, biuro zamknął; podać so-
bie kazał futro i czapkę, odział się i na przecha-
dzkę wyszedł. Mijał ulicę jedną po drugiej,
obchodził i wydostał się na tę, na której znajdo-
wał się dom pani Anny. Mimo domu tego prze-
szedł wolno raz, powrócił i powrócił raz jeszcze.
Powracanie to miało obserwację na celu—obser-
wację pogładową, dzięki której nasunęły się
skazówki nie bez znaczenia dla człowieka, co
kombinować umie. Dowiedział się, że powoła-
nych jest dużo; ponieważ zaś powołani się cisną,
a zatem wybranego jeszcze nie ma. Kiedy za
trzecim razem mimo domu przechodził, wyjeź-
dziła właśnie karetka pani Anny. Na zegarek
spojrzał i do siebie powrócił.

Od momentu tego upłynęło równo godzin dwa-
dzieścia cztery i pół, kiedy ksiądz Jan przyszedł
do domu pani Anny i zakolatał do drzwi. Przy-
chodził z wizytą. Otworzyła mu panna Ma-
ryanna.

— A?..—odezwała się ta ostatnia z akcentem
zdziwienia lekkiego—ksiądz dobrodziej?..

W rękę księdza pocałowała.

— Hm?.. hum?.. panienka mnie zna?..

— Któż nie zna księdza dobrodziej!..

— Zły szeląg... co?..—rzekł żartem.

— Co też ksiądz dobrodziej powiada!.. Jakże
można mówić coś podobnego!..

— Mówię co i jak jest...

— Ale gdzież tam!.. ale skąd-że!..—poczęła
panna Maryanna protestować.

— Mniejsza tam o to... — przerwał ksiądz.
Nie przyszedłem po to, ażeby dysputy staczać,
ale z wizytą i w tem osobliwem znajduję się po-
łożeniu, że ani panienki imienia, ani pani domu
nazwiska nie znam...

— Ja się nazywam Maryanna, proszę księdza,
a pani moja pani Anna Kalisz.

— Zastaje ją?..
— Nie, proszę księdza dobrodzieja... Na spacer wyjechała...

— Zabawi zapewne...
— Tak... nie... Ale może ksiądz dobrodziej wypocząć zechce...

— Owszem... chwilkę...

— Proszę...

Drzwi od salonu otworzyła i ksiądz, miejsce na fotelu zajmując, do panny Maryanny z następującem zwrócił się przemówieniem:

— Uprzedzić panienkę muszę, iż nie mi nie jest tak wstępnem, jak samotność... Spodziewam się, że panienka nie pozbawi mnie przyjemności towarzystwa swego...

— O... proszę...

— Ale może panienka samotność lubi...

— Nie tak to koniecznie...

— Może przeto przerwałem miłe jakie wieczery czy posiedzenie?..

— Ksiądz dobrodziej żartuje...

— W każdym żarcie jest część prawdy, a prawda w tym razie siedzi u panienki w oczach...

— Alboż oczy moje... co?..

— Ładne... ot co... W taką parę oczów druga oczów para z ochotą patrzy...

Panna Maryanna kryg urzędowy wykonała i oczy spuściła.

— Pod warunkiem—ksiądz dodał—ażeby się pierwsza para nie chowała.

— At...—odparła panna z akcentem zadowolenia.

— Bywa u was ludzi dużo?..

— Och!..—odrzekła—więcej jak...

— Jak co?..

— Jak potrzeba...

— Rozmaitych?..

— Ze świata całego... Mój Boże!..

— No?..—zapytał tym tonem, którym się panny służące na gadanie wyzywa.

— Z Berlina, z Wrocławia, z Krakowa, z Warszawy, z Hamburga, Frankfurtu, a wczora trafił się jeden z Paryża... o...

To rzekłszy wzięła ze stołu podstawkę z biletami wizytowymi i podała takową księdzu. Ksiądz bilety rozpatrywać począł, ona prawila:

— Ten z Paryża, przyjechał z listem od pana Rotszylda samego... jakiś pan wielki bardzo szkodny...

— Żyd?..—zapytał ksiądz.

— Nie znać tego po nim, ani trochę..

— Cóż pani Anna na to?..

— A cóż!..

— List od Rotszylda poruszyć ją musiał...

— Ot tak... trochę... nie bardzo...

— Przecie...

— Powiedziała: czemu Rotszyld nie pisał do niej, kiedy ona pierniki sprzedawała...

— Hm... tak powiedziała...

— Skarży się często, że ją nudzą... bardzo nudzą...

— Czemu?.. — zapytał ksiądz od niechcienia, przepatrując bilety.

— Ah!.. jest przyczyna...

— Jaka?..

— A jakaż!.. Przyczyna...

— Której panna Maryanna nie zna...

— Może i nie znam...—i dodała po chwili: — Domyślam się jednak...

— O domysły!..—odezwał się ksiądz z lekceważeniem.

— Jak jakie... Gdy się jednak mówi o sercu, wówczas domysły coś znaczą...

— Panna Maryanna mówi o sercu...

— Nie ja...

— Któż więc?..

— Pani Anna, którą ci wszyscy galanci nudzą, dla tego, że ma ona na sercu...

— Kogo?..

— Albo ja wiem... Pani mówi mi wszystko, tylko tego nie powiada... Nie powiada, ale czeka...

— Na co?..

— Na cóż!.. Na wizytę tego, kogo na sercu ma...

— Uhm... To dobrze... A jak tu u was ciepło!..—rzekł, po salonie okiem powodząc. Nie dziw: okna dobrze zaopatrzone, piec w ścianie, kominek... Pani nie prędko wróci?.. — zapytał w końcu.

— Za godzinę... może rychlej...

— Poczekałbym, tem bardziej, że mam jej słów kilka powiedzieć; ale—na zegarek spojrział — oho!.. i tak się już za długo z panną Maryanną zasiedziałem...

Wstał.

— Panienka wolałaby, ażeby na miejscu księdza był kto inny...

— Ksiądz dobrodziej mnie nie słusznie posądza...

— Nie posądzam o nic złego.

— Może ksiądz dobrodziej rozkaże mi co pani powiedzieć...

— Proszę przedewszystkiem pokłonić się jej odemnie, a potem... hm?... niech jej panienka oświadczy, że zajmuję się tem, o czem ona wie... Niechże pani Anna czeka cierpliwie i ze strony swojej żadnych nie czyni kroków... Potrafi jej panienka to powtórzyć?..

— Czemu nie!..

— Ej, panienko... panienko!.. — palcem pogroził.

— Czego mi ksiądz dobrodziej grozi?..

— Wolałbym taką ładną dziewczynę widzieć w ucziwym jakim domu katolickim...

— Nie dzieje mi się tu krzywda żadna... — odparła panna Maryanna zmieszana nieco.

— Krzywda się dzieje nie panience, ale duszyczce, o której się dla brzuszka zapomina... Gdy się jednak duszyczka biedna do smoły dostanie i smażyć pocznie, o toż to wówczas skwierku będzie!.. A jej!..

— Mamże miejsce takie dobre porzucić?..

— Porzucić... nie... Gdybyś panienka żywoty świętych czytała, dowiedziałabyś się, że nieraz służebnice panów na wiarę prawdziwą nawracali...

— Gdyby to można!.. — podchwyciła dziewczyna ze skwapliwością bodaj czy nie udaną.

— Można... — odparł ksiądz przeciągle — można... Wszystko można, tylko ostrożnie...

— Sama bym nie potrafiła...

— Cóż to?... czy brak takich, co by skazówki dali?... czy to nie ma konfesyonałów?... Dawno panienka u spowiedzi była?..

— Czy dawno?... o?... — odpowiedziała na dobre zmieszana. Troche już dawno...

— Hm... a co... Jam to z oczów poznał... Oczęta ładne, ale w nich siedzi djablik, który się przed księdzem utaić nie umie... Oho, znamy się na sztukach i sztuczkach...

Podeczas kiedy wyrazy powyższe mówił, dziewczyna go w rękę z przyciskiem całowała.

— Ale to nic... — prawil. Związujemy i rozwiązujemy... po skarceniu następuje absolucya... Dowcip cały na tem polega, ażeby nie umrzeć w stanie grzechu... o... Rozumie panienka?..

— A gdzie, księżę dobrodzieju?... — szepnęła dziewczyna.

— U świętego Antoniego... Czy pani Anna nie ma przeciwko temu nic, ażebyś na mszę chodziła?..

— Broń, Panie Boże!..

— Ano... A więc... Pokłoń-że się pani odemnie i powtórz jej, com ci mówił...

— Powtórzę co do słowa... — przyrzekała i dodała: — to kobieta taka dobra...

— Tem też bardziej — rzekł ksiądz na odchodnym — godziłoby się ją wyswatać za katolika rzetelnego...

W futro się zawinął, czapkę na czoło nasunął i przesuwać się jął ulicami, prowadzącymi do zakładu. U wrót zakładu zatrzymał się; ręką sięgnął celem pociągnięcia sznurka od dzwonka; lecz się powstrzymał. Namyslił się. O tej wieczornej dnia porze studenci lekcye zadane odrabiali, następnie do wieczery zasiadali. Obecność jego nie była niezbędną. W zakładzie szło wszystko, niby w zegarku. Nauczyciele, korepetytorowie i dozorecy, każdy z osobna i wszyscy razem pełnili funkcyje swoje skrupulatnie. Ksiądz Jan prowadził kontrolę, skuteczność której tego wymagała, ażeby, wglądając od czasu do czasu, tem łatwiej oceniać mógł postępy w naukach i przestrzeganie reguł dyscypliny. Nie zależało na tem, ażeby się w zakładzie znajdował koniecznie. Nie wszedł więc; zwrócił się w lewo i w kilka minut później siedział w księgarni, przeglądając nowości, które w ciągu kilku dni ostatnich napłynęły i rzucając od czasu do czasu po słów kilka prowizorowi, który, o stół środek ciężkości ciała swego oparłszy, stał nieopodal z rękami na piersiach skrzyżowanymi. Rozmowa tyczyła się handlu księgarskiego. Ksiądz Jan zapytywał o autorów:

— Ten idzie?..

Prowizor odpowiedział: „nie osobliwie,” lub „nie.”

— Żaden więc nie idzie... — rzucił ksiądz w końcu.

— Ano... moment taki... zastój w handlu księgarskim, u nas zwłaszcza... Publiczność nie ma do czytania, a zatem i do kupowania nic pożądanego...

— Straciła wiarę w siebie..

— Hm?... — prowizor na to. Nie wiem... Nie rozumiem, jaka by mogła zachodzić styczność pomiędzy wiarą w siebie, a kupowaniem książek...

— Bezpośrednia i wielka... W literaturze składa naród swoje pragnienia, nadzieje i widoki: gdy przeto nie interesuje się nią, jest to znak, że pragnieniom, nadziejom i widokom za wygraną dał..

— A może autorowie wyrażać takowych nie umieją...

— I to się zdarza...

— Może pragnienia, nadzieje i widoki zmieniły się i nie nadeszli jeszcze tacy, co by je wyrażać jak należy umieli...

— Czyż-by?... — rzucił ksiądz.

— Nie wiem... Wyciągam ze słów księdza do brodzieja wnioski, które do handlu odnoszę... Jeżeli pomiędzy literaturą a wiarą w siebie narodu związek zachodzi, w razie takim spodziewać się należy, że dla nas lepsze nastaną czasy, zdaje mi się bowiem, że wiara w siebie, jak w człowieku pojedynczym, tak w zbiorowym nigdy doszczętnie nie ginie...

— Tak pan sądzisz?..

— Zmienia formy, niekiedy nawet istotę, ale nie ginie...

— A tak... — odparł ksiądz z przekąsem. Masz pan rację... W zmienionych formach, w istocie nawet, oglądać ją można w Śródborzu, gdzie dla niej graf demokrata za pieniądze na lichwę pożyczone pałac w gęście włoskim stawia...

Prowizor na to ramionami ścisnął i odpowiedział:

— Nie wiem...

— Słyszałeś pan o Śródborzu?..

— Słyszałem... Jest to niedorzeczność, niczego sama przez się nie dowodząca; wzięta zaś w odniesieniu do ogółu dowodzi tego chyba tylko, że przeobrażająca się społeczność nie znalazła sobie jeszcze postaci odpowiedniej i błędzi, szukając takowej...

— Hm?... — uśmiechnął się prowizor.

Prowizor wygłaszał zdania swoje od niechcienia, widać jednak było że wyrazy jego, dotyczyły księdza Jana do żywego.

— Na cóż mu postaci jakiejś kiedy ma gotową...

— Odwieczną... — dorzucił ksiądz.

— Zużyła się może...

— Co pan gadasz!..

— Ja o niczem nie wiem...

— Ignoranta udajesz... Powiedzieć o panu można: kpisz i o drogę pytasz... No... ale...

— Ksiądz dobrodziej wołałbyś, ażeby było inaczej... — rzekł prowizor z uśmiechem.

— Zapewne... kury by wołały, ażeby mędrszemi od nich być nie chciały wysiedziane przez nich kurczęta.. to w porządku... Mniejsza je-

dnak o to... Gdyśmy w materji tej dyskusję zawiązali, dyskusya pociągnąć by się mogła długo, a jam się i tak w księgarni zasiedziało...

— Księdzu dobrodziejowi spieszno do zakładu...

— Nie... — odparł ksiądz Jan wstając. Chciałbym się widzieć z Masiem Grackim, nie wiem jednak gdzie go szukać...

— Przy Misi... Masio i Misia mogliby nie być razem...

— Hm?..

— Luboć... — ciągnął prowizor — słysząc, że się tam interesy dla młodego hrabiego układają nie najlepiej...

— A to?..

— Ze względu na silne spółzawodnictwo... W handlu spółzawodnictwo ma znaczenie ogromne...

— Niestety... Dla Masia to niepomysłnie, jako też dla wierzyteli jego, w liczbie których zapewne i wy być musicie...

— O, nie... Młodzieniec nie zaszczyca nas względami...

— I nie ubiegacie się o takowe... — rzekł ksiądz, podając prowizorowi dłoń, którą tenże z uszanowaniem uściskał.

W chwilę później ksiądz Jan znów się na ulicy znajdował. Wieczór był już zupełny i pruszyć począł śnieżek, który przy lampach gazowych wyglądał na kształt rojów muszek, zlatujących z powietrza na ziemię. Ziemia się ubiełała. Ksiądz się w futro zawinął i szedł wzdłuż domów nie długo. W niewielkiem od księgarni oddaleniu zwrócił się w podsień hotelu wspaniałego, zalanego światłem w częściach swoich wchodowych. Przed drzwiami głównymi duże latarnie olbrzymie wielkimi palily się płomieniami. Kandelabry oświecały sień i schody. Przed drzwiami bióra stał szwajcar w kaszkiecie z galonem i zdawało się, że kogoś oczekiwał.

Szwajcar, jak skoro księdza zoczył, wnet kaszkiet z głowy zdjął i postawę pełną uszanowania przybrał.

— Jak się miewacie, Jędrzeju?.. — odezwał się ksiądz do niego.

— Niczego, Bogu dzięki... — była odpowiedź.

— Co u was słysząc?..

— A!.. Nie osobliwego, proszę księdza dobrodzieja...

— Gości macie dużo?..

— Dosyć... tyle, że domostwo pustką nie stoi...

— To dobrze... bo i wam coś tam kapnie...

— Chwalić Boga...

— Numer siódmy zajęty?..

— A że zajęty?..

— Zawsze przez młodego hrabiego ze Śródborza?..

— Zawsze...—odpowiedział z tem w głosie lekceważeniem, które oznacza, że jest-to ton od zwierchnika przejęty.

— Nie wiecie, czy hrabia u siebie?

Szwajcar do bióra zaglądnął, na tablicę z kluczami spojrzął, dał księdzu odpowiedź twierdzącą i ksiądz po schodach na piętro poszedł.

XIII.

Ksiądz Jan zapukał do numeru siódmego—odpowiedziała mu cisza. Pocisnął klamkę—klamka poświadczyła o zamknięciu drzwi na głucho.

— Nie ma go...—rzekł do siebie.

Zeszedł o piętro niżej, na tak zwany *bel-etage* i nie skierował się na schody, ale w korytarz, w którym drzwi bardziej aniżeli na piętrze drugiem jedne od drugich oddalone otwierały się do apartamentów paradnych.

Apartament jeden z najpokaźniejszych zajmował—mniejsza o to, jak się nazywał lokator, który pozwalać mógł sobie na zamieszkiwanie w domu zajezdnym numeru, złożonego z pokoi kilku z przedpokojem i salonem, z obrazami i zwierciadłami, z aksamitem obitej meblami. Rzecz prosta, salon nie od tego, ażeby w nim lokator *solo basso* przesiadywał. Gdyby tak być miało, toć poprzestawałby na pokoju jednym, któryby mu do spania i spoczynku służył. Salon ów miał specjalne przeznaczenie swoje, wynikające z potrzeby towarzyskiej, która się ściśle wiązała z karnawalem.

Wskutek warunków szczególnych, w jakich się Wielkopolska znajduje, karnawał ma tam znaczenie szczególne. Niby to jest on tem samem co gdzieindziej; nie tem samem jednak. Różnicę stanowi akcent, dzięki któremu rozpoznać trudno, co maska, a co nie maska. Wielkopole w oczach się mienia; robią się wielostronnymi, a ze strony każdej wyglądają inaczej. Bawią się przytem szczerze, z zapalem, stają się niezmiernie hojni i —co jest powszechnem karnawałów wszelkich —znamieniem—prowadzą ową

czynność handlową, która polega na kojarzeniu małżeństw w towarzystwie wyższem. Towar małżeński wystawia się za witrynami i odbywają się targi maskowane. Polem wystaw są salony w publicznych i prywatnych domach.

W odniesieniu do salonów tych, salony takie, jak ów w hotelu, są rodzajem dodatków czy też dopełnień niezbędnych, jak kropka nad i, ogonek pod e lub kreska na l, jak prologi i epilogi, w które starożytni zaopatrywali sztuki dramatyczne. Na salonach balowych, rautowych i reductowych schodziły się płeć obie zawsze w maskach; na tym widzieć się dawała sama jeno płeć męska bez maski w zasadzie i po koleżeńsku niby.

Na świecie bywa rozmaicie. Zdarza się, w miejscowościach zgoła nie lepiej od Wielkopolski wyposażonych, że ludzie młodzi, w celu zabawy zgromadzeni, bawią się a w przestankach toczą dyskusję, słuchają wykładu, popisują się z wymową, oddają się ćwiczeniom gimnastycznym, próbują słowem sił młodych w zakresie bądź intelektualnym, bądź fizycznym. Sposób ten przepędzania czasu przychodzi sam przez się—sprowadza go potrzeba zapelnienia próżni, wynikająca z prawa natury. Taż sama potrzeba w Wielkopolsce inne, niestety, sprowadza następstwa. Próżnia zapelnia się inaczej. Stają w niej stoliki zielone, zmieniające się w plac boju niekrwawego, ale za to wzruszającego.

Tego rodzaju plac boju wyszykował się w salonie, o którym mówimy. Było w nim ludno i dymno. Świece stearynowe oświecały postacie ludzi młodych, siedzących do kola i wygłaszających wyrazy takie, jak: parol! na dublę! na peł transport! i t. p. Jedni z nich jaśnieli zdrowiem, inni wyglądali blado, większość zdobyły łysiny, fabrykujące czoła wyniosłe. W jednym z rogów siedział Masio, w ręku karty trzymał i stawiał, gdy na niego kolej nadchodziła. Gra szła porządnie, spokojnie, przyzwyczajenie, jak przystoi w towarzystwie, złożonem z ludzi dobrze wychowanych, szanujących godność własną w słowach, giestach, fryzurze, paznogiach, kroju odzieży i wykończeniu obówia. Nikt nie przewodził. Lokaje posługiwali. Zegarkowa akuratność panowała w ruchach, nacechowanych powagą taką, jakby chodziło o sprawę, pomiędzy najważniejszemi, najważniejszą.

Było to jednak blażeństwo wielkie.

Naokoło błazeństwa tego chodzono z powagą ogromną i z uwagą taką, że nikt ani spostrzegł księdza Jana, który wszedł, stanął i patrzył.

Stanął, patrzył i nikt go nie widział.

Spostrzeżono się na obecności jego nie pierwiej, aż się głosem podniesionym odezwał:

— O ogórki!.. ogórki!.. Otóż bym grzmocił, gdybym w ogórkach był!..

— A ksiądz Jan!.. ksiądz dobrodziej!.. — słysząc się dały głosy.

Wraz z głosami zwróciły się ku przybyszowi oblicza uśmiechnięte przyjaźnie i paru ludzi młodych powstało.

— Grzmociłbym!.. — powtórzył.

— Nie dopuściłby się ksiądz tego... — odrzekł jeden od stolika.

— Czemu?..

Na zapytanie to dano odpowiedź gwarną i niewyraźną. Ten mówił jedno, ów drugie. Zrozumieć nie można było dowcipów, na które się ów kwiat młodzieży sadył, usiłując być dowcipniejszym jeden nad drugiego. Każdy się śmiał z konceptu własnego. Koncepty owionęły księdza, naksztalt wichrów; on pośród nich stał, niby dąb silny; słuchał; niedosłuchał się snadź niczego, co by podnieść warto było; wreszcie głosem podniesionym a żartobliwością surową nacechowanym, odezwał się:

— O! z pod skrzydeł moich w świat wyszle piskłeta... O! piskłeta... Także to korzystacie z nauk moich?..

— Prowadzimy się, ojcze wielcebnny — odparł jeden — grzecznie i przyzwoicie, nie gwałcąc żadnego z przykazań, nie dopuszczając się żadnego z grzechów głównych, ani nawet powszednich...

— W karty gracie!..

— Czy granie w karty zabronionem jest przez kanony?.. — zapytał jeden.

— Czy nie broni ono od pożądania żony, wolu, osła i służebnicy bliźniego?.. — zapytał drugi.

— Od grzesznych myśli w ogóle?.. — dorzucił trzeci.

— Oto, niech ksiądz dobrodziej lepiej miejsce pomiędzy nami zabierze — przemówił gospodarz, młody człowiek przyozdobiony w brodę i w łysinę — i wyobrazi sobie, że jesteśmy w Hamburgu...

— Ażebyście do gazet podali?.. — ksiądz na to.

— Al!.. al!.. — zaprotestowali wszyscy prawie.

— I przedstawili mnie, jako gorszyciela?..

— Miałzeby się pomiędzy nami znaleźć Judasz!..

— Ano...

— To niepodobna!..

— Zdarzają się rzeczy niepodobne...

— Ksiądz dobrodziej czynisz aluzję do Hamburga... — zaczął jeden — ale tam ojca wielcebnego podpatrzyć musiał niezawodnie jakiś demokrata, ateusz, nieprzyjaciół kościoła; tu zaś myśmy sami swoi... *Noblesse oblige*...

— Hm?..

— Niech ksiądz dobrodziej siada...

— Kusicielu!.. — zawołał ksiądz Jan.

— Kusicielstwo tego rodzaju nie zacieży mi na sumieniu...

— Ale mnie zacieży... gdy was ogram...

— To zależy...

— Przy mnie szansa największa...

— Skąd-że to?..

— Stąd, że mnie się miłość nie ima...

— Przesady!.. — odparł któryś. Masio w miłości taki szczęśliwy, a szczęście w karty od niego się nie odwraca...

— Zresztą — zaczął ksiądz Jan — gdybym się namówić dał, zaciągnęło by się to i czas mi zabrało...

— Godzinka... — odrzekł gospodarz, spoglądając na zegarek. Pół do ósmej... Dziś bał w re-sursie, nie możemy przeto przy stoliku zielonym pozostawać dłużej jak do dziewiątej... Zabrało by to księdzu nie więcej, półtorej godziny... Półtorej godziny, poświęconej zabawie niewinnej, toć to nie zbrodnia...

— W gronie przyjaciół, wielbicieli i uczniów... — dodał jeden.

— Nie... nie mogę... — odparł ksiądz stanowczo.

— Chce więc ksiądz dobrodziej opuszczać nas?..

— Nie... — odrzekł, miejsce zajmując. Posiedzę trochę i zabawię się, śledząc koleje losów waszych...

— Cóż w tem za satysfakcja!..

— Tak wypadło, że na niej poprzestać muszę... Z wami bym ceremonii nie robił...

Gra jednak przerwana nawiązać się już nie dała. Goście od stolika odstąpili, jedni poroziadali się na krzesłach i kanapach, inni krążyli po salonie; przy księdzu sformowało się grono, złożone z poważniejszych, i zawiązała się jedna z tych rozmów, w której wątpliwe dowcipy za-



„Ksiądz się zamyślił.”

stępują sens i stanowią treść. Mówiono o wszystkim i o niczem, przeskakiwano z przedmiotu na przedmiot, aż trafiono na materję, która, będąc pospolitą, jest zawsze świeżą i interesującą dla ludzi, mających żenić się na celu. Materja ta była karnawałową. W mieście znajdowało się nie mało matek, które by nie przyjechały były, gdyby nie posiadały córek na wydaniu. Ze strony ich istniała podaż; młodzież w salonie, w większej połowie swojej, reprezentowała popyt. Materja przeto do rozmowy nasuwała się sama przez się; nasunęła się i potoczyła, wiążąc się w girlandę, w której imiona hrabianek, księżniczek i szlachcianek posażnych pełniły funkję kwiatów wyborowych. I — rzecz szczególna — z kwiatami temi ksiądz Jan pozostawał w pewnego rodzaju styczności, w styczności takiej, jakby zrywanie onych od niego w części jakiejś zależało. Młodzi ludzie ku niemu się zwracali.

— Ej księżę dobrodzieju!.. O ojcie wielobny!.. Słówek za mną... — odzywał się to ten, to ów.

Ksiądz, który się dowiecipniejszym od wszystkich okazywał, żarcikami stosownemi odcinał się młodym ludziom. Wreszcie, głos zabrał i następującą wiadomość rzucił:

— Jest na kuli ziemskiej do wzięcia oblubienica bardzo ponętna...

— Pod względem?.. — zapytał jeden.

— Pieniężnym przedewszystkiem ..

— Ach!.. — wydarło się na raz z piersi kilku.

— Ale... — podniósł ksiądz palec z gięstem ostrzegającym — nie oddaje się ona bezwarunkowo... Do partyi tej przywiązane są zobowiązania pewne...

— Które zależą oczywiście od wysokości gotówki... — odezwał się jeden. Wróble się nie biorą na plewy...

— Rzecz naturalna...

— A więc?..

— Siedemdziesiąt tysięcy talarów dochodu...

— Phi... — wygłosiło paru przeciągle, a jeden dodał:

— Fenomena podobne nie zdarzają się często w wieku naszym zmateryalizowanym... Zkądże się ta osobistość wzięła?.. Z księżycy spadła?..

— Bynajmniej... Pojawiła się sposobem naturalnym...

— Odziedziczyła po wujaszku w Indyach?..

— Coś podobnego .. Do rzeczy jednak to nie należy... Do rzeczy należy fakt...

— Jeżeli prawdziwy... — wyrwał się jeden.

— Co?.. — zapytał ksiądz z akcentem urazy w głosie.

— To jest — poprawił się interpelant — jeżeli ksiądz dobrodziej sam w błąd wprowadzony nie został...

— O człowieku małej wiary!.. nie wejdiesz ty w podwoje, otwierane przez klucze złote...

— Ani do królestwa niebieskiego...

— Koniec końcem, cóż to jest?.. — zapytał jeden z naciskiem.

— Rzecz prosta i jasna: następuje się partya, która, naturalnie, wymaga zachodów niejakich...

— Proszę o adres...

— A nie .. Rzeczy takie nie robią się nagle... Wymagane są ze strony pośrednictwa, które pochlebia sobie, że do ostatka będzie miało słowo swoje do wyrzeczenia, rękojmię pewne i wyraźne...

— Rękojmię... Czyż pewniejszych i wyraźniejszych potrzeba, jak te, jakie daje stanowisko?..

— Nie dowierzamy od czasu zawodów, jakich doznaliśmy ze strony osobistości paru, zajmujących stanowiska wybitne... Nie radziłyśmy doznawać zawodów tego rodzaju, jak oglądanie wielkich panów w szeregach demokratycznych... Zawiedliśmy się na Działyńskich, Mielżyńskich...

Odpowiedź ostatnia wygłoszoną została tonem odmiennym aniżeli cała rozmowa poprzednia. Rozmowę akcentowała żartobliwość, która nagle znikła z ust i z wyrazu oblicza księdza. Z ust jego wypłynęło upomnienie surowe, coś nakształt *memento mori*, zastosowane do młodych spadkobierców imion znakomitych. Miejsce liczby pojedynczej, w jakiej przemawiał, zajęło uroczyste „my.” Nie był to już ksiądz Jan Zmianko, ale przedstawiciel instytucji, pamiętający o interesach onej w każdym czasie i na każdym miejscu. A chodziło tu o rzecz nie małej wagi, w odniesieniu do interesów tych, przenikających do szczegółów najdrobniejszych życia społecznego i osnuwających człowieka od kolebki do grobu. Uprawiają się one wedle jednego i tegoż samego modelu od wieków siedmiu, to jest, od momentu donacji, uczynionej przez przerzucającą mężami hrabinę Matyldę, władczynię Toskany. Zmieniają się proporcje, stosunki, szczegóły, ale nie zmienia się proceder w zarysach zasadniczych, polegających na oskrzydłaniu mężów żonami, lub żon mężami, powodującymi się wpływom,

mającym na widoku ów interes nad interesami, zniewalający w owym właśnie czasie arcybiskupa gnieźnieńskiego germanizować seminaria i szkółki polskie. Przedstawiciel interesu tego przemówił przez „my.” Jowialny kapłan zmienił się w jedno oka mgnienie w poważnego dostojnika. Zmienił się i wnet się znów odmienił, powracając do poprzedniego dobrego humoru. Wstał i rzekł:

— Ot... zagadałem się... Ja tu z wami gawędzę, a na mnie już pora...

— Ksiądz boś pomiędzy nas rzucił zagadkę, pokazując w perspektywie unikat jakiś...—odezwał się jeden.

— Ha... rozwiązujcie.. Dałem wam zajęcie, które starczy na czas jakiś...

— Wszelako zagadki ksiądz dobrodziej nie uzupełnił...

— Czegoż jej brak?..

— Przedewszystkiem bliższego oznaczenia punktu na kuli ziemskiej, gdzie się unikat ów znajduje...

— Wyszukajcie takowy za pomocą instrumentów matematycznych...—odrzekł ksiądz Jan żartobliwie.

— Ano... — zauważył ten, co się o bliższe oznaczenie punktu upominał — unikat podobny nie uchowa się długo... Gazety wypapłają...

Ksiądz się uśmiechnął.

— Ale—ciągnął tenże—kondycje dzielą się zazwyczaj na ogólne i szczegółowe... Ogólne znamy: niechże nam ksiądz dobrodziej raczy bodaj jedną ze szczegółowych wyjawić...

— Ze szczegółowych... hm?... Musisz być hrabią przynajmniej, a potem, tak się ułożyć, ażeby ci się dusza zahartowała na niespodzianki najnieprzewidziańsze i na wszelakie kaprysów niewieścich pociski...

— Wygląda to, jakby księżniczka w zamku zaczarowanym...

— A tak... — ksiądz na to. Ale... bywajcie mi zdrowi, najmilejsi moi...

Zatrzymywano go; ofiarowano mu cygara; za cygara dziękował i ku drzwiom się kwapił, skłaniając się na Masia, który z nim razem wyszedł.

— Zajdę na chwilkę do ciebie...—rzekł do tego ostatniego na korytarzu.

— Służę księdzu dobrodziejowi...

Numer, zajmowany przez młodego hrabiego, znajdował się o piętro wyżej. Młody hrabia z pośpiechem, który byłby nie do wytłomacze-

nia, gdyby nie nadzieja dowiedzenia się o czemś, poprzedał księdza, drzwi otworzył, świecę zapalił i prosił gościa miejsce zająć.

— Ksiądz dobrodziej zapali cygaro... papieros?..

— Wiesz przecie, że starym obyczajem fajeczkę tylko kurzę...

— Na nieszczęście w gospodarstwie mojem fajeczki nie posiadam...

— Obejdę się... — odrzekł ksiądz siadając. Powiedz no ty mi, jak tam interesy twoje stoją?..

— Stoją...—odparł młody człowiek.

— Czyś po deklaracyi... he?..

— Niby to, ale...

— No?..

— Mam, niestety, spółzawodników, Bryś i Goguś... i lękam się hazardować, ażeby za sobą floty nie spalić... Chciałem we względzie tym z księdzem dobrodziejem pomówić...

— Hm?... Myślisz jednak, że masz za sobą szanse jakie?..

— Właśnie, że jest to tajemnicą dla mnie...

— Starając się od półtora roku, musiałeś przecie poznać usposobienie matki... panny... Sprzyjają ci... co?..

— Zdaje się...

— Któraż bardziej?..

— Matka bezwarunkowo...

— Dziwna rzecz jednak, żeś nie podbił serduška Misi...

— Opancerzone...

— Talarami... — odpowiedział ksiądz. Nie wielka to jednak historia: sto pięćdziesiąt tysięcy... Spodziewam się, że, gdybyś się z nadzieją na talary owe rozstał, nie włożyłbyś żałoby...

— To zależy...

— Od nadziei poważniejszej... Zapewne...

— Wolałbym z nadziejami skończyć...

— I mieć do czynienia z rzeczą dotykającą...

— Naturalnie...

— Masz rację... Na miejscu twoim i ja bym myślał nie inaczej... Cóż robić jednak... Wszelkie dążenie, nim do celu się dojdzie, przez tę furtkę przechodzić musi... A dopięcie celu zależy od wielu rzeczy...

— Naprzykład?...—zapytał młody człowiek.

— Od determinacyi przedewszystkiem...

— Zdaje się, że mi na takowej nie brak, kiedy dym się w Misi rozkochać potrafił...

Wyraz ostatni wymówił z naciskiem drwającym.

— No tak... — odparł ksiądz. Ale, gdyby ci zwrócić się przyszło ku czemuś jeszcze mniej ponętnemu, aniżeli ułomności, jakie Misię trapią?..

— Ah!..—odpowiedział.

— Tak od ciebie starsza, iż by matką twoją być mogła...

— To mniejsza...

— I niepowabna...

— Nie może być chyba od księżnej X. brzydszą...

— Ale księżna milczeć umie, ta zaś gada... gada głośno i w sposób taki, że każde z ust jej wyszłe słowo skruszy serce ze wstydu w każdym, co się za nią przed światem odpowiedzialnością obarczy...

— Przeciwno temu jest obrona w obojętności bezwzględnej...

— Trudna...

— Możliwa jednak...

— Poczujesz w sobie do takowej uzdolnienie?..

— Aj!.. Składam obojętności absolutnej wody, ile razy z rodzicami się zejde...

— Prawda... Pozostaje jeszcze trudność jedna nie najmniejsza... Ożeniłbyś się z... murzynką na przykład?..

— Byłoby to oryginalne...

— A z żydowicą?..

— Ksiądz dobrodziej szarżuje umyślnie...

— Bynajmniej, właśnie bowiem żydowica do wzięcia jest, żydowica w jaknajściślejszem i jaknajliteralniejszym wyrazu tego znaczeniu...

— Żydowica?.. — zapytał młody hrabia głosem niepewnym.

— Nie inaczej...

— Żydówka?..

— Kiedy żydowica, to żydówka...

— Wychrzczona jednak?..

— Właśnie że nie i właśnie chodzi o to, ażeby ją rozkochar, nawrócić i żarliwość w niej rozpać...

Masio westchnął i głową wstrząsnął.

— Zrzekasz się?..

— Nie... ale...

— Wyobraź sobie — podchwycił ksiądz — egzemplarz taki, jak Chana... zupełnie taki...

— Co za Chana?..

— Ta co cię piernikami na kredyt karmiła...

— Uhm... — mruknął i głową pokręcił. To wszakże być musi rzecz niepewna...

— Nie powiadam, ażeby pewną miała być; to atoli mam moralne przekonanie, że dla ciebie są szanse większe, aniżeli dla kogo innego, ubrania się w żydowicę i w siedemdziesiąt tysięcy dochodu rocznego... W celu powiedzenia ci o tem widzieć się z tobą dziś chciałem.

Młody człowiek uśmiechnął się i westchnął, pomilczał i rzekł:

— Ojciec...

— A... to do ciebie należy... Co do mnie, gdybyś się zdecydował perły do grafskiej korony swojej wziąć z muszek żydowskich, będę ci w tem z sił moich wszystkich i z serca całego pomagał...

XIV.

Czy się młody hrabia zdecydował na krok ryzykowny?

Na zapytanie to znajduje się odpowiedź w jednym z poprzednich powieści niniejszej rozdziałów. Pozostaje jeno odpowiedź ową przedstawić w świetle właściwem, osłaniając ją z góry od zarzutów, jakie spadną na nią nieochybnie. Nie stało się nic nadzwyczajnego. W społeczności naszej, w której żydzi stanowią procent znaczny, jakkolwiek się oni wydzielają i wydzielani są, nie sposób ażeby nie przychodziło do krzyżowania się ras, ocierających się jedna o drugą. Prowadzą do tego powody najrozmaitsze, zależne od dwóch głównych: od miłości albo od interesu. Potężne te czynniki! Miłość albo interes. W jednym wypadku działa pierwsza, w drugim drugi; niekiedy zaś pierwsza z drugim się kojarzą i skojarzają się stadła, wytwarzające generacje krwi mieszanej, pół polskiej, pół żydowskiej. Tak było od czasów najdawniejszych; tak bywa obecnie. W ciągu wieków mieszanina ta tak zgęstwiała, że dziś sumiennie o czystości krwi mówić nie możemy. Gdyby można było krew pod względem rasowym chemicznie analizować, pokazałby się niezawodnie w polskiej dolewce żydowski bardzo znaczny, w żydowskiej polski jeszcze znaczniejszy: — skąd wniosek, że, jeżeli do prawdy przyjdzie kiedy spodziewany przez ludność wyznania mojżeszowego messyas, to messyas ów będzie przez pół potomkiem króla Dawida, a w drugiej połowie praprawnikiem jakiegoś moszterdzieja. W ścisku takim, w ta-

kiej dotyczności rasowej niepodobieństwem jest fizykiem ustrzeżenie czystości krwi.

Nie stało się więc nic nadzwyczajnego. Z jednej strony pod dwiema postaciami interes, z drugiej upodobanie, które by ukochaniem nazwać można, przetorowały drogę do zbliżenia się stron.

Ciekawem było, jak zbliżenie się nastąpiło.

Masio okazywał wstręt niejaki, wstręt tkwiący w wyrazie: „mezalians.” Nie sporo mu było. Pogodzić się z myślą tą nie mógł, przez wzgląd na wysokie o dostojności rodu własnego rozumienie, na kolligacye, stosunki, zwłaszcza zaś na ojca, którego demokracja nie schodziła aż do żydów—do tego ludu wybranego, tą nacechowanego na łonie społeczeństw chrześcijańskich osobliwością, że jest pogardzającym i pogardzonym. Wstręt wszakże usunęła potęga interesu, wzmożona przykładami imion wielkich, przyozdabiających gałęzie genealogiczne szczepami żydowskimi. O księciu C., na przykład, powiadano, że pod koronę książęcą wsunął jarmułkę; żartowano z tego, koniec końcem jednak książę ów, dzięki milionom jakie przygarnął, nie zgola w opinii publicznej nie stracił. Analiza spokrewnień rodów znakomitych wykazywała nie jeden tego rodzaju przykład, który skrupuły Masia neutralizował. Obok tego: czyż żydzi nie figurują w szeregach szlachty, a nawet magnaterii polskiej? czyż nie zasiadali w senacie, jako kasztelanowie i wojewodowie? czyż nie przewodniczyli sesjom, jako marszałkowie? czyż nie nosili infu?.. Chrzest wprowadził maskował ich żydostwo, ale maskował tylko i maska ta stanowiła legitymację dostateczną. A zatem młody hrabia Gracki nie będzie pierwszym mezaliansu tego rodzaju przykładem.

W dni kilka po przytoczonej w rozdziale poprzednim z księdzem Janem rozmowie, ksiądz udzielił mu adresu, zachęty i obrocisku duchownego.

— Pani Anna Kalisz, na ulicy... pod numerem... Szanse masz... masz... — mówił z naciśkiem — tylko (tu palec podniósł i kiwał), gdy celu dopniesz, nie zapominaj, czyją chwałę i pożytek na uwadze mieć winienesz...

— O szansach moich ksiądz dobrodziej mówisz z pewnością, która mnie zadziwia...—uczytnił Masio uwagę.

— Może się dziwić nie będziesz, gdy poznasz palec, który sprawę tę od dawna w sposób tajemniczy i dla rozumu ludzkiego niepojęty prowa-

dził... Wybierz się z wizytą pierwszą w sobotę... w szabas...

— Czy przyjętym zostanę?..

— Hm?.. Nie wiem... W razie takim kartę zostawisz; w razie zaś, gdy cię pani Kalisz przyjmie, nie będziesz miał przykrości prezentowania się jej w tłumie, który się do bogaczki ciśnie...

Młody człowiek zastosował się do tej zdrowej rady, danej nie z natchnienia. Ksiądz od panny Maryanny poinformowanym był o sposobie, w jaki Chana czas spędza. Przez dni sześć w tygodniu z żydami się ujada, siódmego spoczywa—spoczywa jaknajzupełniej, to jest: spoczywa jeno dary boże i śpi, gdy zaś nie śpi, wzdycha. We względzie tym, obyczaju przestrzegała surowo. Nie brała się do niczego, ani nawet do wtykania szpilek tu i owdzie, czem się trudniła niekiedy, powodując się tym nawykiem oszczędności, do której się w życiu wciągnęła. Tak postępowała soboty każdej, a zatem i tej, w której się Masio do niej z pierwszą wybierał wizytą. Spokojnie, wygodnie i swobodnie zasiadła do posiłku południowego, zjadła rosół z łoszyną, sztukamięs z chrzanem, coś jeszcze i coś jeszcze; do popijania miała do wyboru piwo i wino; jadła, odpoczywała, wzdychała, popijała i w końcu obiadu poczuła pociąg nieprzestający do owocu, od którego, przez wzgląd na gości z Berlina, Hamburga i Paryża, powstrzymać się musiała.

— Ach!.. — westchnęła, na lokaja patrząc.

— Co wielmożna pani rozkaże?..

— Przynieś no mi...

— Czego?.. — zapytał lokaj, widząc że pani Anna namyśla się niby.

— Ano... tego... o... Wiesz?..

— Wiedzieć nie mogę, wielmożna pani...

— Nu... tego... — odrzekła. Tak mi się zachciało!.. Tak mi aż pachnie!.. Nu?..

— Róża smażona...

— Ach, nie... — odparła.

— Konfitura z jaśminu...

— Gdzież-tam!..

— Syrop malinowy...

— Pij sobie sam zdrów... at.. Poproś no panny Maryanny do mnie...

W chwilę później panna służąca we drzwiach się pojawiła i srebrzystym głosikiem zapytała:

— Co pani rozkaże?..

— Nie rozkaże, ino zapytam...
— Słucham...
— Czy, na ten przykład, gdybym dziś cybulki pokosztowała, to jutro by odemnie... pachło?..
— Gotowanej, smażonej, proszę pani?..
— Ależbo nie... cybulki tak wprost...
— Surowej?..
— Nu?... Czy do jutra?... tego?..
— O .. może być o to pani spokojna...
— Bo mi się tak zachciało, tak zachciało, co nie daj Boże... Aż mi ślina plinie...
— Ij... niech pani sobie bezpiecznie pozwoli... odrzekła panna Maryanna. Do jutra daleko, a jutro pani sobie usta octem toaletowym wypłucze, dłonie i skronie wodą kolońską wytrze, chustkę od nosa esbukietem skropi i smr... przepraszam!.. zapach cebuli zginie...
— Ano... — do lokaja się zwróciła: — Przynieś-że mi cebuli...
— Wiele, proszę pani?..
— Jedną... nie; dwie... nie; trzy... nie; cztery... nie; pięć...
Lokaj czekał jeszcze i po chwili zapytał:
— Pięć?..
— Nu... niech będzie sześć;.. ino, niech tam kucharz wybierze, ażeby były twarde i zdrowe, nie małe i nie bardzo duże... tak miarę... — dała ze stosownym palcami gościem.
Panna Maryanna się cofnęła; lokaj wyszedł i w chwilę później powrócił, niosąc na dłoni tacę srebrną, na tacy półmisek kryształowy, a na półmiseczku sześć cebul, godnych miejsce poczesne na wystawie jarzyn zajmować.
Pani Anna na widok ten cmokać i usta ścisnąć zaczęła. Oczy jej pożądlivość wyrażały.
— Postaw to tu... — palcem wskazała.
Lokaj półmiseczek przed nią ulokował.
— Idź sobie...
Wyszedł, i ona z łapczywością, jaką się u małp spostrzega, wzięła się do spożywania fruktu, do którego gust żydzi ze Wschodu ze sobą przynieśli. Z łupinek zewnętrznych obierała i gryzła główki jedną po drugiej, oblizując się za skończeniem każdej z osobna. Sok się jej na ustach świecił i do palców przylegał. Nie zważała na to. Główki cebuli znikwały; znikły wreszcie i pani Anna, zadowolniona z już, zastanawiała się, czy by sobie nie pozwolić na jeszcze, gdy panna Maryanna weszła i bilet wizytowy przed nią położyła.
— Ny?... cóż to za jeden?... — zapytała zdzi-

wiona trochę odwiedzinami, których się nie spodziewała.
Lecz na wypisane pod herbem nazwisko okiem tylko rzuciła, wnet dłonie podniosła i krzyknęła:
— Wiesz!..
Uradowanie jej w oczach zaświeciło. Zmiarkowała się jednak i spokojnie pannie Maryannie:
— Do szalonu prosić... — rozkaz dała.
Zaledwie panna służąca za progiem znikła, aliści pani Anna ręce załamała i, gdy ta znów powróciła, w następujący omal że rozpaczą nie nacechowany do niej odezwiała się sposób:
— I na cóżes mi panna tę cybulę jeść doradziła!.. Cóż ja pocznę teraz!..
— O cóż!..
— Jakto... cóż?..
— Powiedzieć, że pani nie przyjmuje...
— Jak?... co?... — zawołała ze zgrozą prawie.
— Że... pani... chora... — jęła się panna Maryanna bąkać w zaleknieniu, jakie jej sprawiał wyraz oczów chlebobdewczyńi.
— Jeszcze co!.. Ot jaka mi do rady!.. Było mi nie doradzać cebuli... Co ja... ny?... i co ja pocznę teraz?..
W słowach ostatnich rozpacz brzmiała.
— Gdzie wun?...
— W salonie...
— Czekaj...
— Czekaj... Ale niech... niech... się pani kawy czarnej napije...
— Nu i co?...
— To smród szczeźnie...
— Jaki smród?...
— Od cybuli... Kawa czarna...
— A ocet toaletowy?... — przerwała.
— Kawa czarna z arakiem, a do tego ocet toaletowy...
— I woda kolońska?...
— I woda kolońska...
— I esbukiet?...
— I esbukie...
— Jeszcze co?...
— To wszystko... Zresztą zobaczymy...
— On czeka, powiadasz panną?...
— Czekaj...
— Ano... chodźmy, spieszymy się... — rzekła pani Anna, zrywając się.
Zerwała się tak impetycznie; że o mało nie wywróciła stołu, z którego spadło na podłogę z brzękiem narzędzi i naczyń kilka. Pani Anna

nie zważała na to, pomimo, że ją serce za kieliszkiem co się stłukł, zabolalo. Pociągnęła pannę Maryannę za sobą i obie kobiety pędem udały się do gotowni, gdzie niezwłocznie przystąpiły do dezynfekowania czeluści gębnej. Wnieśli kawę i arak. Pani Anna wywaru mokki wlała w siebie z półkwarty, rozprawdzając talkowy alkoholem, woń gorzkich migdałów wydającym. Popijała a dolewała i co moment pannie Maryannie w nos chuchała.

— A co... ny?..

— Jeszcze troszyneczkę...

— Ach!.. Bodajby ta cybula w ziemię zapadła!.. I na co mi radzić było?..

— Czyżem się ja spodziewać mogła, ażeby kto dziś nadszedł!.. Sobota...

— Sobota to od naszych, od żydów, a to nie żyd...

— Hrabia jakiś...

— Ehe... rychtyk... taki to hrabia... A co?.. — chuchnęła.

— Jeszcze odrobineczkę...

— Ale on czeka?..

— Czekaa...

— Nu... a zobacz-no panna...

Panna Maryanna wyszła i wnet powróciła z oznajmieniem, że hrabia zawsze w salonie.

— Cóż on tam robi?..

— Na fotelu siedzi...

— Szedzi... i co?...

— I nogą kiwa...

— Żyd by kiwał głową, a on nogą .. Co nie żyd, to nie żyd...

Resztę kawy wypila i chuchnęła.

— Już nie to... — zdecydowała panna.

W rzeczy samej, nie to już było, albowiem woń cebuli mieszała się z wonią araku i wytworzyła odory dwa zamiast jednego.

— A teraz ocet... — rzekła pani Anna.

Panna służąca podała flakonik; szklanekę z wodą i podsunęła miednicę srebrną.

— Ij... — odezwala się pani Anna. Chyba ja tego z wodą mieszać nie będę.

Flakonik do ust przytknęła, przechyliła, plynu w gębę nalala i usta plukać a gargaryzacyą czynić poczęła. Plukała, gargaryzowała, wreszcie plyn z ust wylała i, pannie w nos chuchnąwszy, zapytała:

— Nu... a co?..

— Możeby raz jeszcze... — odrzekła zapytana.

— Ta bo to piecze i gryzie...

— Wypiecze i wygryzie cybulę...

— Niech i tak będzie... No... Ale, na co mi radzić było! .

Palcem nakiwała i powtórnie ocet sobie do gęby zaaplikowała.

Po powtórzeniu tem, trzeci raz już się do środka tego nie uciekała. Panna Maryanna podsunęła jej szczoteczkę do zębów i proszek woniejący. Szorowała sobie szczoteczką nie tylko zęby, ale język, usta i podniebienie. Obchodziła się z gębą, jak froter z podłogą. Oddawała się czynności tej z energią. Szorowała i wodą różaną splukiwała.

Do cebuli i araku dwie nowe przybyło wonie: woń ostra octu i łagodna wody różanej.

— Nu?.. — zapytała — czuć?..

— Czuć zapachy róży, octu...

— A cybula?..

— Prawie nic...

— To ja nie będę bardzo dychała... co?..

— A tak... — panna Maryanna na to — teraz jeszcze woda kolońska...

— A rychtyk... woda kolońska...

Miała się natrzeć jeno — umyla się. Następnie buteleczkę całą perfum wybornych na siebie wylała, w zwierciadle się przejrzała, włosy sobie przyglądała, obtarła się; panna Maryanna ją pudrem przysypała i toaleta zrobiła się.

— Teraz ja już idę .. — rzekła.

Zwróciła się i przed przestąpieniem progu na chwilkę stanęła, odetchnęła, westchnęła i ruszyła.

Na szelest sukni jedwabnej, pan Maurycy wstał.

— O... oh!.. — podeszła do niego pani Anna z okrzykami, które się jej mimowolnie z piersi wydierały.

Młody człowiek, na widok jej, osłupiał.

— Ksiądz nie powiedział mu, że wymieniona na adresie Anna Kalisz jest to Chana, co mu niegdyś nieograniczonego użyczała kredytu. Ujrzawszy ją, oczom własnym nie uwierzył. Oniemiał.

— Nu... nu... to i cóż?..

— Pa... a... — bąkać począł; okrok się cofając.

— Paniczek... co?.. nie poznaje mnie?..

— Po... o... znaje...

— Jak tylko poznaje... nu... to już dobrze... Ja ta sama, tylko nie taka sama...

— Ależ bo... nie spodziewałem się...

— Co tam... ij... niech no pan siada...

— Ależ... prawdziwie... spotkanie...—odrzekł, przytomność umysłu odzyskując i siadając.

— Nie chce paniczek pierników, makaroników na kredyt?.. — zapytała, przedrzeźniając sama siebie.

— O piernikach chyba i mowy już nie ma...

— A nie ma... Ale może być mowa o czem innym. Jak pan do mnie utrafił?..

— Ksiądz Zmianko mi adres dał...

— I nie powiedział, kto ja?..

— Nie...

— To dla tego, żebyś pan miał zdziwienie wielkie...

— Zdziwiłem się też ogromnie... Jak się to stało?..

— Co się stało?..

— Ta zmiana bytu i fortuny?..

— Tak jak się to dzieje na szwiecie... Jeden trzusi się, pracuje i nie dopracuje się do niczego, drugi się bogatym rodzi, a dla trzeciego rodzi się bogactwo... Dla mnie się ono urodziło... W godzinie jednej z bardzo biednej stałam się bardzo bogatą... Nie ukradłam, nie zrabowałam, nie wygrałam na loteryi, ani na giełdzie i nie zapracowałam.. Przyszło samo wtenczas, kiedym się na Boga mego skarżyła.. Nu... co?.. — zapytała, pochylając się ku Masiowi z przymileniem.

— Winszuję... winszuję... —odrzekł pan Maurycy, wydobywając co prędzej chustkę z kieszeni i niosąc takową do nosa.

Od pani Anny buchnęła woń odorów zmięszanych wody kolońskiej, octu toaletowego, zapachu różanego, esbukietu i cebuli.

— Tak się zrobiło i jest... —ciągnęła. O... niech pan ino patrzy (powiodła ręką po salonie)... Szalony... A ja panu jeszcze domek mój pokażę... Chce pan?...

— Owszem... — odpowiedział, rad że będzie mógł nos od osoby pani domu odwrócić.

— Chodźmy...

— Wstała i poprowadziła gościa przez szereg pokojów, których było nie wiele, ale w których bogactwo, że się tak wyrazimy, dojrzałe. Żydówka, powoli idąc, zwracała pana Maurycygo uwagę na przedmioty niektóre.

— Ten dywan, o... niechno się pan przypatrzy...

— Piękny...

— Kosztuje tysięcy trzy talarów... O a... —

wskazała lichtarze na kominku.—Bagatela niby... Niech no pan w rękę weźmie...

Pan Maurycy palcem w rękawiczce dotknął się.

— Szmało... Niech pan weźmie...

Wziął garścią i podniósł.

— A co?.. czężkie?.. — zapytała.

— Hm... — odmrugnał.

— Szczero-złote... U mnie nie ma nic na to tylko, ażeby się szwieciło... Wszystko masif... Nie chcę ludzi oszukiwać, jak to czynią gdzie niektórzy, co za bogatych uchodzić chcą... Kiedym była biedna, widzieli wszyscy; teraz jam bogata... niech widzą...

Mówiąc tak, oprowadzała gościa dalej, zwracając uwagę jego na mahonie, palisandry, na inkrustacye i rzeźby, na osobliwości różne kosztowne, pomiędzy którymi znajdowały się sprzęty istotnie piękne. Za pieniądze piękno do nabycia jest. W gotowalni pokazywała naczynia srebrne złoczone.

— To żaden fałsz... — objaśniała. To srebro masyf, prawdziwe, tak jak dzień dniem...

W sypialni nie ominęła piernatów.

— Taki puch... u!.. — mówiła — fajny, najfajniejszy... funt sto pięćdziesiąt talarów.

Śród wszystkich tych osobliwości, na które pan Maurycy z uznaniem spoglądał, nosiła woń złożoną, od której się młodemu człowiekowi słabo robiło. Co chwila chustką nos zasłaniał, udając że obciera takowy. Manewr ten, razy kilka powtórzony, zwrócił w końcu na siebie pani Anny uwagę.

— Co to?...—zapytała z akcentem troskliwości. Katar?...

— A tak...—odpowiedział—trapi mnie od dni paru...

— Ej... to nie.. teraz pora taka... Napij się pan bzu na noc i okryj się ciepło, ażebyś społniał, to katar niby ręką odejmie... Ot, gdybyś miał piernaty, takie jak moje... Poszlę panu..

— Nie... a... — zaprotestował skwapliwie.—Dziękuję...

— Na katar nie ma, jak wypocić się...

— Tak... Ale to przejdzie, przeminie...—wymawiał się. Bardzo dziękuję...

— Ja ze szczerego serca... Jakem dawała pierniki, tak bym dała piernaty...

— Nie odważyłbym się pozbawiać pani...

— Co to pozbawiać... hörstel!.. Pan miszli, że u mnie piernatów tyle, co to?...—palcem na łóż-



„W pozycji tej [czas jakiś przesiadział.”

ko wskazała—Bogu dzięki, znajdzie się jeszcze i jeszcze...

To rzekłszy, dzwonek pocisnęła i na srebrzysty odgłos onego weszła wnet panna Maryanna.

— Ile u mnie piernatów?...—zapytała.

— Cztery pary, proszę pani...—była zapytanej odpowiedź.

— To dobrze... Niech panna idzie sobie...

Gdy panna Maryanna za drzwiami znikła, pani Anna do pana Maurycego mowę zwróciła:

— To moja panna służąca... Nieczego sobie: płacę jej czterysta talarów i daję prezenty... Nie zawsze dobra do porady, ale... dobra... Otóż widzisz pan: u mnie na piernatach nie brak...

— Jam nie przyzwyczajony do tego rodzaju okrycia...

— To nie... Przyzwyczaić się do dobrego ła-two... o!... Cóż tam—zapytała, do salonu wracając—w Śródborzu szlichtać?... Pamiętasz pan, jakim ja tam była i jak jeździliśmy razem do Klatek, do tego barona Niemca, co to psom grafa, tatuńcia waszego, ogony obrzynał, a mnie szkłem zasypał?... Bodajby go kurczyło!... W Śródborzu, słyszę, pałac staje...

— A tak...—odpowiedział z akcentem od niechcenia. Ojciec dom nowy buduje...

— A w domu tym... co będzie?...

— Będziemy mieszkali...

— Nu... niech tak, kiedy tak... Ja bym mieszła, co się grobla wedle stawu stawiać powinna, jak postawił ten Niemiec, baron, który rybę Srólowi, co moim był, sprzedał, a sobie zabrał... Tak się geszefty robią... Niemiec nachodzi i na żyda i na szlachcica: temu zabiera rybę, temu ogony... Do czego to doprowadzi?...

Z ostatniem tem, z energią niejaka wygłoszo-nem zapytaniem, tak mocno na pana Maurycego chuchnęła, że ten się cofnął i kichnął.

— Na zdrowie!...—zawołała. To dobry znak... katar przechodzi... Niechże pan poszedzi jeszcze troche...—rzekła, widząc że gość, nos obtarłszy, za kapeluszem się ogląda i ku odejściu ma.

XV.

Pan Maurycy z wizyty u pani Amry wyrwał się, jak z łaźni gorącej. Przyzwoitość zachować potrafił do momentu ostatniego, do chwili pożegnania, przy którym dał słowo, że odwiedziny powtórzy i, do fiakra wsiadłszy, wieźć się kazał do zakładu księdza Jana. Ksiądz Jan, zajęty

wykładem w jednej z wyższych klas, nie od razu go przyjąć mógł. Młody człowiek miał czas ochłonać i do równowagi umysłowej powrócić; mimo to, słowem najpierwszem, jakie z ust jego wyszło, gdy się w obec księdza znalazł, było:

— Rozpacz!...

— No... i cóż tam?...—zapytał gospodarz do-brotliwie.

Młody hrabia opowiedział, o ile można naj-szczegółowiej, historję wizyty i zakonkludował:

— Toć to kobieta niemożliwa!...

— Nie mo-żli-wa...—podchwycił ksiądz tonem przedrzeźniania życzliwego. Rozróżniać należy formę od treści, inaczej zawsze byśmy do kon-kluzyj doszli fałszywych... W orzechu, w mig-dale, wszak łupinę odrzucasz; pomarańczy ze skórką nie jesz...

Pan Maurycy giestem niemym uznał słów tych prawdę.

— Rozstałeś się z nią jednak dobrze?..

— Jak najlepiej...

— Jak miarkujesz przeto: szanse masz?..

— Zdaje się... dała mi bowiem przy rozstaniu do zrozumienia...

— Co?...

— Że... gdyby mi kiedy brakło...

— Niech ciebie Pan Bóg broni!...—podchwy-cił ksiądz, przerywając. Sam byś na tem wy-szedł jak najgorzej. gdybyś ją zrobił swoją kro-wą dojną: postawiłbyś się względem żydowicy w zależność zupełną i naraził na to, iżby ci kie-dyś drzwi pokazała, a przytem... tu chodzi o nią, o osobę jej... o reklamą nadęty przykład, o mi-lionami nabrzmiałą esklandrę, o głośną i wraże-nie wielkie sprawić głośnością swoją zdolną re-wokacyę... Któż zaręczy, że podczas, kiedy Chana będzie ci większych i mniejszych poży-czek, w tym sensie co ongi kredytu na pierniki, udzielała, jakiś galant z Paryża, mniej aniżeli ty na odory drażliwy, nie zabierze tego z talarami i cebulą worka?... W razie takim odejdziemy, ty z kwitkiem, ja z nosem wydłużonym... Nie, to nie uchodzi... Niech cię Pan Bóg od korzystania z grzeczności Chany broni!... Albo się z nią żeń, albo... niech pomiędzy nami wszelka *confidence* i *znajcmence* ustanie... Kwituję z przyjaźni waścinej, mości hrabio...

— Ksiądz dobrodziej rzecz za gorąco bierze...

— A bo lubię sytuacye jasne... Alboś jest w obozie, pod sztandarem, alboś nie jest... Oj-

ciec twój deklaruje się otwarcie... Demokrata i kwita... ty zaś... dyplomatyzujesz...

— Potrzebaż się namyślić i powonienie nieco oswoić...

— Najprzód się zdeklaruj, a potem oswajaj...

— Misię przeto?... zaczął pan Maurycy tonem pytającym.

— W trąbę puść... Krzywdy przez to ani jej, ani sobie nie wyrządzisz najmniejszej... Nie potrzebujesz robić tego ostentacyjnie: niech się to samo przez się w wodzie stygnącej stopniowo rozplynie... Rozumiesz?...

— O!...—odpowiedział młody człowiek.

— I, zobaczysz, będą ludzie podziwiali twój rozum delikatny; pozyskasz szacunek arcybiskupa i Bismarka: pierwszego za owieczkę o złocie runie, drugiego za złote runo... Nie namyślaj że się przeto...

— Ano... *vogue la galère*...—rzekł młody człowiek na pół do siebie. Niech się stanie, co stać się ma... Zamykam oczy i zatykam nos...

— Ot tak... to najlepiej... Winszuję sobie decyzji twojej...

W rzeczy samej, rzecz na powinszowanie zasługiwała, jakkolwiek bowiem kto mieć może o księdzu Janie opinią, nikt atoli nie zaprzeczy, że znajdował się on w roli swojej, w zakresie tych obowiązków, jakie na niego stan jego wkładał. W zakresie tym działalność na drodze prozelityzmu stanowi wodę życia, która odświeża i odnawia. Bez tego rychło nastąpić by musiało wycieńczenie. Sprawa, głośna w czasie owym, Mortary, nie dla pozyskania owieczki jednej podniesioną została, ale dla tego, że sprawiła wrażenie, wstrząśnienie, że stała się powodem ruchu, walki, z okazji której wypowiedzieć się dało niejedno, co, bez takowej, byłoby w głuchem utonęło milczeniu. Wypowiedania takie, o ile z jednej strony wyzywają napastliwość przeciwników, o tyle z drugiej roziskrzają zażyłość wiernych. Ksiądz Jan znał snadź tę kwestyi stronę psychiczną i dla tego nalegał na młodego człowieka, przedstawiającego się jako narzędzie opatrnościowe: nalegał; utrzymywał go na drodze; popychał go na takowej, nie mając w tem interesu osobistego żadnego, ale wpatrując się w ten interes wielki, który od chwili, jak Konstanty Wielki ujrzał na obłokach napis wyroczny, z pola nie schodzi. Nie co więc innego ksiądz Jan czynił, jeno obowiązek swój pełnił, a pełnił takowy z tą gorliwością, z jaką

rolnik uprawia pole, które żąć zamierza, z tem uczuciem, z jakim szuler tasuje karty, na które idzie stawka gruba, z tem zacięciem, z jakim doświadczony dzokiej prowadzi konia na wyścigach, z tem pragnieniem postawienia na swoim, którego źródłem bywa nie tyle przekonanie, co zainteresowanie się rzeczą. Ksiądz Jan działał, jak działa interesowany. Nikt inny zastąpićby go nie mógł. Z Chaną od dawna się znał, protegował ją, przysługi jej oddawał, przysług od niej doznawał, nie przeto dziwnego, że chodziło mu o to, ażeby tę istotę z drogi błędnej na prawdziwą wprowadzić, ze wszystkiem co za nią i z nią szło.

Masio nastreczył się, jako narzędzie: zużytkowywał takowe.

Ksiądz Jan pojmował zadanie swoje techniczne.

Gdyby tak wszyscy zadania swoje pojmowali!

Pan Maurycy, po rozejściu się z księdzem, pomimo że się przekonać i nakłonić dał, był jakby nie swój. Postawiona wyraźnie kwestya małżeństwa z Chaną drażniła go. Przeszłość wskrzesiła w pamięci jego. Widział siebie wyrostkiem wyglądającym przyjsia żydówki, z koszykiem na rękę, która mu łakocie dawała.

— To dla ciebie, panieczku...

— Ja wam, Chano, później zapłacę...

— Nu... nu: niech będzie...

„Niech będzie” owo ciągnęło się lat kilka; ona rachunku nie podawała nigdy: odchodziła, kłapiąc pantoflami i świecąc piętami, które wylażyły z pończoch szafirowych i powracała codziennie, i codziennie łakocie dawała i nigdy się o zapłatę nie upominała. Wówczas miał ją za starą; była dla niego istotą bezpleciową; nie rozumiał okazywanych mu przez nią względów i nie starał się o zrozumienie takowych. Co go tam ona obchodzić mogła! Przypominały się mu okrzyki kolegów:

— Chana!... Chana!...

Studenci z niej żartowali niekiedy, zapytując jej o różne ciekawe a niekoniecznie przyzwoite rzeczy i płatając jej zbytki rozmaite. Ona to przyjmowała filozoficznie i, pomimo że u księdza dyrektora w łaskach była, nie skarżyła. Z powodu tego, pozwalano sobie z nią; dawano jej szcutki i finfy; odchodziła z zakładu, unosząc przyczepiony na grzbiecie bądź napis jakiś, bądź też wizerunek stworzenia, od którego się żdzi ze wstrętem odwracają; wsuwano jej pod przy-

krycie do koszyka żaby, myszy lub szczury; stawiano na nią sidła. W wicku studenckim ludzie są bez miłosierdzia. Chana służyła im za przedmiot żartów i docinków i bolących i niepa-chniących. I ta sama Chana—ta sama stała się obecnie przedmiotem zabiegów matrymonialnych jego—hrabiego Grackiego?

Z myślą tą nie łatwo mu pogodzić się było.

Od księdza Jana nie udał się ani do hotelu, ani do żadnego z domów znajomych. Mimo zimno, poszedł za miasto, na przechadzkę. Gdy przez rynek przechodził, w straganiarce każdej upatrywał podobieństwo do Chany i wstyd go przejmował. Powrócił, gdy już zmierzchało. W hotelu szwajcar oznajmił mu, że coś tam zaniesiono do jego numeru.

— Co?...—zapytał.

— Jakiś pakunek spory...

Po schodach do góry ruszył, drzwi otworzył, świecę zapalił i ujrzał na łóżku rozesłane dwa olbrzymie piernaty.

— Ah!... — stęknął, jak się stęka pod ciężarem.

W pierwszym popędzie miał ochotę piernaty te przez okno wyrzucić. Byłby to uczynił, gdyby nie zimowe okien opatrzenie. Przez wasisdas ogromy takie przecisnąć by się nie dały. Pomyślał więc o uprzątnięciu takowych i, gdy w celu tym po pokoju się rozglądał, zoczył na komodzie szereg spory butelek i obok butelek dwa w gładzowany papier zawinięte pakiety. W butelkach poznał wino tokajskie, burgundzkie i malaga, wszystko stare i firmami jak najzaszczytniejszemi naznaczone. Pakiety zawierały w sobie pierniki toruńskie. Widok ten zdziwił Masia. Za dzwonek pociągnął, lokaj hotelowy wszedł, on go zapytał:

— Co to znaczy?...

— A oto, proszę jaśnie hrabiego, karta...— odrzekł zapytany, na stojący na środku stół okrągły wskazując.

Na karcie, pod litografowanym nazwiskiem „Anna Kalisz,” dodany był dopisek „na katar.”

— Kto to przyniósł?...

— Lokaj jakiś ..

Pan Maurycy służącego odesłał i jał się po pokoju chodzić. Chodził; następnie na kanapie usiadł, łokcie na kolanach, czoło na dłoniach oparł i w pozycji tej czas jakiś przesiedział. Wreszcie głowę podniósł, dłonie zatarł, wstał przede wszystkim drzwi ze środka na klucz

zamknął. Po minie jego, po wyrazie, jaki na obliczu świecił i z oczów strzelał, podejrzawać go można było o powzięcie groźnej jakowejś determinacyi. Gdy od drzwi odchodził, zdawało się że postawi na stole pudełko z pistoletami, otworzy takowe i do pisania testamentu zasiądzie. Może on myśl tę miał, od drzwi do komody idąc; przed komodą atoli stanawszy, zamiast do szuflady po pudełko, po butelkę sięgnął—po butelkę malagi, którą ujął, do góry podniósł, groźnie na nią spojrzawszy, odkorkował, do szklanki płyn brunatny, a jak oliwa prawie gęsty, wlał i duszkiem wychylił. Przypuszczać było można, że uczynił to celem spotęgowania determinacyi, odnoszącej się do pudełka z pistoletami. Najodważniejsi potrzebują niekiedy rekonfortowania, za pomocą sposobów sztucznych, odwagi. Są przykłady żołnierzy skończenie walecznych, co się upijali przed bitwą. I pan Maurycy przeto nie dowierzał może samemu sobie. Szklankę malagi wypił, po pokoju się przeszedł, przed zwierciadłem na chwilę stanął, w przeczecie spojrzawszy, nie wiele przy świecy widział, znów się przeszedł i drugą szklankę malagi wypróżnił. Po tej uśmiechał się do siebie uśmiechem złośliwym, który nabrał wyrazu złośliwości ironicznej, gdy, ujawszy w rękę pakiet z piernikami, wyczytał na pakiecie złościsty napis „Thorn.”

— Ehe...—odezwał się przez nos. Niemcy!... Thorn?... Thorn?... czemu nie Toruń?... ehe!...

Ręką w górę wymachnął i trzecią szklankę wina kapitałnego nalał. Nie od razu jednak ją wypił. Wziął się pierwszej do rozwijania pakietu. Nie szło mu to. Próbował, stażeczkę ostrożnie rozwiązywał i tem bardziej węzeł zaciągał, pakiet to z tej, to z owej strony oglądał, wreszcie położył i szklankę ujął. Wypił, i gdyby mu po tej trzeciej szklance kto pistolet nabity był podsunął, kto wie czyby się zamachu jakiego nie dopuścił. Okazywał bowiem rozirytowanie nie małe na Niemców za „Thorn.”

— Łajdaki!...—przez zęby od czasu do czasu przeciskał.

I po niemiecku przemawiać zaczął, mieszając prozę z poezją. Trwało to tak długo, aż gorąco, które w sobie uczuł, zniewoliło go do rozbierania się. Rozebrał się do koszuli w połowie ciała górnej; w dolnej pozostawił wszystko, jak było i w obowiązu pod piernaty wlaźł. Przez czas jakiś słyszeć się dawało z pod takowych mrų-

czenie; następnie ucichło—na stole świeca się paliła póki się nie dopaliła i w głębi lichtarza nie zgasła.

Że było to nie co innego, jak upicie się, to wiadoczne. Najmniejsza pod względem tym nie zachodzi wątpliwość. Rzecz sama przez się jest zwyczajną, zapatrując się na ten z Masiem wypadek z punktu ogólnego; zasługuje zaś na zanotowanie dla tego tylko, że Masio nie należał do rodzaju ludzi, utrapionych pociągami do kieliszka. Lubił smaczne jadło, dobre wino, wytworne likiery, ale umiarkowanie. Natura obdarzyła go raczej skłonnością do smakoszostwa, stanowiącą jeden z najwybitniejszych przymiotów dyplomatycznych: i ona jednak—i skłonność owa—pozostawała w nim w stanie uśpienia. Na dogadzanie jej brakło paliwa. Wypadek przeto, jaki się młodemu człowiekowi przytrafił, przypisać należy szczególnemu usposobieniu moralnemu, w jaki go wprowadziła perspektywa połączenia się węzłem dożgonnym z Chaną.

Nad ranem się obudził spotniały tak, że mu się z włosów woda lała. Okrycia z siebie zsunął, pociemku się do reszty rozebrał i w ciągu dalszym spał porządnie—spał, aż około dziesiątej rano rozbudził się powtórnie na prawdę.

Nie wstawał—miał do myślenia tyle.

Wychodnim myślenia punktem było porównywanie—przeprowadzanie paraleli pomiędzy Misią a Chaną. Ta młoda, ta niemłoda; ta chorobliwa, ta zdrowa; ta sto pięćdziesiąt tysięcy majątku całego, ta siedemdziesiąt tysięcy dochodu rocznego. Rozwiązywał w myśli zadanie: jaki procent daje kapitał Misi? do jakiego kapitału odnosi się procent Chany? Wypadło: tam siedem tysięcy pięćset, tu milion czterekroć sto tysięcy. Milion ów imponował mu ogromnie. Przypomniawszy sobie powiedzenie któregoś z powag europejskich, że człowiek zaczyna się od tych, co posiadają milion. Odnosiło się to do franków; tu zaś chodziło o talary.

Milion talarów!

O moralisci! o idealiści! Karciele wymowni pozytywizmu i materyalizmu, wy co gromicie Darwina, wierzgacie na Kopernika i zaglądacie do Złotego Ołtarzyka, postawcie się na miejscu tego wychowanka księdza Zmianko!

Milion talarów!—to nie w kij dmuchać.

Masiowi przyznać należy sporą w duszy oporu moralnego dozę, że milion ów w całej świetności swojej stanął mu w oczach dopiero po przepiciu.

Był-li to wpływ malagi?

Myślał, myślał; milion ów, pomijając czterekroć sto tysięcy, ze stron wszystkich możliwych oglądał i zawołał w końcu w głos:

— Pal diabli!...

Powziął ostatecznie postanowienie heroiczne, łóżko opuścił i ubierać się począł.

Podczas kiedy paznogie opatrywał, słyszeć się dało do drzwi pukanie.

— Proszę!...—zawołał.

Kręcenie w zamku przypomniawszy panu Maurycemu zamknięcie drzwi. Otworzył i ujrzał przed sobą wspaniale odzianego, o minie ministeryalnej, lokaja, który się przy drzwiach zatrzymał.

— Cóż tam?...—zapytał młody człowiek.

— Pani moja, pani Kalisz — odrzekł zapytany—kłania się i dowiaduje o zdrowie jaśnie hrabi: czy jaśnie pan tej nocy spał, czy się pościł i czy go katar nie opuścił?...

— Spałem, pościłem się i kataru nie ma ani śladu. Podziękuj pani...

— Pani moja kłania się jeszcze i pyta, czy jaśnie pan jej odwiedzić nie zechce?...

— Chętnie...

— Pani moja kłania się i prosi, ażeby jaśnie hrabia przychodził do niej nie w dzień, ale wieczorem... na wieczerek... dziś...

— Dziś nie mogę, wieczór mam zajęty... Jutro służyć będę pani Kalisz na moment...

Lokaj odszedł; pan Maurycy zajął się kończeniem toalety swojej. Czynność ta zabierała mu zwykle czasu godzin parę, prowadził ją bowiem nie spiesząc się, jak człowiek, mający do zbycia czasu dużo. Doszedł do zapinania mankietów od koszuli, kiedy usłyszał znów do drzwi pukanie.

— Proszę!...

Znów tenże sam zjawił się lokaj. Niósł w ręku koszyk serwetą osłonięty.

— A?...—zapytał pan Maurycy.

Lokaj, zamiast odpowiedzi, do stolika przystąpił i ze zręcznością, świadczącą o biegłości w sztuce, ekrył takowy czystą a jak śnieg białą serwetą, na serwecie ustawił talerze, solniczkę, szklanek, kieliszek, widelce, noże, całą słowem zastawę, której nie brakło karafki z wodą i butelki wina, postawił w końcu półmisek z dybiącą się oparem pierśią gęsi pieczonej i komput z jabłek, i do pana Maurycego się zwracając, przemówił:

— Pani moja kłania się i prosi pięknie jaśnie hrabi, ażeby śniadanie zjadł...

Co miał, ofiara nieszczęsna, począć! Odmówić? Odmowa oznaczałaby poczynanie nieprzyjazne, które w żadnym razie racji słusznej nie miało, najmniej zaś w razie obecnym. Młody hrabia znajdował się przy apetycie. Po maladze wczorajszej, a może i po przepoceniu się obfitem w nocy, czuł w żołądku czczość i byłby chętnie śniadanie z restauracyi hotelowej przynieść sobie kazał, gdyby go od tego nie powstrzymywały względy kieszonkowe. Nie mógł pozwalać sobie na jadanie extra. Przez oszczędność jadał raz na dobę, przy wspólnym stole. Godzina obiadowa znajdowała się w przyszłości dosyć jeszcze oddalonej. Owa gęś przeto pojawiła się w porę. Pan Maurycy przy stole miejsce zajął, kieliszkiem kminkówki apetyt sobie zaprawił, do piczystego się wziął i spałaszował takowe do szczeretu. Lokaj talerz uprzątnął i postawił czysty, stawiając przed takowym babki kawał. Babka poszła za gęsią, wraz z kieliszkami paru doskonałego Bordeaux, po czem nastąpiły owoce smażone na sucho, zaokrąglając posiłek, który młodego człowieka zadowolnił zupełnie. Nie koniec jednak na tem. Po wszystkim wystąpiła na stole maszynka na kawę na fajerce spirytusowej i w chwilę później pan Maurycy pił kawę czarną, sporządzoną z mokki najprawdziwszej.

— Pani moja—zaczął lokaj, który w milczeniu dotychczas posługi czynił—kłania się i pyta, o której jaśnie pan budzi się rano?...

— O ósmej... dziewiątej...

— I pyta jeszcze: co jaśnie hrabia lubi?...

— Podziękuj pani... Poproś jej, żeby się mną nie kłopotowała... nie ambarasowała... Podziękuj pani bardzo...

— Słucham jaśnie pana...—odrzekł lokaj odchodząc.

Pan Maurycy toalety dokończył i resztę dnia spędził, jak spędzał dnie poprzednie. Nazajutrz pił w łóżku przyniesioną przez tegoż samego lokaja doskonałą kawę ze śmietanką, z doskonałemi sucharkami i jadł śniadanie zupełniejsze aniżeli pierwsze; po śniadaniu zaś miał odwiedziny, które mu nieprzyjemności nie sprawiły. Odwiedziła go panna Maryanna.

— Ja od pani Kalisz do pana hrabiego...—oświadczyła na wstępie, nie chcąc zajmować krzesła, które jej pan Maurycy podawał—od

pani Kalisz na momencik: mam tylko słów kilka oświadczyć...

— Cóż pani Kalisz rozkaże?...

— Pani moja kazała pana hrabiego prosić bardzo, ale to bardzo, na dziś, na wieczерę...

— Prośbie takiej odmówić nie sposób...

— Pani pyta, o której godzinie po pana hrabiego powóz przysłać?...

— Dziękuję... Przysłać powozu nie potrzeba... Proszę pani podziękować..

Wieczera owa pana Maurycego trwożyła nieco. Miał w powonieniowej pamięci swojej odór cebuli i tej, jaka jej towarzyszyła, mieszaniny zapachów. Ku zdziwieniu i zadowoleniu swemu przekonał się, że się to nie powtórzyło. Odory były, ale te wydzielały się z wytworów kuchennych, przyrządzonych znakemicie. Pani Anna okazywała uprzejmość wielką, lubo duczliwą nieco, albowiem pilnowała gościa swego, ażeby jadł i jeszcze jadł.

Od momentu tego, sprawa ożenienia się pana Maurycego posuwała się naprzód. Z jednej strony węzły, które młodego człowieka z Macią łączyły, rozluźniały się, z drugiej, te które go łączyły z Chaną, zacierały się. Wstręt do „żydowicy,” pod wpływem troskliwości jej i perspektywy miliona, malał stopniowo, aż zeszedł w końcu do rozmiarów, oznaczanych za pomocą zera.

XVI.

W takiej stosunkowo nierozległej jak Wielkopolska parafii, w sferze, do której graf Gracki należał, wszyscy się znają i wiedzą o sobie. Wiedzą nie tylko kto kogo rodzi, ale kto co jada. Stąd też utaić się nie mogło długo, to najprzód, że pan Maurycy zrzekł się spółubiegania o rękę Misi, to następnie, że upatrzył sobie coś. Co jednak? Ciekawość publiczna wyteęzała oko i ucho w kierunkach różnych, aż brzęknął jej w słuch wyraz: „żydówka.” Na tem się skończyło, zwrócono bowiem badawczość w sferę świata żydowskiego, przeszczotkowanego polorem cywilizacyjnym, w sferę kupców, finansistów, *macherów*, edukujących córki i uzięcających się chętnie hrabiami, nawet i polskimi w braku niemieckich, ale była to droga błędna. W sferze tej był młody hrabia, jak wiemy, nie do znalezienia, albowiem Chana w niej nie tkwiła. Przy Chanie zaś dojrzeć go sposobu nie było, z powodu wału, ja-

kim ją spółwyznawcy jej otoczyli i przed okiem ciekawości chrześcijańskiej zamaskowali. Nikt ani się domyślał, co się święci, tak że w końcu ciekawość publiczna orzekła:

— Ej... bajki...

Nie bajką atoli było to, że Masio wyglądał niby pączek w maśle i cieszył się humorem jak najlepszym. Zresztą—tajemnica.

Tajemnica atoli dla chrześcijan, nie była tajemnicą absolutną dla współwyznawców Chany. Tych ostatnich interesowała ona zaledwie z bliska, ażeby nie mieli oni dostrzedz częstego w domu jej bywania faworyzowanego przez nią w sposób szczególny goima. Dostrzegli za pomocą podglądania — podglądania prostego, zwyczajnego, literalnego. „Wszystkie środki są dobre, gdy prowadzą do celu.” Reguła to wspólna dwom stowarzyszeniom potężnym. Z nieba się zjawiało na gminę żydowską zapytanie:

— Co Chana robi, kiedy przy niej nikogo nie ma?...

„Nikogo” tyczyło się żydów—chrześcijanie się nie liczą.

Ruszyli przeto żydkowie na ochotnika i póty zachodzili, zasiadali, oczy przymrużali, futryn się czepiali, aż podpatrzyli sztywnego młodego człowieka, spędzającego często z bogaczką wieczory. Odkrycie to stało się uchwyceniem nieci kłębka, dojście do którego rzuciło trwogę wielką w Izraelu. Trwogi tej powodem była możliwość wyjścia miliona ze świata żydowskiego.

— Biada!... biada!...

Okrzyk ten wydali zarówno żydzi jak postępowi, tak zacofani i zarówno tak pierwsi, jak drudzy, zabiegów, celem odwrócenia nieszczęścia takiego, się chwycili. Pierwsi dwoili, troili, potęgowali galanterię, grając przytem na strunie chciwości za pomocą podsuwania kapitalistee przedsiębiorstw, rokujących zyski ogromne. Migotali jej przed oczami procentami sto, półtora-sta, dwieście, trzysta na sto i ukazywali za lat dziesięć miliard, świadcząc się Rotszyldami, Pereirami i kilku innymi znakomitościami europejskimi. Drudzy się do innego uciekli procederu. Zwrócili się do byłego Chany małżonka, który, mając życie zabezpieczone, wykierował się na chusytę skończonego i byłby uzyskał wziętość wielką, gdyby nie to, że pojawiając się powtórnie za żonę kobietę młodą i zdrową, i z tą dziećmi nie miał. Pomimo to, ponieważ się w księgi wczytywał, musiał przeto o czymś wiedzieć. Było

to przypuszczenie całkiem naturalne. Na podstawie więc onego, głowacz kahalni następujące mu uczynili przedstawienie:

— Ta co małżonką twoją była, ale nie jest, na bardzo złą weszła drogę... Z goimami się wdaje, goimi jej służą, jest wielkie podobieństwo, że trefne jada...

Srul na to powieki zamknął i głową najprzód w prawo i w lewo, potem z góry na dół i z dołu do góry kiwał.

— Cóż ty, Srulu, o tem myślisz?...

— Ja myślę, że jest to niewiasta, co grzeszy...

— Ciężko grzeszy?...

— Ciężko, kiedy trefne jada...

— Jest podobieństwo, że ona siebie goimowi odda...

Srul znów się, jak poprzednio, kiwał.

— Cóż ty na to?...

— Ja na to, że to nie... Ona grzęda jałowa... Z niej nie zejdzie nie...

— Ale z nią wyjdzie talarów moc wielka... Cóż ty na to?...

— Ja na to: niech-no do niej rabin z Kutna przemówi...

Wzmianka o rabinie z Kutna stała się, jakby promieniem światła, wprowadzonem do umysłów, które nie wiedziały co począć. Nastąpiła narada, a z narady wypadło, ażeby wysłać do Chany delegację. Wybrało się trzech co najpoważniejszych i, przyszedłszy do domu jej, a zastawszy u niej spekulantów paru, jeden z nich oznajmił jej uroczystie, iż z nią do pomówienia mają.

— Chcecie datku na bóżnicę, na szpital, nu?...

— Nie...—przerwał! Mamy ci rzec słówko na osobności...

Przeszła z nimi do pokoju przyległego i tenże sam przemówił do niej:

— Ty grzeszną idziesz drogą, ty się gubisz..

— Nu?..—zapytała.

— Ty byś sobie męża wzięła, nie takiego jak Srul, ale takiego...

— I co bym z takim, ale nie z takim robiła?..

— My ci tego powiedzieć nie możemy, ale jest ktoś, co może...

— Kto?..

— Jedź ty do Kutna...

— Po co?...

— Do rabina...

Chana ramionami wzruszyła.

— Jedź ty do Kutna do rabina...

— Ja do niego nie mam interesu żadnego...

— Ale on ma interes do ciebie...

— Jeżeli ma, to niech on przyjedzie do mnie...

— Taki wielki!.. taki święty!.. taki rozumny!..
Niewiasto, coś ty rzekła!.. Weź słowa te napowróć, zbierz się i jedź...

— Czy nie macie do powiedzenia mi nic innego?..

— Nie, chyba to tylko, że, kiedy ty jechać nie chcesz, to jeden z nas za ciebie pojedzie, ażeby z rabinem o tobie pomówić..

— Niech jedzie...—odrzekła. Co mi do tego!..

— Ale ty mu pieniędzy na drogę daj...

— Dam .. a ile?..

Żydzi jeden na drugiego spojrzeli, porozumieli się i jeden kwotę oznaczył. Chana dała dwa razy tyle. Ta jej hojność spowodowała drugą naradę, wynikiem której było postanowienie sprowadzenia rabina na jej rachunek, to jest tak, ażeby ona kosztą sprowadzenia męża tego opłaciła. Pojechał więc z żydów jeden do Kutna i w parę tygodni później w gminie żydowskiej rozeszła się wieść radośna, jako przybywa niebawem taki, co w Talmudzie czytać umie i wprost i na odwrót, z góry do dołu i z dołu do góry, co kwestye najzawilsze rozwiązuje, przyszłość przepowiada, z chorób leczy, błogosławieństw udziela, klątwy rzuca. Łatwo wyobrazić sobie, jaki z racyi tej ruch się zrobił. Wśród żydów zaszumiało, niby w ulu. Pomiedzy starozakonnymi nie było ani jednego, któryby nie pragnął, ażeby mąż święty ręce na niego włożył i któryby się nie przygotowywał za owe rąk włożenie odwziedczyć się mu, ubogi—fenigami, bogaty—talarami. Postępowi, rzecz prosta, w ruchu tym udziału nie brali, pomimo że pomiedzy nimi niejeden myślał sobie, jak Pascal, że to co nie zaszkodzi, pomódz może, i gotował się do przyjęcia włożenia rąk.

Przybył nareszcie, zamieszkał u jednego z kupców najzamożniejszych a zakonowi staremu wiernych—i do domu kupca tego procesyje płynąć poczęły. Trzeba było rzecz tę uregulować. Wyznaczono godziny ra przyjmowanie wiernych pospolitych i dystygowanych, jako też na to, ażeby rabin miał czas zjeść i wypocząć. Spodziewano się, że Chana nie będzie „taka” i sama się, z natchnienia własnego, do mędrca świętego zgłosi.

Nadzieja ta zawiodła. Oburzenie z powodu tego powstało niemałe. Że jednak nie o małą chodziło rzecz, że Chana reprezentowała osobą swoją nakład, któryby starczył na oliwę wonną,

na światło i na świeczki, więc jeden z tych, co z upomnieniem u niej był już, udał się do niej po raz drugi i tak przemówił:

— Rabin z Kutna dla ciebie przyjechał, chce przeto żebyś do niego poszła...

— Ja do niego interesu nie mam...—odcięła.

— Ależ to on!..

— Niech sobie będzie on...

— Więc?..

— Nu...

— Pójdiesz?..

— Nie pójdę...

Żyd zęby ścisnął, dłonie ścisnął, odszedł i z rezultatu bytności swojej u Chany rabinowi sprawę zdał. Nie było rady innej, tylko pójść do niej. Rabin, w mądrości swojej, domyślił się tego i pojechał do Chany w piątek, w samo południe.

Zmieszała się ona, gdy ujrzała przed sobą postać tę szanowną, z brodą co prawie do pasa sięgała, z oczami co z pod wielkich nasuniętych brwi patrzyły, z głową ogoloną a przykrytą jarmułką i czapą futrzaną z uszami i aksamitnem denkiem, w kaftanie długim atlasowym, w pończochach i patynkach. Zmieszała się, gdy rabin wchodząc, na progu się zatrzymał i popatrzył na odzwierki, szukając na takowych napróżno napisów z dziesięciorga. Zmieszanie to jednak wnet przeminęło. Rabin miejsce zajął; obok niego usiadł rabin miejscowy; nieopodal stanęli szkolnicy i dwóch mężów poważnych. Miało to pozór trybunału, powołanego do sądzenia sprawy.

Jakoż, w rzeczy samej, o sądzenie chodziło.

Rabin zasiadł, posiedział i po chwili milczenia ku jednemu ze szkolników głową skinął. Szkolnik na skinienie to, jakby mu szluzą wymowy w gębę pękła, począł prawić szybko, monotonnie, przerywając sobie jeno od czasu do czasu chlipnięciem—wypowiedział formalne przeciwko Chanie oskarżenie, zarzucające jej zbrodnie takie, jak przestawanie z goimami, nieszanowanie szabasu i jadanie trefnego.

Chanie zmieszanie pierwotne prędko przeminęło. Zawahała się była, co z osobą swą zrobić—usiąść czyli też nie. Szacunek nakazywał stać, głowę spuścić i ręce złożyć. Przez chwilę zdawać się mogło, że przybierze postawę tę ostatnią. Zdecydowała się atoli inaczej: usiadła, rozparła się, kolana rozstawiła i dłonie na takowe osunęła. Był to nie dobry znak. Żydzi złośliwie na nią spoglądali; rabin zaś okiem ją

z ukosa zmierzył i, kiedy szkolnik skończył, do niej się z zapytaniem następującem zwrócił:

— Cóż na obronę swoją powiesz, niewiasto?..

— Nie...—odparła krótko.

— Wszystko to więc prawda, co człowiek ten o tobie powiada?..

— Prawda czy nieprawda, to mi wszystko jedno...

— Nie boisz ty się Boga, Boga ojców twoich, Boga Izraela, co żydów z niewoli egipskiej wyprowadził i zakon im na górze dał, tego Boga, co nagradza, ale i karze?.. karze tak, że ciebie, w bogactwa twoje zafana, jeżeli zechce, w chwili jednej, w proch zetrze?.. Nie boisz ty się jego?.. Tyś była u mnie i ty pamiętasz, com ja tobie powiedział wtenczas?..

— Pamiętam...

— Opuściłem cię z dobrem słowem i z radą...

— Tak... i na twoje dobre słowo i radę ryba uciekła i szkło się potłukło...

— Boś ty się zbuntowała...

— Tak... zbuntowałam się, ale później, kiedy się przekonała, że twoje słowa i rady, tak jak kiwanie się Sruła nad książkami, tyle warte, co gdakanie kury na podwórzu... Jakem się o tem przekonała, zbuntowałam się... to prawda i w tejże chwili, jakem się zbuntowała, dostałam wiadomość o śmierci brata mego, który świnię hodował, umarł i mnie majątek ogromny zostawił.. Nu, co ty, rebe, powiesz na to?..

Rabin nie odpowiadał, myślał; ona prawila dalej:

— Kiedy ja, biedna taka, żem głodem nieraz przymierała, zakon pełniła, żydzi odwracali się odemnie; powiadali, że nie chcą ściągnąć na siebie ciężącego nademną niebłogosławieństwa bożego... Ja bym była zdechła, gdyby mnie nie ratowali goimcy... Z goimów żyłam, z nich żywiłam Sruła, dzięki im doczekałam się przy życiu bogactwa: a zatem, jestem goimów dłużniczką, przez nich odchowaną, przez nich odhodowaną, przez nich przy życiu utrzymaną...

Rabin groźnie okiem z pod brwi strzelił; żydzi z niepokojem jedni na drugich spoglądali; niektórym uśmiechy drwiące przez usta się przewijały; ona, zachlipnęła się i ciągnęła dalej.

— I co tam ja!.. Dłużniczką jestem nie ja jedna.. Żydzi nie żyją manną z nieba, ale z tej ziemi, na której się porodzili, z tych ludzi, u których na komornem siedzą...

— Oto, rebe...—przerwał szkolnik, co oska-

lenie recytował, na Chanę ręką ukazując—czego to ją nauczo!..

— Mnie tego nie uczono...—odrzekła. Mnie wszystko to samo do głowy przyszło w chwili, jakem się zbuntowała i sukcesyą po bracie dostała...

Zamilkła. Rabin milczał. Miał on rozgarnienia tyle, że miarkował, iż kwestya postawiła się na terenie dyskusji, która żadnego nie przedstawiała wyjścia. Cóżby bowiem Chanie do odpowiedzenia miał?—to jedno tylko, że naród żydowski, jako „wybrany,” ma prawo zadłużać się i wierzyieli ze skóry obdzierać. A gdyby ona wybraństwu zaprzeczyła? Tego się po niej spodziewać było można i w razie takim—szukaj wiatra w polu. Była to droga niebezpieczna, mimo że dogodna, rabin bowiem tekstami nadziany, jak się czasu onego nadziewali takowemi doktorowie scholastyczni, czuł się zdolnym do wyjścia ze sporu tego rodzaju zwycięsko. Miał jednak do czynienia z istotą, dla której racje książkowe istniały nie inaczej, jak pod postacią tajemnic wiary. Tajemnice takie przyjmują się na słowo—i od słowa zależą. „A słowo stało się ciałem.” Chrześcijanizm przejął to od judaizmu, który słowo podniósł do potęgi najwyższej. O słowie przeto rabin myślał — myślał i wymyślił. Brwi zmarszczył, rękę podniósł i rzekł:

— Głupia, oh! ty bardzo głupia!.. Do ciebie gadać szkoda... Ja też powiem tobie tylko tyle: daję ci czasu do namysłu tyle, co od tego momentu upłynie do zapalenia świeczek w bóżnicy... Jeżeli do czasu tego nie upokorzysz się, męża sobie z pomiędzy prawowiernych zakonu starego nie wybierzesz, mężowi siebie ze wszystkim nie oddasz i przed nim nie zamilkiesz, jeżeli tego nie uczynisz, to ja dziś na ciebie w bóżnicy klątwę wielką rzucę i klątwą tą zegnę cię, jak trzcinę, złamię, jak łuczywo, zdepcę, jak gądzinę...

Śród szmeru uznania i uwielbienia rabin wstał i wyszedł.

Chana przez czas jakiś, niby w skamienieniu na krześle pozostawała. Oczy szeroko otworzyła, dłońmi moeno kolana naciskała, usta miała wpół otwarte, razy parę coś przemówić chciała, powstrzymywała się, wreszcie się odezwała:

— Niby to mnie nie gięli, nie łamali i nie deptali, kiedy ja zakon trzymałam!..

Z umysłami prostymi i w subtelnościach dya-

lektycznych nie biegłymi niebezpiecznie jest wojować figurami retorycznymi. Gdyby rabin był na nagiej groźbie klątwy poprzestał, kto wie, ażaliby rezultatu pożądanego nie osiągnął. Dodatek figury retorycznej popsuł efekt cały. Chana przenosić zrozumiała i odniosła ją wnet do bytowania swego poprzedniego, które upływało tak ciężko pod niebłogosławieństwem bożem. Nie byłaz to klątwa, donioślejsza aniżeli rabina? Porównanie wypadło na niekorzyść tej ostatniej, tem bardziej, że podczas kiedy przeciwko tamtej kobieta była całkowicie bezbronną, przeciwko tej czuła za sobą plecy w talarach, formujących kolumny zwarte i gęste.

— Ij!.. ij!..—wywoływać poczęła półgłosem, uśmiechając się przekąśnie sama do siebie.

W chwili tej pojawił się z za progu jeden z tych, co się w świecie rabina znajdował—ten sam, co po niego do Kutna jeździł. Drzwi za sobą zamknął, do Chany podszedł i zapytał:

— No i cóż?..

— Usłużyliście mi... dziękuję...

— Ij, to głupstwo...

— I ja myślę, że głupstwo...

— Nie dla tego jednak—podchwycił żyd—co ty myślisz, ale dla tego, że klątwę od siebie odwrócić możesz...

— No... wiem ..

— Nie tak, jak ty wiesz ..

— Jakże?...

— A oto jak—zaczął, przysuwając się i głos zniżając:—weź sobie leka mego za męża, a on będzie dla ciebie niby-mężem, na to tylko, żeby ciebie od klątwy osłonić... Ty sobie będziesz sobie, a on sobie będzie sobie... Jak ty zechcesz iść w prawo, on pójdzie w lewo, ty w lewo, on w prawo...

— A jego żona?..

— Jak się z nią na śmietniku zeszedł, tak się na śmietniku rozejdzie... a na głowę twoją klątwa nie spadnie...

— Nu?.. i ma to być tak sobie?..

— Ty jeszcze za to coś tam dasz...

— Naprzykład?..

— Nu naprzykład... — rękę podniósł i głową wstrząsnął. Przystań pierwej na jedno, a o tem drugim pogada się później... Dla ciebie talarów sto tysięcy jednych i sto tysięcy drugich znaczy tyle co nie, a klątwa znaczy to, co... kiedy byk rozjuszony rogi na ciebie nastawi... Co ty wolisz?..

— Wolę byka...—odpowiedziała.

— Nu... Gubisz się samochcąc... Na co to tobie?..

— Niech już tak będzie ..

— Dasz talarów sto jednych i sto drugich tysięcy—powiedział—dla przykładu tylko ..

— Ja wiem...—odrzekła.

— Sto tysięcy... idzie?..—zapytał.

— Nie...

— Nu, to wiesz ty co: za tysięcy pięćdziesiąt lek przyjmie na siebie, że mężem twoim będzie, ale nigdy nim nie zostanie; rabin odjedzie i klątwa odleci...

— Mielibyśmy niby-to oszukać Pana Boga... Nie, ja tego nie chcę... Obejdzie się... Niech się stanie, co stać się ma... Zobaczymy, co z tego wypadnie...

Żyd nie nie wskórał, odszedł, a po odejściu jego zjawił się drugi z propozycją podobną. Po drugim przyszedł trzeci, po trzecim czwarty, piąty. Zmieniło się siedmiu. Każdy z osobna wysilał się na wymowę, w celu przekonania bogaczki o korzyści odwrócenia klątwy za pomocą lekkiej, w stosunku do majątku jej, ofiary pieniężnej, posłużyć mającej do zbogacenia jednego z prawowiernych. Ciągnęło się to do wieczora, do momentu zapalenia świateł szabasowych. Wieczorem niby uciął. Nie pojawił się więcej nikt. W bóżnicy wielka klątwa wyrzeczona została. Zawiadomienie o tem wywarło na Chanę wrażenie silniejsze, jak się spodziewała. Markotno jej było. Przy wieczery apetytu nie miała i kiedy ją panna Maryanna do snu rozbierała, skarżyła się przed nią na ból głowy.

— Niech się pani napije wody z kwiatu pomarańczowego, kropel kilka na cukrze...

— Ach! czy to mi pomoże?..

— Pomoże... środek niezawodny...

— Nu... to niech mi panna da...

Zjadła podany sobie cukier, pod piernaty wlaźła i zasnąć nie mogła. Trapiły ją przywidzenia i strachy, którymby się zapewne nie oparła—i o zdjęciu klątwy pomyślała, gdyby nie upór, ten sam upór, co ją podtrzymywał, kiedy się z nędzą łamała. Dodać potrzeba, że do podtrzymywania uporu przyczyniała się w części znacznej myśl o panu Maurycym, zaprzatająca jej głowę i odbijająca się w sercu. Cóż?—kochala. Sekretu z tego robić niema co. Dla kobiety kochającej klątwy nie istnieją. Chana doznawała nawet pewnego rodzaju zadowolenia, że miłość

jej wystawioną została na próbę, że dla niej poniosła ofiarę. Stanowiło to reakcję w odniesieniu do tego wrażenia, jakie myśl o kłatwie wywierała. Uczucie neutralizowało przesąd. Walka pierwszego z drugim odbierała jej sen. Biedna kobieta przewracała się z boku na bok na pierzynach i pod pierzynami, wzdychała, stękała, aż jej dobry jeden pomysł w głowie strzelił. Świcę zapaliła i dzwonić poczęła, wołając:

— Panno Maryanno!.. panno Maryanno!..

Wołała—dowolała się. Panna Maryanna zaspansza do łóżka jej podeszła.

— Słucham pani...

— Spać nie mogę... Usiądź sobie panna tam (oczami krzesło wskazała) i rozpowiadaj mi co...

— A co, proszę pani?..

— Nu... cokolwiek: bajkę jaką...

— Jaką?.. ja bajek nie umiem żadnych...

— To cokolwiek...

— O świętej Paniencie chyba..

— Niech...

Panna Maryanna mówić poczęła. To co mówiła, nosiło na sobie cechy wyraźne wyuczenia świeżego, jąkała się bowiem i poprawiała. Chana słuchała, słuchała i usnęła.

XVII.

Podczas kiedy się Chana z rabinem rozprawiała, pan Maurycy przygotowywał sobie w Śródborzu grunt, celem przeprowadzenia sprawy ożenienia o ile można najgładziej. Jako pełnoletni, rozporządzał on osobą swoją i mógł się ojca o pozwolenie nie pytać. Chodziło tu atoli o rzecz wielce drażliwą: o mezalians, przedstawiający się w warunkach wyjątkowych. Mezalians mezaliansowi nie równy. Każdy oskrzydlają okoliczności łagodzące, te atoli bywają rozmaite, a zachodzą się od zaślepienia miłosnego. Pokochali się i pobrali—królewicz z pasterką. Okoliczność to łagodząca wielkiej wagi i doniosłości, posiada też uznanie powszechne, w romansach zwłaszcza. Po niej idzie postrzelenie. Racya to ważna. Po tej następuje interes—racya najważniejsza, ale otoczona mnóstwem akcesoryów, które mają znaczenie swoje w obec opinii publicznej. Hrabia lub książę X. łączy się węzłem małżeńskim z baronówną finansową, ogładzoną, omanierowaną, pięknie wychowaną. To uchodzi. Ma to nawet akcentik pieprzny, amatorski. Bądź co bądź, baronówna jest baronówną, zawieszającą

na gałęzi drzewa genealogicznego tytuł. To coś. W braku zaś tego „coś,” niechby były przynajmniej formy jakie takie, osłaniające interes, służyć mogące jako okoliczność łagodząca. Formy często ratują sytuację.

Z panem Maurycem nie zachodziło nie podobnego. Formy przedstawiały się pod postacią kloca, który tej nawet nie dawał nadziei, ażeby się kiedyś ociosać dał. Interes występował tu nago; nagość zaś ta, rozpatrywana z punktu pana Maurycego, nie posiadała na sobie rysu pięknego ani jednego. Z punktu księdza Zmianko wyglądała ona świetnie; ale—któż się na punkcie tym stawia! Młody człowiek wiedział dobrze, iżby najpobożniejsi w nos mu śmiechem parsknęli, gdyby się racją tą zasłaniał. Potrzebował przeto, w dokonaniu zbrodni takiego mezaliansu brutalnego, spółnictwa.

Gdzież spółnictwo tego rodzaju przedstawiało się naturalniej, jak w łonie rodziny własnej?

W rodzinie rolę najważniejszą odgrywa ojciec.

Graf jednak nie był do wzięcia na lep milionów łatwym.

Człowiek, co fortuną w ten co on sposób hazardował, co Niemców kamieniami, pod postacią pałacu, straszyć i pokonywać chciał, co grzązł w mistycyzmie patryjotyczno-politycznym i budował zamki na lodzie, człowiek taki miał we łbie ówiek, i było rzeczą co najmniej wątpliwą, ażeby mimo ówieka tego dało mu się do przekonania wsunąć uznanie zamiaru syna połączenia się węzłem małżeńskim z Chaną. *Cui bono?*—dla milionów? Graf miliony považał, ale nie tak nadzwyczajnie, ażeby dla nich czystość krwi Grackich na szwank wystawiać. Tego by za żadne nie uczynił skarby, pomimo demokracji, którą wyznawał, w której atoli nie tolerował mezaliansowego krzyżowania ras. Czystość rasowa wydawała się mu czemś nietykalnem. Oburzyłby się, gdyby chłop z żydówką się żenił, lub gdyby chłopka za żyda szła. Mniejby go raziło łączenie się stanów, a to z tej racji, że stan szlachecki w Polsce uważał za wyszły z łona chłopskiego. Był to mezaliansu rodzaj jedyny, który uwzględniał do stopnia pewnego, a mianowicie, gdy nie zachodził interes pieniężny. Wszakże bolałoby go, gdyby się ożenił syn z nieszlachecką, lub gdyby córka za nieszlacheccą wyszła—dla majątku zwłaszcza.

Majątek w niewielkiej był u niego cenie z po-

wodu sukcesów kilku, jakie osiągnął w zająsciach z Niemcami. Były to sukcesy honorowe—nie inne. Cenil je wysoko; dumnym był niemi; chlubił się mianowicie zwycięstwem, jakie odniósł nad baronem von Krapiloff w pamiętnej o ogony psie sprawie.

Bo też była to sprawa w rodzaju swoim jedyna i bardzo ciekawa.

Barona, rzec można, sprawa ta przeinaczyła. Pozwanie do sądu zdziwiło go, oskarżenie zdumilo. Spadło ono na niego, niby piorun w dniu pogodnym. Nie spodziewał się czegoś podobnego ze strony Polaka, mając Polaków w ogóle za gatunek ludzi upośledzonych na umyśle. Donnerweterował, rzucał się, w końcu wyjednał zwłokę sądową, podając za powód potrzebę zgromadzenia dowodów celem obalenia skargi. Dowody te atoli nie istniały. Udawał się do adwokatów najdoświadczeńszych i najbieglejszych, obiecywał im honoraria bajeczne i dowiedział się jeno, że jedyny na zatarcie sprawy tej przykrej sposób polegał na wyjednaniu u grafa cofnięcia skargi.

— Wyjednać znaczy: wyprosić?..— domyślił się baron.

— Nie inaczej...— odpowiadał adwokat każdy.

— Potrzeba się przed szlachcicem polskim upokorzyć?..

— Ha!..

Łamał się sam ze sobą, medytował, z myślami się bił—próbował wygrozić: groźby skutku nie odniosły.

— Polakiem się na chwilę zrobię:.. pojedynek...

Posłał wyzwanie, na które otrzymał od grafa odpowiedź, jako ten zwyczaju nie ma do rozprawy orężnej z hyclami stawać.

Przyrównaliśmy barona do brysia, z uwagi na naturę jego. Naturą brysia jest warczyć, szczekać i kasać, za budę i strawę, na rachunek budostawcy i strawodawcy, a zatem na własny, ze względu na to, że rachunki te zlewają się w jedno, za pomocą obróży, która stanowi ozdobę bardzo piękną, wygodę ogromnie wielką i korzyść niezmiernie ważną. Nie dzieje się to atoli bezwarunkowo. Bryś ogon pod siebie bierze i przywarowuje w obec podniesionego harapnika. Zastrasza się i w pokorę uderza, jak skoro pozna, że warczeć, szczekać i kasać bezkarnie nie może. Porządkiem tym, baron pychę z serca złożył i do Śródborza pojechał. Graf przyjął go

w sieniach. Nie zraziło go to bynajmniej. Ze złożonymi rękami i z pochyloną głową, jął najprzód przedstawienia czynić.

— Nie powinniśmy hańbić jeden drugiego, ty bowiem grafie i ja, należymy obydwaj do stanu rycerskiego...—powiadał. Pochodzenie nasze..

— Pochodzenie acpana—przerwał graf—wyprowadza się od rozbójnika, moje od obrońcy kraju...

— To prawda, wielka prawda... Wy, panowie Polacy, macie we względzie tym wyższość nad nami Niemcami... Wyższość ta wkłada na was obowiązek wspaniałomyślności względem niższych...

— Nie względem takich, co psom ogony obcinają...

— To był żart, mości grafie... żart sąsiedzki, niewinny..

— Niewinny!..—wybuchnął graf. Niewinny?.. Poobcinanie ogonów psom, psom gończym! on żartem niewinnym nazywa?.. Przodkowie acana również niewinnie żartowali, obcinając ludziom głowy i wypróżniając im kieszenie... Jedno idzie z drugiego i dochodzi aż do Fryderyka Wielkiego, który pieniądze polskie fałszował i rozbiory uknuł, aż do was, co do zagród naszych podstępnie włazicie i nas z gniazda wyrzucacie... Niewinni!..

— To prawda, wielka prawda...

— No... więc chcesz, żebym jednemu z takich niewinnych puścił płazem bezceństwo, którego się dopuścił i nie naznaczył go piętnem hańby, kiedy mi się okazyja zdarzyła?..

— Cofnij graf skargę, a ja się wysprzedam i wyniosę...

— Ażeby na miejsce twoje wlaźł majster inny?..

— Kup graf Kleit u mnie...

— Kup?.. o!..—odkasznął i ramionami wzruszając, dodał:—Na co mi szkło?..

— Fabryka intratna...

— Żeby najintratniejsza... Ja zboże sieję..

Poznał baron, że przedstawienia nie sprawdzą rezultatu pożądanego. Pochylił się i prosić począł.

— Panie grafie, Polaku wspaniałomyślny i szlachetny... jam na ciebie kamieniem cisnął, ty mi chleb rzuć...

— Nie...

— Polska Prusy postawiła, a ty Prusaka z upadku podnieś...

— Nie...

— Zlituj się grafie!.. miłosierdzia..

— Nie...

W chwili tej przez sień przesunęła się dziewczynka. Baron się do niej zwrócił.

— Piękna panienko!.. — zawołał. Wstaw się za mną do ojca... Zmiękez go...

Do kolan się nachylił. Graf się cofnął i zmięczyć się nie dał, pomimo że go baron na dziecko, które z ukosa okiem mierzył, zaklinał.

Byłby zmiękł może, gdyby się krzywda wyraziła inaczej. Tak atoli, jak się przedstawiała, oburzyła go do głębi duszy. Obraz gończych bez ogonów w oczach mu stał i głuchym go na najusilniejsze a najpokorniejsze molestacje czynił. Serce jego zamknęło się dla uczucia litości względem człowieka, co politowania nad psami nie miał.

— Daremnie...—rzekł w końcu. Odpowiadaj przed sądem... Wszak sądzić cię będą sami twoi...

Swoi sądzili barona jak najłagodniej, z uwzględnieniem wszelakich, jakie się wynaleźć dały, okoliczności łagodzących. Faktu zasłonić nie było można. Wyrok skazujący zapaść musiał i zapadł. Skazano go na zapłacenie ledziuchnej grzywny za pełnienie rzemiosła, na które patentu nie posiadał. Wstyd i hańba! Hańba przygłęła do twardego czoła i wywarła skutek nie ten, jakiego się powszechnie spodziewano. Przewidywano szereg nieskończony szykan, praktykowanych względem sąsiadów wszystkich dokoła. Widziano Niemca z góry, gorejącego zemstą. Zdziwienie też było powszechne, gdy na fakta, świadczące o rozjątreniu barona, oczekiwano napróżno. Oczekiwano tygodnie, miesiące, lata. Niemiec zeichł, szkło fabrykował i z sąsiadami się nie zadzierał. Gdy któremu przysługę jaką udało mu się wyświadczyć, świadczył, ale przykrości nie wyrządzał nikomu najmniejszej.

— Jam to sprawił...—chwalił się graf. Jam Niemiaszkowi, co burezał, skrzydła podciął, nie wydawszy na to ani feniga...

To ostatnie szczególnie w dumę go wbijało. Pokonał Niemca *gratis*. Uważał to za wielką sztukę—majstersztik—i brał za jeden z żywiołów, na których opierał kombinacje polityczne, dyplomatyczne i wszelakie inne, rozumując jak następuje:

— Robić za pieniądze, nie sztuka: lada kiep to potrafi... Za pieniądze kupiłbym Bismarka...

Człowieka, takimi przejętego przekonaniem, trudno było nakłonić do uznania milionów. Ostatecznie uznałby je może, ale nie w ilości półtora, ani półtrzecia miliona, ani wyższej nawet. Za kwotę taką nie tylko Bismark, ale i Beust by się nie sprzedał. Cóż to warto było—z żydowicą zwłaszcza w dodatku! Materya ta delikatna zniewoliła pana Maurycego postępować ostrożnie, przygotowywać sobie giunt, szukać przymierzy. Przedewszystkiem zwrócił się do panny Tekli, ale i jej prawdy całej odsłonić nie śmiał. Ojcu napomknął tylko. Grafowi nie podobało się zerwanie z Masią, z którą związek uważał za zupełnie odpowiedni, nawet dla tego, że posag jej nie przekraczał granic umiarkowanych. Dla człowieka, co nie posiadał nic, dostać półtorakroć sto tysięcy talarów było to we le przyzwoicie. Że zaś wiedział, iż w zabiegach o pozyskanie ręki Masi ksiądz Jan udział niejaki brał, podejrzewał przeto księdza o zwichnięcie tej sprawy. Pan Maurycy nie wyprowadzał ojca z błędu dla tego, że musiałby kwestyą całą wyjaśnić. Wolał ją pozostawić w zawieszeniu i starać się zwracać ku niej wszelkie, nadarzyć się mogące, okoliczności.

Okoliczności nasuwał kończący się pałac.

Ojciec po pustych go oprowadzał komnatach...

— Umeblować by to potrzeba... — rzekł pan Maurycy, od niechcenia niby.

— Umebluje się... — odrzekł graf tonem pewności zupełnej— a nie za spodziewany przez ciebie piéćkroć stotysięczny posag...

— Kto wie, papo kochany...—odparł pan Maurycy niby żartem.

— Ij...—wstrząsnął graf głową—gruszki na wierzbie...

Masio zmilczał.

We dwa, czy trzy dni później, wespół z ojcem oglądał murującą się stajnię. Graf, rozpatrując się w ścianach, zapytał pana Piotra o drabiny żelazne, które nadejść miały.

— Przyszły już...—odpowiedział zapytany.

— A!.. A pokaż że je nam pan...

Pan Piotr poprowadził panów Grackich do prowizorycznie, na sposób barakowy, postawionego składu, w którym słomą poobwijane spoczywały zwitki spore, kształt półkulisty mające.

— Oto...—rzekł, zwitki ręką wskazując.

— Trzebaby robotnika którego zawołać, aże by słomę z jednej z drabin odwiązał.

Pan Piotr nie nie powiedziawszy, wziął się do

odwijania słomy, z pod której ukazał się półkoszyk z żelaza lanego, zgrabnie, elegancko nawet wyglądający.

Graf jął się synowi tłumaczyć, jak półkoszyk ów będzie do ściany przyskrubowany, jak się do onego siana będzie wkładało i jak koń będzie siano z po za prętów skubał.

— Metoda angielska... — mówił — dogodna, mimo że elegancka... Pod drabiną złób kamieniny, do którego osypują się i z obrokiem mieszają nasiona, przy wysmykiwaniu siana przez konia otrząsane... Anglicy praktyczni...

— Prawda, papo... ale...

— Co?... Czy masz co do skrytykowania?...

— Broń Boże!.. Myślę tylko, że do takich złobów i takich drabin mieć by należało konie odpowiednio, angielskie...

— Będą przy nich stały i angielskie, i tureckie, i arabskie...

Pan Maurycy ramionami ścisnął i bąknął:

— Problem... —

— Którego rozwiązanie nastąpi niebawem... — odrzekł graf i dodał tonem dobrego humoru: — „A więc basta, dzieci Piasta!.. Oj nie basta, a dukaty, za kraj cały po Karpaty, za procenty i za straty...” Prawda, panie dozorczo?... — zapytał pana Piotra.

Pan Piotr, nie przerywając sobie okrywania drabiny słomą, odpowiedział na wiersz wierszem:

— Trzeba będzie ważyć, służyć, mileżyć, cierpieć i wojować; I niejedno miłe zburzyć, a inaczej odbudować...

— A tak... — graf na to. Ja też właśnie potrzebie tej czynię zadość: domostwo stare zburzyłem i inaczej odbudowałem...

— Uhm?... — mruknął pan Piotr.

— Co?... — zapytał graf.

— Myślę: czy nie za zbyt literalnie wziął pan graf wyrazy Pola?..

— Byłoby to może „za zbyt,” gdyby nie... coś w powietrzu...

Pan Piotr uśmiechnął się na wyrażenie to, tak pospolite w ustach wioskowych polityków naszych — tak pospolite i tak wysokie mające znaczenie!

Graf zapytał:

— Czytujesz pan gazety?..

— Czytuję, panie grafie...

— Hiszpania... o... — rzucił i z szopy wraz z synem wyszedł.

— Ćwieczek w głowie... — w sposobie uwagi

powiedział do siebie pan Piotr. Czysty wzór tych licznych u nas, niestety, co zamki na lodzie budują, nie chcąc wiedzieć o tem, że zbawienie nasze tkwi przedewszystkiem w pracy i oszczędności... Smutny don-Kiszot... A!.. — ręką machnął i wzrok podniósł na te okna pałacu, w których mu się zdaleka ukazywała niekiedy postać hrabianki.

W okna te bił blask słoneczny i powlekał szyby odcieniem ognistym. Zresztą widzieć się nie dawało nic. Pan Piotr okrywania drabin dokńczył i do mularzy się udał.

Graf, idąc przez podwórze powoli i zatrzymując się od czasu do czasu, wykladał synowi sytuację w sposób następujący:

— Wiem ja, że ludzie mnie za postrzelonego mają; pozory za tem są; wniknąwszy jednak w istotę rzeczy, nie do postrzelonego podobny jestem, ale raczej do spekulanta giełdowego, obchodzącego szanse *baisse* i *hausse*. Na *baisse* ach traci, ale się nie cofa, dla nie wypadnięcia z gry i liczy na *hausse*’ę, która raz przyjść musi, jest to bowiem w naturze rzeczy... Po *baisse*’ie następuje *hausse*’a, po *hausse*’ie *baisse*’a... Prusacy byli dotychczas *en hausse*; przychodzi więc dla nich *baisse*, zbliża się i ja ryzykować *va tout* już mogę... Że wygram, mam przeciwko jednej szans dziesięć, albowiem szanse moje podpira Napoleon III... O?... rozumiesz?... — zapytał, palec nastawiając.

— Papa wyklada teorię gry...

— Czyż polityka grą nie jest!..

— Zapewne, ale w niej do układania seryj szans potrzeba karty nie tylko tasować, lecz i znaczyć...

— To też — podchwycił graf — znaczenia nie zaniedbuję... Nie dla czego innego, jeno w tym celu, matka twoja w Paryżu siedzi...

— Hm!.. — mruknął młody człowiek z akcentem, który się grafowi wydał akcentem niedowierzania.

— Wątpisz?... — zapytał.

— Nie wątpię, do pewnego jednak stopnia... Nie wątpiłbym zupełnie, gdyby po stronie naszej znajdowała się forsa pieniężna znaczniejsza trochę, aniżeli ta, jaką mama w Paryżu rozporządza... Gdyby — dodał tonem insynuacji — gdyby to mama mogła dać... tak... naprzykład... obiad dyplomatyczny...

— No i co?... — odezwał się graf, na którego wyrazy te wrażenie niejako wywarły.

— I podkarmiwszy a podpiwszy należycie biesiadników, wyciągnęła ich na jakoweś zobowiązanie się wyrażne...

— Ale jakich biesiadników?..

— Rouhera, Persignego, Oliviera...

— Tra-la-la...—odparł, palcem w powietrzu kręcąc. Objedli by, opili, naobiecywali i nieczego nie dotrzymali... Nie masz nic mniej pewnego, jak ogony... Zamiast z ogonami, zawsze lepiej jest mieć do czynienia z głową.. To zasada moja, a przytem, w przekonaniu mojem, sprawy ważne traktowane być powinny, jeżeli nie na czczo, to zawsze na trzeźwo... *Plenus venter non studet libenter*... Widzieliśmy rezultaty obiadków dyplomatycznych na kongresie wiedeńskim... Nie!.. to proceder nie mój... Cieszy mnie nawet, że matka twoja nie rozporządza wielką forszą pieniężną, gdyby bowiem pieniądze miała, kusilby ją może łatwy ujmowania sobie ludzi sposób i nazbierałaby, w zamian za pasztety z wątróbek gęsi i za wino szampańskie, pełno obietnic, nie wartych funta kłaków... Postara się o osobiste z Napoleonem widzenie i jemu rzecz przedstawi, jak należy...

— Nie wiem jeno... czy Napoleon...—zaczął pan Maurycy.

— Cóż masz mu do zarzucenia?

— Nie... Chciałem powiedzieć jeno: czy jest on przystępny?.. czy się do niego tanim kosztem dostać można?..

Młodemu hrabiemu chodziło o to, ażeby wper-swadować ojcu potrzebę pieniędzy i w sposób ten utorować sobie drogę do uzyskania jego przyzwolenia na mezalians potworny. Potworność onego sam pan Maurycy uznawał, ztąd też rozumiał, jak ważnym musi być interes, dla któregoby ojciec na potworność ową przystał. Dla tego to był w punkty najdrażliwsze. Nadaremnie jednak. Graf był fortecą nie do wzięcia.

— Napoleonkowi—powiadał—potrzeba jeno mądre słówko w ucho rzucić... To majster!.. sły-szy jak trawa rośnie: od pierwszego zrozumie słowa...

— Gdy słowo to ktoś z zaufanych poprze...

— Myślisz, że on ufa komu!.. Dla takich jak on dobrym jest każdy, co mu drogę wskaże.. Wziął to ze stryja, który także rozum swój miał..

— I był wojownikiem wielkim... — wtrącił syn.

— Na to, żeby niemiachów pobić, nie potrzeba

wojownictwa nadzwyczajnego... Potrzeba sprytu; a to sprytny, o! sprytny... Jak on się wykierował!.. A... czy za pieniądze?.. Wierz mi, mój Maurycy—mówił do syna sentencyonalnie—pieniądze nie wiele warte... Pieniądze wynalezione są dla tych, którym oleju w głowie brak... Człek rozumny umie się bez nich obchodzić, czerpiąc sposoby działania nie w worku, ale w głowie... Zobaczysz, jak to pójdzie gładko: prusacy długi moje popłacą, pałac mi umeblują i w konie angielskie stajnię zaopatrzają...

XVIII.

Nie było sposobu trafić do grafa starego, zacietrzewionego w widokach, dla których szans na powodzenie nie było najmniejszych.

Graf należał do starej wielkopolskiej gwardyi, leżącej w gronie swoim ludzi wartości wysokiej i narwańców. On był tych ostatnich typem.

Pan Maurycy nie raz i nie razy dziesięć zbierał się postawić kwestyą jasno, wskazując ojcu otchłań pod nogami, ale się obawiał zrazić go sobie.

„Stara gwardya ginie, ale się nie poddaje.”

W rezerwie miał postawienie czynu dokonanego; przed tą zaś ostatecznością pozostawała jeszcze matka, do której zakolatać postanowił listownie. Napisał. List jego był nawskróś dyplomatyczny. Oznajmiał o zerwaniu z Misią i o zwróceniu zabiegów w inną stronę, ale przedmiotu zabiegów nie wymieniał. Wstydzil się. Ogólnikowo wyrażał się o mezaliansie i o fortun'e olbrzymiej, przeciwstawiając tę ostatnią oplakanemu stanowi interesów majątkowych. Wyglądało to tak, jakby ofiarę z siebie czynił na rzecz rodziców i siostry. Wreszcie wzywał matkę do przyjazdu w sposób naglący, zaklinał ją „na przyszłość dzieci.” Wielkie zakłęcie! Liczył na to, że ono bez rezultatu nie pozostanie—bez rezultatu, na który oczekując, nie miał do czynienia nic lepszego, jak pozostawać we Śródborzu. Najdogodniej mu to wypadalo. Chana go kompromitować poczynala.

Nie nie miał do czynienia lepszego, jak w Śródborzu pozostać, ale w Śródborzu nie do czynienia nie miał.

Graf wyznaczył mu apartament na piętrze, odpowiedni symetrycznie temu, który panna Tekla zajmowała, lecz położony w stronie przeciwnej.

Brata od siostry dzielily pokoje puste, acz wspa-
niale.

Młody człowiek, nawykły do próżniactwa pra-
cowitego, skazanym się czuł na nudy.

— Nudy śmiertelne...—rzekł razu pewnego
do siostry.

— Już?...—zapytała, zdziwiona że powiedze-
nie to ogłoszonem zostało na piąty po przyjez-
dzie dzień.

— Już prawie... — odpowiedział. Mam je
w przedsmaku.

— Cóż to będzie, gdy drugich dni pięć
upłynie!..

— Nie masz tam do czytania czego?..

— O! mam...—zawołała uradowana.

Uradowanie jej pochodziło ztąd, że młody hra-
bia nie należał zgoła do rodzaju ludzi w czytel-
nictwie zamilowanych. Czytywał on—któż bo-
wiem z tej sfery w w. XIX nie czytuje!—ale do-
rywczco, od niechcienia, uważając książkę za ro-
dzaj zabawki, nie zupełnie odpowiedniej ludziom
seryo. Miał siebie za człowieka seryo. Panna
Tekla zapatrywała się na rzecz tę inaczej. Czy-
tywała więcej i uważniej aniżeli brat i powzięła
to przekonanie, że książki dostarczają nie tylko
przyjemności, dochodzącej niekiedy do rozkoszy,
ale także udzielają wskazówek, kształtują umysł
i serce. Z tej-to racji uradowało ją zapytanie
pana Maurycego. Zaprosiła go wnet do siebie.

-- Chodź... zobaczysz... wybierzesz...

— Masz co z nowości?..

— Zobaczysz...

Cóż ona miała!—same rzeczy stare—stare, to
jest, przedewszystkiem utwory poetów epoki
mickiewiczowskiej, a obok nich dzieł parę histo-
rycznych i powieści zbiór znaczny. Jej to wy-
starczało; księgozbiór swój miała za znaczny
z tego głównie powodu, że znajdowała w nim
resurs na zajęcie czasu, gdy nie zajmowała się
czem innem.

Pan Maurycy przyszedł, przed szafką stanął,
okiem po tytułach książek powiódł i skrzywił
się.

— Co?...—zapytała.

— Nie pożywię się u ciebie...

— To może...—zaczęła i urwała, jakby się zle-
kła tego co powiedzieć miała.

— No?...

— Możeby cię w książki zaopatrzyć mógł...

— Kto?..

— Pan Ostróżka...

— Kto?...—zapytał powtórnie z przyciskiem
zaakcentowanym zdziwieniem.

Panna Tekla powtórzyła nazwisko.

— Zkądżeś jakiegoś pana Ostróżkę wygrze-
bała?..

— Dozorca przy robotach ..

— Więc to... dozorca i zarazem literat?... ku-
muluje?..

— Człowiek ukształcony... interesuje się ru-
chem umysłowym...

— Jakże o tem wiesz?... ze słyszenia?..

Gdyby pan Maurycy w zapytaniu powyższem
nie dodał był wyrazu ostatniego, byłby ją w okru-
tny wprowadził ambaras. Wyraz ów z ambarasu
wyprowadził. Nie nie odpowiedziała i tak to
uszło. Zmieszała się. Zmieszania pan Maurycy
nie zauważył i dodał:

— Hm?... spróbuję, zakołacę do Ostróżki ostro-
żnie; znajdę może partnera do ekarte...

— Czy umie...—wtrąciła panna Tekla.

— Nauczy się... byle ochotę miał, ochota zaś
do karteczek w mężach tego rodzaju jest rzeczą
zwyczajną...

Rzekłszy to, kapelusz włożył i do mularzów
się udał. Przy mularzach pana Piotra nie było.
Na zapytanie, gdzieby się obracał, wskazano mu
stancję w oficynie, służącą dozorcę za mieszka-
nie. Młody hrabia zawahał się na chwilkę; po-
wiedziawszy sobie atoli: „à la guerre comme à la
guerre,” do oficyny poszedł i do drzwi zapukał.
Pukanie powtórzył razy parę, nadaremnie jed-
nak. Ze środka nie odzywał się nikt. Klamkę
pocisnął, drzwi się otworzyły; zajrzał do izby
i, zajrawszy, nie mógł się oprzeć ciekawości,
jaka go pociągnęła do przestąpienia progu. Cie-
kawość wzbudził w nim widok wnętrza izby,
przedstawiającego się pod postacią składu bez-
ładnego przedmiotów, należących do mineralogii
i botaniki. Tak się to przedstawiało na pierw-
szy rzut oka. Na półkach, skleconych na prędcę
z desek prostych, a ustawionych nie tylko pod
ścianami, ale i na środku pokoju, widzieć się da-
wały kamienie i ziemie, zioła i trawy, kłosa
i nasiona, złożone jedne na drzewie wprost, inne
na czerepach i papierkach. Tu i owdzie spo-
strzegać się dawały notaty, pomiędzy którymi
zafrapował go rulon, mający pargaminowy po-
zór. Rulon ów do ręki wziął, rozwinął i przejęty
zdzumieniem został. Był to dyplom na doktora
filozofii, wydany na imię Piotra Ostróżki, *cum
maxima laude*. Zwinął takowy i położył. Półki

maskowały sobą sprzęty, które składały się ze stolika pod oknem wysokiego, o powierzchni pochylej, takiego przy którym pisze się stojąc, ze stołu zwykłego, dużego, książkami zawalonego, z paru stołków i z łóżka sypialnego, prostego, wąskiego, słomą napełnionego i kocem okrytego. Do sprzętów także zaliczyć należy dzbanek na wodę, misę zastępującą miednicę, ręcznik na kołku i narzędzia takie, jak piły, pilniki, młotki, świdry, cbcęgi etc. Było to niby muzeum, niby pracownia. Pan Maurycy przeszedł się pomiędzy półkami, zatrzymując się tu i owdzie i stanął w końcu przed stołem, na którym spoczywała książek kupa. Wziął do ręki jedną—była to geologija, drugą—traktat o uprawie roślin pastewnych, trzecią — o gospodarstwie rolnem, czwartą—botanika, piątą—chemia analityczna.

— Hm?.. hm?..—pomrukiwał—doktor filozofii... no proszę...

Z boku leżała książka w okładkach nowiutkich, nieporozcinana jeszcze—praca świeża pani Wilkońskiej.

— Hm?..—uśmiechnął się, książkę rzucił i ku wyjściu się miał, gdy do izby wszedł pan Piotr.

— A?..—odezwał się ten ostatni tonem zdziwienia lekkiego.

— Chwytasz pan mnie na uczynku gorącym, zgwałcenia progów mieszkania pańskiego ..

— Progi mieszkania mego nie są zakazane...

— Wszelako... Przepraszam pana... Pukałem i odpowiedzi nie otrzymawszy, ośmieliłem się drzwi otworzyć... Ciekawość mnie pociągnęła... wszedłem... Przepraszam...

— Ależ .. proszę pana...—odrzekł pan Piotr.

— Masz pan tu kolekcję zupełną ..

— Za zbyt nawet zupełną, albowiem znajdują się tu przedmioty niektóre w egzemplarzach liczniejszych jak potrzeba, inne zaś zanadto są polspolite... Z tego wszystkiego wybrałoby się okazów dziesiątków parę...

— Na cóż pan to zbiera?... —zapytał pan Maurycy po chwili.

— Zbieram... z nawyku... dla niestracenia wprawy, trochę z nudów wreszcie...

— Z nudów?...—pan Maurycy na to.

— Zajęcie moje przy mularce nie zabiera mi wszystkich dnia momentów...

— I czytujesz pan, jak widzę... — dodał młody hrabia, wskazując oczami książki.

— No tak... „Kto czyta, od tego głód się odwraca...” —powiada księżna Puzynina...—odrzekł

pan Piotr tonem, w którym się żartobliwość przebijala.

— Według tego przeto, ażeby głód odwrócić, dosyćby było, ludzi czytania wyuczyć...

— W części... to tak jest... Czytanie ułatwia nabycie wiedzy; ta zaś jest potęgą, której się głód oprzeć nie jest w stanie...

— W każdym razie do potęgi nie zdaje się, ażeby doprowadzić mogło czytanie gładkania takiego, jak pani Pauliny...

— Ha... — odparł pan Piotr. Społeczeństwo każde wysnuwa z siebie to, co snuć może... Byłoby smutno, gdybyśmy nie lepszego nad gładkanie to nie posiadali, luboć z drugiej strony, i ono ma w społeczeństwie funkę do pełnienia.

— Jaka, ciekawym?...—wtrącił pan Maurycy tonem lekceważenia.

— Funkę lekkiej na słabe żołądki strawy, przysposabiającej takowe do przyjmowania pokarmów posilnych...

— Nie dla pana chyba strawa tego rodzaju...

— O panie... Co my o tem wiemy!..

— Przecież pan ^umieć nie może w utworach pani Pauliny upodobania...

— Owszem... Cenię je dla intencji zacnej...

Młody hrabia utrzymywał rozmowę dla rozmowy i szukał furtki jakiejś, przez którąby przeprowadził kwestyą nudów swoich. Furtka jednak tego rodzaju trudną była do znalezienia u człowieka, zażywającego na nudy lekarstwa, na któreby się pan Maurycy nie zgodził. Jakżeby on po kamyki chodził i ziółka zbierał! Czegoś podobnego wyobrazić sobie nie było można. Najwyżej — polowanie: luboć myśliwym, w ścisłym wyrazu tego znaczeniu, nie był; wszelako zapolałby w towarzystwie. Po ostatniej przeto pana Piotra odpowiedzi, wziął ze stołu powieść pani Wilkońskiej, obrócił ją w rękach razy parę, otworzył, zamknął, ujął książkę w palce za jeden z rożków, wywinął ją i rzekł:

— Wszakże nie wydaje mi się przyjemnem towarzystwo, w jakim pan czas spędzasz ..

— O jakim pan towarzystwie mówisz?... — zapytał pan Piotr.

— Kamieni, glinek, roślin...

— Czyż nie mam innego?...

— Naprzykład?...

— Robotnicy... włościanie...

— El!... — rzucił pan Maurycy i ręką machnął.

— Towarzystwo... — zaprotestował pan Piotr.

— Zapewne; w żadnym jednak razie smako-

wać nie mogące człowiekowi, jak pan, ukształconemu...

— Czyż ukształcenie smaku w kierunku tym nie zwraca?... Ukształcenie urabia smak wszechstronnie i nie wytrąca z takowego całego, tak dużego i tak ważnego, działu społeczeństwa...

— Działu w ciemnościach pograżonego... — wtrącił pan Maurycy.

— Ciemności, to koloryt, panie... — odparł pan Piotr — koloryt, powlekający obraz, na którym, szukając, odnaleźć można piękności prawdziwe...

— Czyżby?...

— Tak, panie... poszukać tylko potrzeba...

— Szukałeś pan i znalazłeś?...

— O!... Jam szukać nie potrzebował... Dla mnie się to znalazło samo przez się...

— Tak jak się często w życiu znajdują rzeczy nieszukane... — dorzucił pan Maurycy.

— O, tak... — dorzucił pan Piotr.

Jeden pomyślał o Chanie, drugi o pannie Tekli. Nie szukał ani ten ani ów i pod względem tym, w położeniu dwóch tych młodych ludzi zachodziła analogiczność, która ich zbliżyć mogła, gdyby nie oskrzydlające takową motywy. Analogiczność skarambolowała się, niby dwie bile na bilardzie, i odbiegła, tonąc w milczeniu, w jakim się pograżyli jeden i drugi, potraciwszy niechcący o materią, która zawadzała i temu i temu.

Zawadzała ona panu Piotrowi mocno.

Cóż bowiem: byłoż jakie podobieństwo w tym kierunku, w którym się serce młodego człowieka zwróciło? Najmniejszego, wedle zdania jego samego. Trafiło mu się coś podobnego, jak wędzidło włożone koniowi, który jeszcze wędzidła nie zaznał. Dziwiło go to i gniewało — gniewało dla tego, że czuł się wziętym, że się złapał.

Pan Maurycy, zamieniwszy jeszcze frazesów kilka i przeprosiwszy raz jeszcze za zgwałcenie mieszkania, wyniósł się. Zmiarkował, że dozorca nie nadaje się na partnera, mając do zapelnienia czasu coś innego, aniżeli zaszczyt dostrzymywania towarzystwa hrabiemu. Ludzie którym o zaszczyt ów chodzi, inną aniżeli oni mają minę. Miła pana Piotra nie podobala się mu. Dopatrywał w niej czegoś podejrzanego — czego mianowicie?

— Ten twój pan Ostróżka — mówił do siostry, gdy się z nią zeszedł — to mąż światły, doktor filozofii, ale niepewny jakoś...

— Niepewny?.. — zapytała hrabianka tonem zdziwienia.

— Takie sprawia wrażenie... Zdaje się, jakoby go o coś posadzać należało...

— Naprzykład?.. — odezwała się głosem zmienionym nieco, biorąc słowa brata do siebie.

— Nie wiem... — odrzekł. Może jakie knowania socyalistyczne... Może jest agentem towarzystwa, wabiącego chłopów do Ameryki... Może...

Spostrzegłszy, że posadzenia brata nie w tym, jak jej się zdawało, idą kierunku, ochłonęła i rozpytywać się ją o szczegóły wizyty. Rozpytywała tak ciekawie, że pan Maurycy uwagę uczynił:

— Cóż ciebie tak ten Ostróżka obchodzi?!

— Czy nie wolno być ciekawą?.. — odparła.

— Zapewne... Właściwość płci... Dla zaspokojenia przeto ciekawości twojej, powiem ci, młodzieniec choruje na urodzenie własne...

— Co ty powiadasz!.. — zawołała.

— Ma losom za złe, że się Ostróżką nie zaś hrabią Grackim urodził... Choroba to bardzo pospolita: zapadają na nią Ostróżkowie wszyscy, jak skoro się poduczą trochę... Ze zdolniejszych wyrastają Pankracowie...

Słowa brata wprowadziły pannę Teklę w zamyślenie. Młody człowiek interesował ją, interesował żywo, a tem żywiej od chwili, jak osłoniła go mgła zagadkowości. W zamgleniu tem zolbrzymiał niejako. Zapragnęła poznać go bliżej, dowiedzieć się o nim wszystkiego, co znamionuje człowieka we wzglądzie wartości jego moralnej. Pragnienie to nie przyszło-by, gdyby człowiek ów był jej obojętnym i właściwie było ono nie czem innym, tylko pretekstem, który się urodził mimo wiedzy hrabianki.

Zachodziła jednak niezmierna w urzeczywistnieniu pragnienia tego trudność. Dowiedzenia się o panu Piotrze dwa było sposoby: tajemny i otwarty. Pierwszy polegał na tem, ażeby za pomocą kogoś zaufanego kroki jego śledzić, drugi na tem, ażeby się z nim pod drzewem zejść i rozmówić. Pierwszy atoli ani się jej na myśl nasunął; co się zaś drugiego tyczy, zdecydować się nie mogła. Po raz drugi na odwagę zdobyć się już w stanie nie była. To uczucie, co się dzieviczym wstydem zowie, a które miłość potęguje, krępowało ją. Widywała młodego człowieka codziennie zdaleka, najprzód o dnia świtaniu, następnie w ciągu dnia przy robotnikach

przeczuwała obecność jego wieczorem przy gnieździe bocianiem.

Dnie upływały. Roboty przy stajni postępowały szybko, tak szybko, że panna Tekla podejrzewać poczęła pana Piotra o przyspieszenie takowych umyślnie. Młode bociany w pierze porastały i można je było widzieć niekiedy, jak się podnosiły, na nogach stawały, skrzydła rozkładały i wyciągały szyje.

Razu pewnego graf oznajmił synowi i córce:

— Matka przyjeżdża...—i dodał tonem uradowania wielkiego:—król pruski tyłem się do ambasadora francuskiego obrócił...

— Jak to?..—zapytał pan Maurycy.

— Ot tak...—odrzekł, pokazując. Obrócił się.

— Chybaż to bajka...

— Bajka!.. I jam to za bajkę miał, ale... matka pisze... Matka z Napoleonem się widziała. To jej widzenie się i to królewskie obrócenie się... o... Będą prusaczęta cieniutko śpiewały, gdy im napoleoński bas zagra, cienieć aniżeli baron von Krapiloff, kiedy przedemną ręce składał. Nadchodzi na nich czarna godzina...

Pan Maurycy obiekcyę jakąś zrobił, ale grat go zagadał, podnosząc wielką obrazę, jakiej się król pruski dopuścił względem majestatu cesarskiego i wysnuwając z obrazu tej następstwa dla stosunków w świecie politycznym ogromne i dla Sródborza nie mniej wielkie.

— Miałem węch... — powtarzał — miałem węch...

— Cóż z mamą Napoleon?.. — wtrącił pan Maurycy.

— Co?.. rozmówili się...

— Jak?..

— Krótko... krótko, ale wyraźnie... Napoleon do matki waszej: „*Madame?*,” a ona mu na to: *Sir*, prusacy nam już kością w gardle stoją..

— A dalej?..

— Nie dalej... Tyle tylko wyczytałem ze sprawozdania cyfrowanego... Czyż tego nie dosyć?.. Czyż można się dyplomatycznie i dosadniej zarazem wyrazić?.. Prusacy nam już kością w gardle stoją... Ona to powiedziała, a tu depesza nadchodzi, że się król tyłem obrócił... Gdyby po tem francuzi wojny nie wydali, w razie takim powiedziałbym o nich, że skapcanieli... Nie... to być nie może...

— Ależ, papo...—tonem refleksyi zaczął pan Maurycy. Niedawno, trzy lata temu, król pruski był u cesarza francuskiego w gościach i były

tam, ze strony jednej i drugiej serdeczności takie...

— Co to znaczy!.. Serdeczności w świecie dyplomatycznym są to wędki, haczyki, siatki na muchy, samotrzaski na ptaki, żelaza na niedźwiedzie... Ha, ha... serdeczność dyplomatyczna!—rzekł z przekąsem. I myśmy jej na sobie doznali: zdusiła nas, o mało nam kości nie połamała...

Uniósł się i w uniesieniu sypał prawdę po prawdzie, na nieszczęście odnosił takowe do zajączka, co pokutował w głowie jego i czynił go typem narwańca politycznego, modelem najczystszy budowniczego zamków na lodzie. Prawił, analizował, krytykował i odgrażał się na prusaków.

— Ja im dopiero końca dojadę...

Pan Maurycy i panna Tekla nie przeczyli przez uszanowanie dla ojca. Prócz tego zaś pan Maurycy miał swój szczególny powód nie narażania się rodzicowi. Wszakże to, na czem graf politykę swoją opierał, nie było pozbawione podstawy. Stosunki pomiędzy Francją a Prusami, dzięki nieprzezorności dyplomacyi cesarskiej i machinacyom, które z buduaru cesarowej wychodziły, zaostrzały się coraz to bardziej. Stronnictwo wojenne w Paryżu, nie mające o wojnie pojęcia, pechało do awantury, wołało o pochód do Berlina. Gazety rozdmuchiwały ogień. W świecie publicystycznym zapanowała wrzawa wielka, która głużyła głosy rozsądku i umiarkowania, upominające się o postępowanie rozważne.

— Czyście gotowi?..—zapytano.

— Ani jednego u kamaszów nie brak guzika. —była odpowiedź, którą zainteresowanemu żywo światu dał minister wojny.

Inny znów minister świadczył się „sercem lekkim,” z jakim gotuje rozlew krwi.

„Wojna, już Konrad powstrzymać nie zdoła wołania ludu i nalegań rady.”

Miał więc graf rację, powtarzając:

— A co!.. przewidywałem, przeczuwałem, obrachowywałem i rachuba mnie nie zawiodła...

Pokazuje się ztąd, że kaliber grafa był jeden i ten sam, co kaliber ludzi, którzy nawą Francyi w czasie owym kierowali. Budował zamki na lodzie on, budowali i oni. Poznały się tyse konie na jarmarku. Jest to rzecz dla nas po ciesząca w tym względzie, że zarzucana nam fantastyczność w zakresie kombinacyi politycz

nych nie jest wyłącznym naszych mężów stanu przymiotem. Powodują się nią i tacy, co mogliby nie kręcić biczów z piasku. Nikt sterowników Francji nie naglił do mierzenia się z Prusami na polu zapasów wojennych; nikt ich do tego nie zmuszał. Spieszyło się im. Czynili wszystko, ażeby graf Gracki miał prawo racją sobie przyznać.

XIX.

Pomiędzy osobistościami, które w opowiadaniu naszym występują, najmniej nam znana jest hrabina. Nie dziw. Funkcye jej trzymały ją zdaleka. Była ona—*une dame diplomate*, podobna do tych, jakie w czasach rozmaitych zapisały się na kartach historyi, z tą atoli różnicą, że te ostatnie przemawiały półoficyalnie w imieniu mężów stanu, co na rozporządzenie swoje mieli nerw wojny—pieniądze, ona zaś przemawiała oficjalnie w imieniu idei, zaopatrzonej we wszystko, z wyjątkiem nerwu onego. Różnica ta utrudniała położenie hrabiny ogromnie, nie zrażała jej atoli—przeciwnie: bodźca jej dodawała. Pomiędzy nią a mężem zachodził stosunek zaufania wzajemnego a nieograniczonego: graf był dla niej inspiracją; poglądy jego przyjmowała bezwarunkowo, bez zastrzeżenia najmniejszego, *in crudo*; za to on miał nieograniczoną w rozum jej wiarę—do niej się odwoływał, nią się świadczył i w dyskusjach, które mu się przychodziło staczać często, gdy mu argumentów brakło, miał zwyczaj słowa jej przytaczać.

— Żona moja powiedziała...

Znaczyło to, że gadać niema o czem. „Żona moja” w ustach grafa było tem samem zupełnie, co imie którego z ojców kościoła w ustach księdza. Po wymówieniu wyrazów tych sakramentalnych, nie dyskutował już, nie słuchał nawet, co do niego mówiono.

Hrabina, jak mówiliśmy już, sprawowała interesy dyplomatyczne.

Dodawać nie potrzeba, że małżeństwo to w najlepszej działało wierze. Nie było w niem, jak się Szewczenko w jednym z przesłicznych wierszyków swoich wyraża, „ziarna nieprawdy;” prawda jednak, która w niem była, miała pozory pomieszania na umyśle, ale nie wyjątkowego. Rozlewało się ono po głowach szlacheckich szeroko, przejawiając się rozmaicie, zawsze pod postacią kombinacji mniej lub więcej fantastycznych. Państwo Graccy stanowili typ, który

się kwalifikował do domu waryatów, ale pod tym warunkiem, ażeby wraz z nim zamknąć mnóstwo ogromne właścicieli dóbr rycerskich, stawiających palace na kredyt, celem zaznaczenia powagi idei i bronięcia jej w ten sposób. Byli to w rodzaju swoim obrońcy gniazdowi, prowadzący obronę za pomocą rujnowania się. Czynili to w dobrej wierze. Pod względem intencji nie było im nic do zarzucenia. Na korzyść marnotrawców tych trybunał najsurowszy przyznaćby musiał okoliczności łagodzące. Wydawało się im, że „służą” i „inaczej odbudowują.”

Graf na rzecz służby onej posiadał aparat cały częścią w głowie, częścią w biurze. W głowie miał alfabet do pisania kluczem, znanym jemu tylko i hrabinie; w biurku ukrywał atrament sympatyczny, o którym myślał, że jest sekretem dla niego specjalnie przez aptekarza pewnego z Wrocławia wynalezionym. Sekret polegał na tem, że się atramentem zwyczajnym pisało na tych samych liniach, na których znajdowało się pisanie atramentem sympatycznym i odczynnik wydobywał ten ostatni, niszcząc zarazem pierwszy. Graf tego był przekonania, że sekret ów jest tajemnicą, znaną tylko jemu jednemu na kuli ziemskiej. Receptę na pamięć umiał i zaufanym, z którymi w stosunkach politycznych pozostawał, udzielał przyrządzanego przez siebie atramentu w dwóch fiaszeczkach—jedna do pisania, druga do odczyniania, nie powiadając, jakie się do spreparowania onego ingrediencye używają. Postępował we względzie tym z ostrożnością całą. Hrabina nawet tajemnicy tej nie posiadała.

Hrabina przyjechała.

Była to niewiasta wspaniała—słuszna, imponująca, piękna, mimo że na czasu zegarze południe dla niej od lat dziesiątka minęło. Patrząc na nią, wcale się o wieku jej nie myślało. Zdawało się, że jaką jest, taką była i będzie.

Zatrzymała się na najbliższej od Śródborza stacyi kolei żelaznej. Zaszła była kwestya, kto po nią pojedzie.

— Ja...—pochwycił pan Maurycy, któremu chodziło o to, ażeby się z matką rozmówił najpierwszy.

O toż samo jednak chodziło i grafowi.

— Pojadę ja sam...—odparł.

— I ja z papą...—wtrąciła panna Tekla.

— Zostańcie wy i przygotujcie dla matki przyjęcie...

— Dla papy będzie to fatyga...—odezwał się pan Maurycy.

— Matka domu nowego nie widziała jeszcze...—odparł graf—wypada przeto, ażebyście ją godziwie w progach nieznanych spotkali...

— Z chlebem i solą...—podchwyciła panna Tekla.

— Dobrze...—odrzekł graf—ale na to należałoby porozumieć się z robotnikami chyba, albowiem ściągnąć włóścian trudnoby było... Pomów z dozorcą...

Panna Tekla na ostatnie ojca wyrazy spłonila się z uciechy. Sam przez się nastroczył się pretekst spotkania, którego ona tak gorąco pragnęła. Tu przyjazd matki, dla której żywiła w sercu swoim cześć, jako dla istoty, podążającej ku celom wyższym, tu—to. Jak skoro przeto ojciec odjechał, pędem się do siebie na piętro udała i toaletę na sobie poprawiać jęła. Włosy przed zwierciadłem przyglądała, oblicze ręcznikiem wilgotnym odświeżyła, kołnierzyk u szyi naprostowała, kwiatek w warkocze wetknęła, rękawiczki włożyła, parasolkę wzięła i z okna oczami szukać poczęła. Szukała, nie znajdowała.

— Cóż by to?...—do siebie szepnęła. Może się wybrał właśnie gdzie w okolicę... Ach!.. byłoby to nieszczęście!..

Nieszczęście to jednak nie nastąpiło. Ujrzała go wychodzącego z oficyny i idącego ku warsztatowi. Wnet ruszyła, po schodach zbiegła i, rozpinając parasolik nad sobą, ruszyła krokiem pospiesznym, starając się na przełaj mu zejść. Mawier ten, zdaje się, zwrócił na siebie uwagę pana Piotra, zatrzymał się bowiem.

Panna Tekla, gdy do niego doszła, tak się zmęczyła, że przemówić nie mogła. Było li to zmęczenie fizyczne? — o tem wątpić należy. Wszakże przemówić nie mogła, co widząc młody człowiek, zaczął pierwszy.

— Pani, jak się domyślam, ma mi coś do powiedzenia?

— O!.. tak, panie...

— Zapewne o bocianach, które mają się doskonale, rosną i niebawem same o sobie pamiętać będą...

— Ach!.. tak... nie... mam prośbę do pana...

— Pani... — odrzekł, przybierając postawę człowieka, gotującego się do wysłuchania rozkazu.

— Mam prośbę...—bąknęła nieśmiało.

— Słucham...

Panna Tekla odchrząknęła. Zanim do przedstawienia żądania przystąpiła, wydawało się jej, że takowe samo jej z ust wypłynie. Stało się jednak inaczej. W chwili wygłoszenia wyrazu pierwszego, strzeliło jej nagle w głowie zapytanie, podające stosowność żądania w wątpliwość. Chodziło o owacyę hrabinie. Jakim tytułem w owacyi tej pan Piotr miał wziąć udział? Czem dla niego była hrabina? czem on dla hrabiny? Zapytania te razem w głowie panny Tekli się zbiegły i wprowadziły ją w zmieszanie, w jakie za zwyczaj wpada człowiek, spostrzegłszy się, że ma popełnić niedorzeczność, od której się cofnąć nie sposób. Pożałowała tego, że wyszła. Spróbować chciała spolitykowania jakiegoś. Kobiety niekiedy po mistrzowsku wydobywają się z równie fałszywych położeń. Hrabianka jednak na nic takiego zdobyć się nie umiała. Zmieszana stała, bąkała, wreszcie zamilkła. Pan Piotr z pomocą jej pospieszył.

— Pani by może stan robót widzieć chciała?..

— Dobrze...—odrzekła—jeżeli pan łaskaw...

— Proszę...

Wprowadził ją do środka, gdzie urządzano właśnie żłoby i układano podłogę, podczas kiedy w górze stawiano wiązanie pod dach.

— Widzi pani... pospieszamy...—rzekł, pokazując.

— Panu się dłuży i nudzi w Śródborzu...

— O nie!..—odparł. Ani mi się dłuży, ani nudzi... Pospiech idzie nie odemnie...

— Nie od pana?...—zapytała głosem, w którym zabrzmiał akcent dziwny jakiś.

Pan Piotr z ukosa na nią spojrzał.

— A mnie się wydawało...

— Przecież obiecałem... — podchwycił pan Piotr.

Słowa te oprzytomniły niejako pannę Teklę. Spojrzała na młodego człowieka, uśmiechnęła się i wnet mówić zaczęła swobodnie:

— Tak, to prawda... Powinnam była o tem pamiętać i... pamiętałam... — rzekła z lekkim przyciskiem. Z tem wszystkiem... widząc pospiech niezwykły...

— Niezwykłym on jest w rzeczy samej... Wśród robotników znajdują się w większej połowie ludzie, co do wojska należą; nakazano im pogotowie na pierwsze zawołanie...

— I oni pójdą?..

— Iść muszą...

— Będą się za Prusy bili?..

— Cóż poczną!..

— Biedni oni...—rzekła z uczuciem. Czyż na to rady niema?..

— Hm?...—uśmiechnął się uśmiechem jakimś gorzkim.

— Nie ma?...—zapytała.

— Jest...—odrzekł i po chwili tonem przekąsu dodał: — przedewszystkiem, pałaców nie stawiać, następnie, bronić gniazd tak, jak bociany bronią...

— Czyż one obroniły?..

— Nie obroniły, obronić nie mogły, dla tego, żeśmy z pod nich grunt usunęli... I gniazd naszych, gdyby kto z gruntem pod nimi zrobił to, co my z dworem starym, bronić byśmy w stanie nie byli... Ale my... burzymy je sami, z ochoty własnej... Robi się to wesoło... bardzo wesoło...

Dla panny Tekli wyrazy te były rodzajem wymówki, uczuwała się bowiem i uznawała solidarną, do pewnego przynajmniej stopnia, w tem co rodzice czynili. Odpowiedziała przeto:

— Surowym jesteś, panie, względem... nas...

— Mówię: my...—odparł.

— Czyżby to taką—zaczęła tonem wymówki—być miała rada na zapobieżenie losowi, jaki tych biedaków, powołanych do przelewania krwi za sprawę nie swoją, spotka?..

— Nie przepadaliby... Wracaliby do gniazd ci oczywiście, coby wracać mogli, i znajdowałiby ognisko własne, przy którymby się odgrzewali; nie odbiegaliby od takowego za morza... Czyżby bowiem emigrowali do Ameryki ci, którzy się braćmi młodszymi zwa, gdyby bracia starsi lepiej o dobro gniazd dbali i umiejętniej około onego chodzili?.. Czy wie pani, że się połowa mieszkańców Śródborza do Ameryki wybiera?..

— Czy to być może!..—zawołała w przerażeniu prawie.

Przerażenie jej było prostem odbiciem opinii publicznej, powstającej drogą dziennikarską i wszelkimi innemi przeciwko wychodźtwa włościan za ocean, ale nie wykazującej, że do powodów ekonomicznych, wychodźtwa sprowadzających, dołączają się moralne, pochodzące od „starszej braci” i oddziaływające równie, jeżeli nie bardziej silnie. Do opuszczenia gruntu rodzinnego nie dosyć jest braku zarobku donosnego: potrzeba jeszcze zubożenia, które przychodzi drogą przykładów. Ci, coby przykładem świecić powinni, sprzedają ziemię Niemcom; cóż więc ta ziemia!—jaką mieć ona może wartość

dla tych, co się na przykłady te zapatrują?.. „Starsi bracia” marnotrawią, „młodsi” opuszczają. Wynika to jedno z drugiego. Panna Tekla nie rozumiała tego dotychczas. Zrozumiała i—przebrała się.

— Połowa się wybiera?...—dodała.

— Niestety...—odrzekł pan Piotr.

— Ach! panie... jakże to smutno!.. zwłaszcza z tem „my” w dodatku...

Młody człowiek z wyrazem rozrzewnienia w oczach hrabiance w oczy popatrzył i odrzekł:

— O, tak... Ale nie godzi się nam, wzorem mężów i niewiast biblijnych, w płacz uderzać i lutniom smutki nasze powierzać...

Panna Tekla westchnęła.

— Masz pani ochotę i czas do odbycia ze mną przechadzki niedalekiej?...—zapytał.

— O!.. — zaczęła tonem uradowania, które wnet powściągnęła i spokojniej dodała:—jeżeli to nie daleko...

— Kwadrans drogi pieszej. .

— Kwadrans... dobrze... Ale... — przypomniała sobie nagle—mama dziś przyjeżdża... Papa po mamę pojechał...

— Graf nie może być przed trzema godzinami z powrotem...

— Mamy więc czas?...—zapytała.

— Do zbytku...

Przyszła pannie Tekli na myśl zamierzona dla hrabiny owacya, ale się z tem odezwać nie śmiała.

Poszli. Pan Piotr wyprowadził towarzyszkę swoją na jedną z drożyn międzypolowych i zwrócił się wprost do jednej z chat, zbudowanych oddzielnie, a wchodzących do składu gminy śródborskiej. Przejście wśród pól nie zabrało czasu więcej aniżeli kwadrans. Przechadzka skończyła się na podwórzu, którego pozór znamionował być dobry gospodarza.

— To jeden z tych—rzekł pan Piotr—co się do Ameryki wybierają...

— O?...—odezwała się ze zdziwieniem—bednarz?..

Było, w rzeczy samej, dziwić się czego. Chałupa wyglądała dobrze, zabudowania gospodarskie znajdowały się w komplecie, na płocie suszyła się bielizna w ilości znacznej, po podwórku przechadzały się kury, z karmnika odzywał się wieprz, pod szopą w głębi widać było człowieka, zajętego wyginaniem obręczy.

Gospodarz, gości ujrzawszy, robotę zawiesił i kroków kilka ku nim postąpił.

— Niech będzie pochwalony... — zaczął go pan Piotr.

— Na wieki wieków...—odpowiedział.

— Zaszliśmy do was w odwiedziny...

— Dziękuję i do chałupy proszę...

— Ale bo my zamiaru nie mamy przeszkadzać wam... Róbcie swoje, około was usiádziem i za chwilę was pożegnamy...

Bednarz ceremonie robił, lecz pan Piotr na swoim postawił, pannie Tekli miejsce na koziołku bednarskim wskazał, sam na pieńku usiadł i, gdy gospodarz do czynności przerwanej powrócił, tak do niego przemówił:

— Przychodzimy po to, ażeby z wami o zamierzonej przez was wędrówce za morze pomówić...

— Ano... Cóżby tam o tem do mówienia było?..

— Co was do tego zmusza?..

Chłop się palcami w łeb podrapał i z ukosa na hrabiankę spojrział.

— Mówcie otwarcie... Może się nam uda wyperswadować wam...

— Hm?..—mruknął. Człek się ogląda za tem, ażeby mu lepiej było...

— Czy to wam we Śródborzu źle?..

— Źle?.. ot... W Ameryce lepiej...

Tu wymienił nazwisk kilka włościan, którzy za oceanem do majątków doszli i po zabranie rodzin do kraju przyjeżdżali. Jeden miał dolarów tysięcy trzy, drugi pięć, trzeci ośm.

— To tak was dolary łakomią!.. — odezwał się pan Piotr.

— Łakomią?.. — mruknął wieśniak pod nosem, tonem takim, jakby wyraz ten przykreść mu sprawił.

— Nie mając dolarów tysięcy tyle, gdy się ma chleb na chleb, na naukę dzieci i na zostawienie im czegoś po sobie, toć milej w kraju własnym...

— Zapewne...—odrzekł— byłoby milej, gdyby ten kraj własny był doprawdy własnym...

— No?..

— A cóż!.. Na chleb mam, Bogu Najwyższemu dzięki, mam i na naukę dzieci, ale nauka ta nastaje na to, ażeby dzieci moje nie mojemi się stały, więc i chleb w gorycz mi się obraca... a przytem: czy to o ziemię dba tu kto?.. czy ziemi nie zabierają Niemcy?..

Chłop się rozgałał i tak dalej prawił:

— Jak zapamiętam, precz tu do okola ciarachy byli nasi i Niemcy weszli tylko zdaleka wedle urzędu i sądu, więc, mimo że i z naszymi nieraz do ładu trafić trudno było, zawsze jednak trafiło się... Człek się pokłócił i pogodził... Teraz zaś, z niemową mowy niema: ty do niego po ludzku, on do ciebie po niemiecku... Cóż?.. oto dziecko moje, ażeby się ostać mogło, zniemczyć się chyba i pamięci rodzicielskiej wyrzec musi... Kiedy człowiek to widzi i tego się spodziewa, to mu wszystko, panie, obrzyda...

— A tam-że, myślicie, będzie inaczej?..

— Tam?.. Ludzie, co ztamtąd przybyli, powiadają, że tam człowiekowi grozi jedno tylko: śmierć z głodu, a od niej jest ratunek gotowy i niezawodny w pracy... Zresztą nie dokucza nikt i nic; bylebyś nie był zbójem albo złodziejem, bądź ty sobie Niemcem, Polakiem, Lutrem, katolikiem, nie pyta o to nikt... Nikt nie napastuje; żadnej obrony nie potrzeba... Ot co jest... Tak ludzie powiadają...

I znów po imieniu świadków wymienił. A byli to świadkowie wiarogodni, albowiem przywieźli dolary.

— Zdaje mi się jednak — zaczął pan Piotr — że się namyślicie, zanim postanowienie weźmiecie...

— Myślę ja i tak i inak, a zawsze mi wypada jednako... Co bym miał się dostać pod barona z Klatek, to wolę być sobie sam panem... Z baronem tym ludziom ciężko... oh!..—stęknął.

Rozmowa zakończyła się niebawem. Pan Piotr pamiętał o tem, że przeciągać jej nie można. Pożegnał więc bednarza i, kiedy obok panny Tekli szedł z powrotem, zaczął ją zapytaniem:

— Cóż pani mówi o tem?..

— Ah!..—ramionami wzruszyła.

— Przykład... przykład wiele tu znaczy... Wraz z przechodzeniem majątków wielkich polskich w ręce niemieckie, rozpoczęła się emigracya chłopska do Ameryki... Przyczyna wywołała następstwo...

— Gdyby przyczynę usunąć, czyby następstwo przez to upadło?..

— Niezawodnie... Mocno o tem przekonany jestem...

Po odpowiedzi tej nastąpiło milczenie. Pauna Tekla część drogi uszła w zadumaniu, wreszcie zwróciła się do towarzysza z zapytaniem:

— Czy ja bym się do usunięcia przyczyny przydać mogła?..

Zapytanie to zaambarasowało nieco młodego człowieka.

— Hm?..—pomyślał. To zależy...

— Od czego?..

— Trochę od warunków, w większej atoli części od dobrej woli i wytrwałości...

— Na woli mi nie brak; na wytrwałość, zdaje mi się, zdobyć bym się potrafiła...

— A na odwagę?..—zapytał.

— O! i na odwagę...—odrzekła, a policzki jej lekko splonęły. Czyż nie jestem wnuczką, prawnuczką rycerzy, którym na zalecie tej nie zbywało?.. O! odwagę bym w sobie znalazła...

Zdawała się być obrażoną. Zamilkła. Droga prowadziła mimo parku; lecz i przez park przejście krótsze nawet było. Panna Tekla zwróciła się ku temu ostatniemu, weszła w jaworami wysadzoną aleję, i uszedłszy takową kroków kilkadziesiąt, odezwała się niespodzianie:

— Czybyś się zdobył pan?..

— Na co?..—zapytał młody człowiek.

— Na odwagę?..

— W jakim względzie?..

— Do zespolenia się ze mną w... usuwaniu przyczyn?..

Stała. Przybrała postawę, która ją podobną czyniła do jednego ze stworzonych przez greków starożytnych ideałów piękna nadziemskiego, ubranego w postać mieszkanki Olimpu. Były od niej powaga i determinacja, które się malowały w jej oczach surowo patrzących i na jej czole ściągnięciem jakby w gniewie. Zwróciła się do młodego człowieka i na odpowiedź czekała.

Pan Piotr cofnął się o krok w tył, okiem ją od góry do dołu zmierzył, pięści zacisnął, głowę schylił i, podnosząc ją po chwili, głosem przytłumionym, jakby sam sobie gwałt zadawał, zawołał:

— Pani! nie wyzywaj mnie do powiedzenia ci...

— Czego?..—zapytała spokojnie, jak sędzia delikwentna pyta.

— Że... kocham ciebie...

Panna Tekla rękę wyciągnęła. Pan Piotr pochwycił ją, do ust przycisnął i na kolano jedno przykląkł.

— Stało się...—rzekł wstając i zawołał:—Co ja temu winien!..

— Jam winna...—odparła. Ale to nic., Wi-
dzisz, żem odważna?..

Oblicze jej jaśniało uciechą wewnętrzną, wielką ale spokojną.

— Co to się stało?..—zapytał młody człowiek sam siebie.

— Stała się rzecz zwyczajna... Dwoje ludzi młodych spotkało się i pokochało... Niech to pana nie dziwi, panie Piotrze Ostróżko...

XX.

Nie stało się, w rzeczy samej, nic nadzwyczajnego. Dwoje ludzi młodych pokochało się. Przytrafia się to tak często, że mówić by o czym nie było, gdyby nie okoliczności szczególne, wśród których się miłość ta zawiązała. A była ona ze strony pana Piotra trochę studencka—studencka w tym względzie, że przeminąć miała bez następstw. Takie pan Piotr wziął był przed się postanowienie. Postać hrabianki wpadła mu w oko od dawna, jak studentom wpadają w oko córki profesorów; podobała się mu, zajął się nią, stała się dla niego przedmiotem rojeń rozkosznych, którym się oddawał, gdy miał czas po temu. I miało to tak pozostać na zawsze. Najwyżej, czego pragnął, była to pamiątka jakaś, którą chciał schować, ażeby służyła jako przedstawicielka rzeczowa wspomnienia nawskróś idealnego, które samo przez się było rodzajem wyjątku od ogólnej w przekonaniach reguły. Pozwolił sobie na wyjątek ów i chciał takowy zachować dla siebie samego, jak skąpy lichwiarz chowa brylant nie zastawiony u niego, ale znaleziony na drodze i tem też droższy. Nie pragnął, nie pożył sobie niczego innego i niczego więcej. Ani marzył, ażeby z nią mówić miał kiedy. Przedstawiła się mu ona dwojako: raz jako istota eteryczna, nieujęta i niedostępna, wcielenie tej poetyczności, której zaczyn spoczywa w duszy realisty najzawziętszego i najbardziej przekonanego, powtóre, jako osobistość nieujęta i niedostępna z powodu przedziału pomiędzy nią a nim, wyrzutego przez uprzedzenia społeczno-towarzyskie, na przekroczenie którego nie dozwalała miłość jego własna. Zbliżać się do niej—nie chciał. Pozostawiał ją dla siebie w sferach powietrznych—w oddaleniu, naksztalt gwiazdy na lazurze, wybranej wśród gwiazd milionów na to, ażeby się nią zachwycać, przyrównywując do niej gwiazdy wszystkie inne. W sposób ten wyznaczył rolę, jaką w życiu jego odegrywać miała ona, o której powiedzieć chciał: „Ja... przebiegłszy świat, ko-

chałem jedną” i chodzić z nią, „jak dwie mary dziwne, jedna z marmuru a druga z kamienia.”

Chcienie to złamało się.

Wprawilo go to w gniew srogi przeciwko samemu sobie. Czuł się upokorzonym przez „jedno dziewczę”—i tak silnie słabą ręką ujętym, że wola jego, którą miał za potęgę, stopniała, jak śnieg na słońcu.

Nastąpiło wyznanie miłości nagle i niespodzianie. On o tem nie myślał; ona się tego nie spodziewała. Przyszło to samo przez się. Stało się.

W razach takich o żadnych postanowieniach, projektach i planach mowy być nie może. Upojenie przeszkadza rozmyślanii; rozważa w dalekie wynosi się strony. Pozostaje upojenie.

Szczęściem dla młodej pary, rzecz stała się w jasny dzień, przy świetle słonecznem, w warunkach nie podniecających romantyczności, odbyła się więc bez żadnych dodatków, w razach podobnych zwyczajnych. Wyznali sobie miłość w alei; zatrzymali się na tak długo, ile było potrzeba na zamienienie wyrazów kilku; następnie mówiąc szli dalej; że zaś aleja do pałacu prowadziła, więc do schodów na balkon prowadzących zaszli i byliby zapewne po parku dłużej krążyli, gdyby nie pan Maurycy. Gdy hrabianka brata ujrzała, doznała czegoś nakształt zatrwożenia. Wrażenie to przeszło wnet.

— Do widzenia...—rzekła do pana Piotra.

— Do widzenia...—odpowiedział tenże.

Rozstali się, bez oznaczenia pory i miejsca spotkania późniejszego. Na myśl im to nie przyszło. Pan Piotr zwrócił się na drogę, co pałac obchodziła, panna Tekla weszła powoli na schody.

— To dozorca robót był z tobą?..—zapytał jej pan Maurycy.

— Pan Ostróżko...—odpowiedziała.

— Szukałem ciebie...

— A?.. — odezwała się tonem, w którym brzmiało zapytanie: „W jakim celu?”

— Mama przyjeżdża...

— Prawda!..—wydała okrzyk.

— Czyś o tem zapomniała?..

Wyrazy te zmieszały pannę Teklę.

— Zdaje się, jakbyś była w roztargnieniu...

— Tak... w rzeczy samej...—zaczęła.

— Myślałem, że zajmujesz się przygotowaniem dla mamy przyjęcia...

— Miałam zamiar ten, ale...

— Zapewnieś robotników u dozorecy zamówiła...

— Nie...

— A więc wystąpi jeno służba: Bartek, Maciej, Józef, z którymi mówiłem... Za mało ich... trzech tylko... I cóż?.. czyż pan Ostróżko odmówił?..

— Nie prosiłam go wcale...

— Nie prosiłaś?..—rzekł ze zdumieniem. Cóż z nim do mówienia miała?..

— Mówiliśmy... o ruinie gniazd...

— Bocianach?.. — podchwycił pan Maurycy z przekąsem żartobliwym. Zdaje się, Luciu, że twoi na suchem drzewie wychowawcy zajęchały ci furę siana do głowy...

— Tak się tobie zdaje...—odparła spokojnie.

Pan Maurycy, który pragnął matkę ująć dla siebie, nie kontent był z obrotu, jaki wzięła sprawa przyjęcia hrabiny. Ponieważ jednak zaradzić temu sposobu nie było, dał więc rekryminacyom niepotrzebnym pokój.

Zaradzić temu sposobu nie było, dla braku czasu. Zaledwie panna Tekla wyrazi powyżej przytoczone wygłosiła, aliści na drodze ukazał się pojazd, wiozący grafa, hrabinę i pakunki. Trzeba było spieszyć na ganek, na którym, oprócz hrabiego młodego i hrabianki, zebrało się głów siedem. Nie było to zbyt suto—cóż jednak!.. Pojazd przed ganek zajechał — hrabina wysiadła.

Hrabina przedstawiała się pod postacią kobiety, nadającej się na model do posągu symbolicznego. Niemłoda—piękniejszą być nie mogła w dniach młodości: słuszną, kształtnie i silnie zbudowaną, rysów oblicza regularnych, oczów pogodnych, wejrzenia, w którym się wyższa jakowaś mądrość przebijała, postawy pełnej powagi, odpowiadała wszystkim warunkom artystycznym. Bilo od niej coś starożytnego. Patrząc na nią myślało się o Fidyaszu i o tem, że pierś jej na jego szła miarę. Przed nią się czoła mimowolnie chyliły.

Wysiadła—panna Tekla do matki się pogarnęła.

— Jak się masz, Luciu...—odezwała się hrabina tonem bardzo uprzejmym, w którym atoli serdeczność czuć się przez przypuszczenie jeno dawała.

W tenże sam sposób powitała syna, zlekka głową służbie kiwnęła i przez męża poprzedzana, do salonu weszła. Ruchy jej i giesty nie świad-

czyły, ażeby ją obchodzić zbytecznie miały ten pałac, te pokoje i ta różnica, jaka pomiędzy budowlą a umeblowaniem wewnętrznem zachodziła.

— A co?..—pytał graf.

— Podróż mnie znużyła...

— Odpoczywaj-że... odpocznij, a wówczas powiesz, jakie to wszystko—oczami na ściany wskazał—na tobie wrażenie sprawia...

Hrabina oczy przymrużyła i z uśmiechem na ustach, głową zlekka pokiwała. Usiadła i po chwili mileżenia odczuwała się:

— Masiu, Lusi... jakże mi miło, że was oglądam!..

Głos, którym wyrazi te wymówiła, nie był drewniany, a przecie dźwięczał niby w próżni.

— Mamo kochana... — odpowiedziała panna Tekla.

— Nie widzieliśmy się tak dawno... rok z górą...

— Wyjechałaś, jak się fundamenty pod pałac kopać poczynąły...—dorzucił graf.

— Zmęźniałaś, winszując ci...—rzekła hrabina do córki. Wywarłabyś wrażenie... w świecie... A i ty—zwróciła się do syna—zyskałaś wiele...

Słowa te były niejako tematem, który, poruszony przy spotkaniu pierwszym, rozwijał się następnie i uwyrażniał. Hrabina w dniu przyjazdu mówiła mało, poszła do łóżka wcześniej i nazajutrz wstała późno. Około dziesiątej graf ją po pałacu oprowadzał. Okazywała zadowolenie.

— Dobrze...—powtarzała. To mi się podoba...

— Nie powiesz przynajmniej, że mi gustu brak—chwalił się graf.

Do rodziców przyłączyli się młody hrabia i panna Tekla.

W jednym z pustych salonów pan Maurycy odczuwał się:

— Wszystko tu jest, z wyjątkiem... mebli...

— Które będą...—odparł graf.

— Kiedy?..

— Jak francuzi prusaków potłuką...

— Ach, papo...—westchnął młody człowiek.

— Czy wątpisz jeszcze?..—zapytał graf z przekąsem i, do żony się zwracając, rzekł:—Powiedz Tomaszowi temu, coś słyszała i widziała...

— Wojna niezawodna..

— Ależ—pochwycił młody człowiek — temu ja nie przeczę... Wojna pewną się być zdaje... Ale: jaki obrót weźmie?.. to raz, a powtóre: w najpomyślniejszym dla francuzów razie, jaka z niej dla nas korzyść wyniknie?..

— Dla nas?.. dla kogo mianowicie, czy w ogóle?..—zapytał graf.

— Nie w ogóle, papo kochany... Mam na myśli nas, Grackich...

— Hm?..—uśmiechnął się graf w wąsy i tak wykladać począł: — Mogę wam już plan mój w całości wykazać... Oto tak... Dzwoniłem ja na to nabożeństwo od chwili, jak Napoleonik władzę w ręce swoje dostał, wiedząc z góry, że prezydentura na cesarstwie się skończy i że cesarstwo o odwecie za Waterloo pomyśli... Ho, ho!.. żadne *l'empire c'est la paix* i inne w tym guście żarty w pole mnie nie wywiodły... Byłem swego pewny: matka pilnowała sprawy za granicą, a ja tu, na gruncie, szykowałem się do spotkania jak należy wypadku niechybnego.. Przewidywania mnie nie zawiodły... Wojna!.. Wojska francuskie pomaszerują do Berlina wprost i do nas dojdą, a wówczas... co?.. hę?.. Jak myślicie: kogo Napoleon zamianuje *gouverneur général* Wielkiego Księstwa Poznańskiego?.. Co?.. kogo?.. Jak myślicie?.. Jam na nabożeństwo to od dawna dzwonił... i postawiłem pałac w tym celu, ażeby na wielkorządztwo przejść nie z pod strzechy słomianej, ale z domu pokaźnego... Oto tak... Nazywano mnie narwańcem: narwaniec milezał, swoje robił i zrobił; pałac postawił i wojnę wydzwonił... W pałacu tym—wyrazi te z przyciskiem wymówił — dam dla cesarza francuzów bal... O!..

Wyrzów tych hrabina wysłuchiwała z uśmiechem, hrabianka z zajęciem żywym; na panu Maurycem zrobiły one wrażenie przygnębiające prawie. Podniósł oczy na matkę, ażeby w oczach matki otuchę dla siebie wyczytać i nie wyczytał takowej. Zdawało się, że hrabina uznaje wykład męża, wykład, w obec którego nie było co występować z widokami jakie się przywiązywały do pojęcia za towarzyszką dozgonną eks-handlarki pierników. Miliony Chany na wartości traciły. Wielkorządztwo spodziewane usuwało je w cień, pozbawiało ich doniosłości i znaczenia. Jedynym w tym razie ratunkiem było podanie nadziei tej w wątpliwość. Pan Maurycy przeto odczuwał się:

— Papo kochany: czy to pewne?..

— Kiedym ludziom w uszy kładł, że do wojny pomiędzy Prusami a Francją przyjdzie, powiadali: czy to pewne?..

— Tak... zapewne... ale...

— Nie ma ale... — przerwał graf. Jak się sprawdziło jedno, tak sprawdzić się musi drugie...

— A... czy nie może to papy ktoś, jakiś Działyński, jakiś Mielżyński ubiedz?..

— Zagwarantowałem się przeciwko ewentualności podobnej.. Matka... o...

Na hrabinę wskazał.

— Czy to — ciągnął dalej — ona za granicą przesiadywała dla prostej, własnej przyjemności?.. dla teatrów, koncertów, figurowania po salonach, gapienia się po ulicach Paryża?.. Czym to ja napróżno, bez celu, z ostatków się ciągnął?.. Zabezpieczyłem się, nie dla siebie, Bóg widzi... nie dla siebie, ale *pro bono publico* przedewszystkiem... Rozważyłem, rozmyśliłem, wszystkom ułożył, wszystko przewidziałem... Matka z Napoleonem się rozmówiła... krótko, ale wyraźnie, tak wyraźnie, że jak skoro wojska francuskie do Berlina wkroczą, natychmiast cesarz zapyta: „A gdzie hrabia Gracki?..”

Hrabina słowom powyższym potakiwała gestem i uśmiechem. Niedowierzający pan Maurycy uwierzył przez pół, to jest przypuścił, że to na co ojciec liczy, stać się może, albowiem niepodobieństwo nie nastroczało się żadne. Byłoż to niepodobieństwem, że francuzi prusaków pobijają? W momencie owym nikt nie przypuszczał, ażeby inaczej być miało, zwłaszcza że wiele nadziei różnorodnych wiązało się do tej wojny „cesarzowej Eugenii.” Dla Stolicy Apostolskiej była to walka katolicyzmu z protestantyzmem, dla Austrii odwet za Sadowę, dla Rzeszy niemieckiej okiełznanie Prus, dla świata słowiańskiego ukrócenie *Drang'ów* germańskich, dla grafa Grackiego wybrnięcie z toni. Nadzieje—nie dziw—przedstawiały się różowo i liczyły na powodzenie oręża francuskiego. Pan Maurycy przyjmował punkt ten wychodni, jako więcej aniżeli prawdopodobny i miał do przeciwstawienia onemu tylko jedno: arcybiskupa gnieźnieńskiego, który zawzięcie germanizował seminaria. Arcybiskup zdawało się, nie podzielał nadziei ogólnej. Młody hrabia wspominał o tem:

— Ach!..—rzucił się z indygnacją graf, który dla duchowieństwa w ogóle niechęć żywił. *Quem Jupiter perdere vult, dementat...* Jego emnencya wyniesie się w bagażach pruskich, jeżeli go przyjaciele nie zostawią losowi własnemu...

I ta objekeya nie utrzymała się. Pan Maurycy gotówby był od widoków na miliony, wbrew przysłowiu, że „lepszy wróbel w garści, niż ka-

narek na dachu,” odstąpić, gdyby nie stojące mu żywo w pamięci i wdrożone w przekonanie perswazy księdza Jana, które go podtrzymywały. A przytem zżył się już z myślą mezalianсу; oswoił się z ideą bogactwa, które mu się oddawało samo niezwłocznie, pod postacią skarbu z czarowanego; pragnął, ażeby czar pękł jak najrychlej, a idea owa rzeczywistością się stała. Zmilkzał więc. W milczeniu towarzyszył dalej ojcu, matce i siostrze; razem do parku zeszli, po parku pochodzili i w obec drzewa z bocianami się zatrzymali.

— A... o...—odezwał się graf — dzieło Lusi, która gniazdo bocianie uratowała...

— Nie ja...—odparła panna Tekla.

— No... ty... Gdyby bowiem nie ty...

— Nie...—bronila się.

— Przy pomocy...—zaczął graf.

— Pan Ostróżko zrobił wszystko... — prze-
rwała.

— Cóż to za jeden?..—zapytała hrabina od niechcenia.

— Dozorca przy robotach...—rzucił graf tonem lekceważenia.

Panna Tekla nie odpowiedziała na to.

Zwiedzanie nie objęło stajni. Graf nie uważał za rzecz potrzebną prowadzić tam hrabiny. Zdaleka jeszcze wskazał jej wznoszące się mury i tłumaczył:

— Będzie to skończone za dni kilka... Robotnicy się spieszą z powodu, że powołani do woj-ska, chcą biedacy zarobić sobie jeszcze...

Panna Tekla okiem po dachu powiodła i zoczyła pana Piotra, który, na krokwi jak na koniu siedząc, poka'ywał, jak się mają dachówki przybijać. Zoczył go i pan Maurycy.

— O... — odezwał się do matki, palec w kierunku dachu wyciągając—ów pan Ostróżko, geolog, botanik, zoolog, doktor filozofii, jak się zdaje... wbija ćwieczki... Na to być warto doktorem filozofii...

— Uhm...—mruknęła hrabina.

Ktoś z sąsiedztwa w goście przyjechał. Towarzystwo przeniosło się do pokoju bawialnego. Zawiązała się rozmowa o wypadkach politycznych, które w czasie owym były przedmiotem zamięcia tak ogólnego, iż dwóch ludzi nie schodziło się w celu innym, jak dla udzielania sobie wzajemnie wiadomości z Paryża i uwag, jakie takowe nasuwały. Przybycie z Paryża hrabiny potęgowało interes towarzystwa jej. Rozpra-

wiano i do niej się odwoływano, chcąc się upewnić w tem, co powszechnie uważanem było za rzecz pewną. Opinia publiczna przypisywała Napoleonowi III genialność, którą on nie grzeszył ani trochę i przewidywała następstwa, genialności owej mniemanej odpowiednie. On biedak i sam w to mocno wierzył. Treść przeto ogólna rozmów o wypadkach nastąpić mających, obracała się około tego: z jakim francuzi prusaków sosem zjedzą.

Powtarzało się to bez końca i miary.

Goście do Śródborza przyjeżdżali częściej, niż zwykle, i odjeżdżając, unosili to przekonanie, że graf w rzeczy politycznej był jasnowidzem. Jak przepowiadał, tak wszystko się stało.

U nas jest słabość do wierzenia w przepowiednie—dowodem: Wernyhora, Krasiński, Mickiewicz i wielu innych „wieszczów.” Kabalki i prognostyki odegrywują niemaloważną w życiu naszym rolę.

Z racji tej graf prędko urósł w opinii sąsiedztwa na męża stanu, i Śródborze stało się punktem ogniskowym, w którym czerpano poglądy i hasła we względzie tego, co robić.

— Co robić?..

— A nie: czekać...

Graf tego nie wypowiadał, ale do zrozumienia dawał, że co do zrobienia było, to on zrobił już sam, bez pomocy ni porady niczyjej.

— Czekać...—powtarzał i zalecał.

Zalecanie to dogadzało wszystkim, z wyjątkiem pana Maurycego, który wiedzieć pragnął, czego się ma koniec końcem we względzie rodziców, co się Chanyyczy, trzymać. Czekanie było mu nie na rękę, raz dla tego, że wiedział o nacisku szalonym, wywieranym na bogaczkę przez jej współwyznawców, powtóre dla tego, że nie wiedział, azali to jej pogarnięcie się do niego nie było kaprysem, który przeminie. To ostatnie szczególnie go niepokoiło i pod wpływem niepokoju tego, małżeństwo z Chaną nabierało w oczach jego uroku osobliwego. Dodać atoli potrzeba, że urok ów siedł nie od osoby, ale od przynależności jej. Osoba znikła w oddaleniu, a miejsce onej zajmowały kolumny talarów—tysiąc kolumn po tysiąc sztuk każda—jaśniejące w imaginacyi młodego człowieka ponętami niezrównanemi. Ponęty podobne pokazywał Mefistofeles Faustowi. Dla pana Maurycego były one tak potężne, że zaćmiewały widoki, jakie mu w perspektywie niedalekiej wskazywał ojciec.

Po zastanowieniu się, widoki owe przedstawiały się mu pod postacią gruszek na wierzbie. Postanowił więc kwestyą tę rozjaśnić sobie—i w tym celu, korzystając z pierwszej lepszej okazji, zaczął matkę.

— Mamo—przemówił—czy mama wierzy do prawdy w to, co papa mówi?..

— A... tak... wierzę...—odrzekła z wahaniem niejakiem.

— Czy nie jest to przypuszczenie?..

— Zapewne... jest to w części przypuszczenie...

— Więc się na tem zawieść można...

— Zapewne... można...

— Owóż o to mi chodzi, mam bowiem do przedstawienia mamie coś mniej zawodnego...

— Pisałeś do mnie...—wtrąciła.

— Właśnie też... Liczę na interwencję łaskawą mamy kochanej w sprawie bardzo delikatnej... Chodzi tu o mezalians...

— A?...—uśmiechnęła się—jaki?..

— Jak się mama na mezalianse zapatruje?...—zapytał.

— To zależy... od warunków...

— Romansowych czy praktycznych...

— Hm?...—uśmiechnęła się. Raczej drugich, aniżeli pierwszych...

— Owoż te drugie przedstawiają się jak najświetniej...

— Parę kroć sto tysięcy talarów...

— Milion...

— A!...—odezwała się z giestem. To co innego... Czy jednak milion ów jest rzeczą nie urojoną?..

— Jest rzeczywistością najrzeczywistszą...

— Więc, gdy o mezalians milionowy chodzi, tyczy się on żydówki chyba...

— Zgadła mama kochana...

Hrabina ramionami ścisnęła, na syna spojrzała i zrobiła giest oznaczający pół aprobatę.

— Nie śmiem o tem papie oznajmić i chcę prosić mamy o pośrednictwo w tym względzie...

— Wszak rozporządzasz sobą...—zauważyła hrabina.

— Tak...—odparł. Pragnąłbym tylko uniknąć gadania, któreby mi położenie towarzyskie utrudniły... Nie odmówi mi mama pośrednictwa swego?..

— Nie wiem, o ile ci się ono przyda...

— Przyda się, czy nie: to kwestya inna... Proszę tylko stanąć po stronie mojej...

— Dobrze... — odrzekła. Udziel mi jednak szczegółów jakich, dotyczących się tej materyi...

— Szczegóły wyrażają się krótko: żydówka się we mnie rozmiłowała...

— Wygląda to romantycznie... Cóż to za jedna?..

— Żydówka... żydowica...

— *Présentable* przynajmniej?..

— *Du tout*, mamó kochana... — odrzekł i dodał: — przemawia za nią to tylko, że ród jej wyprowadza się tak samo, jak ród Rotszyldów, Pereirów, Bleichrederów i innych, od patryarchów i królów... Arystokracja żydowska jest arystokracją najwyższą, zwłaszcza gdy ją talary podszycują... Mama kochana — zakonkludował — praktyczniejszą jest, aniżeli papa...

Hrabina się uśmiechnęła.

— W rzeczy samej — rzekła — praktyczną jestem. . Spodziewam się, że i ty praktycznie się urządzisz...

— Mamó!.. — zawołał — urządzę się tak, że przedewszystkiem każę sobie posag położyć na stole...

XXI.

Co do praktyczności, panna Tekla ustępowała bratu. Podczas kiedy on o posagu myślał, ona usiłowała rozwiązać zadanie, które jej miłość do rozwiązania dała. Nie było to zadanie lada jakie, albowiem i miłość jej lada jaką nie była. Łączyły się w niej dwa pierwiastki: powszedni, ten co urabia sympatyę pomiędzy młodzieżą plei odmiennej i wyższy jakiś, subtelniejszy, znaczący skojarzenie rozumu i uczucia za pomocą zrównoważenia tych dwóch władz i kierowania onych ku rozwiązywaniu problemów życiowych. Te ostatnie nasuwały się jej do głowy, jakby rodzaj warunku, poręczającego jej przyszłość. Sprawiał to pan Piotr, który się hrabiance przedstawiał pod postacią wcielenia rozumu. Garnęła się do niego sercem całem; chroniła się myślą pod skrzydła, pod którymi przeczuwała pełnię bytu. Więc zadanie miała niełatwe, a tem trudniejsze, że rozwiązanie onego komplikowało się tem, że zależało nie od niej samej. Ba! — gdyby od niej zależało... Chodziło o wytknięcie celu i o wytyczenie drogi do takowego. Mogłaż zrobić to sama? W czynności tej przedewszystkiem udział należał się panu Piotrowi, następnie rodzicom. Przedewszystkiem jednak jemu.

Była sposobność porozumienia się z nim pod tym względem i sposobność ta, niestety, przemięła bez porozumienia — czy bezpowrotnie? Zapytania tego hrabianka nie zadawała sobie, a jednakże stanowiło ono oś, około której krążyło rozmyślanie jej, układające się w rodzaj obrony adwokackiej w obec zarzutów możliwych, które przewidywała ze strony nie tylko rodziny własnej, ale wszystkich. Któżby się na to nie oburzył! Przytem i okoliczności jej nie sprzyjały. Widoki, jakie się dla grafa otwierały, a które ona na seryo brała i życzeniem popierała, stawały w poprzek uczuciu, które ją opamnowało. Ani o niem przeto wspominać mogła, nie dla tego, ażeby się obawiać miała czegoś podobnego, jak zakaz, ale dla tego, że się lękała usłyszenia niekorzystnych lub ubliżających o panu Piotrze sądów. Obawa ta jej była naturalną. Obawy tego rodzaju doznają matki, gdy o synach ich mowa. Broniłaby w razie takim, ale nie dowierzała sobie, ażeby bronić jak należy zdolna. Woląa więc czekać, aż się zdarzy okazyja, która zadanie ku rozwiązaniu poprowadzi.

Okazyja nie była na zawołanie — sama zaś nie nastroczała się; przeciwnie: okoliczności, zdawało się, jakby się sprzysięgły na to, ażeby zadania do rozwiązania nie dopuszczać.

Wśród okoliczności tych wystąpiła przedewszystkiem sprawa matrymonialna pana Maurycego.

Pan Maurycy listy otrzymywał i na takowe odpisywał. Domyślać się można, że korespondencya ta tyczyła się sprawy onej, która w Śródborzu, przez to samo, że mówił o niej z siostrą i matką, uważaną być mogła, jako przez pół na stół wytoczona. Panna Tekla o niej coś niecoś wiedziała; hrabina wiedziała więcej; pozostawało tylko hrabiego zawiadomić i targu dobić.

Nie była to rzecz łatwa. Młody hrabia rozumiał to i dla tego ociągał się; otrzymawszy jednak list ostatni, doznał tego, czego doznaje koń, dotknięty mocno ostrogą jeźdźca. Przeczytał, namarszczył się, przez nos razy kilka z przyciskiem czmychnął i do matki się udał.

— Mamó droga, nie zwlekajmy...

— Tak ci pilno?... — zapytała hrabina.

— Mam współzawodników niebezpiecznych... W razie ostatecznym pojedę i tę papie siurpryzę zrobię, że mu przywiozę synowę... A tak bym chciał, żeby się to za jego wiedzą i (wyraz następny z akcentem wymówił) zezwoleniem od-

był!.. Mamo, do ataku idę, podtrzymywać mnie proszę...

Od matki udał się do siostry.

— Lusi, nadchodzi dla mnie moment wyroczny... Chodzi mi o wyjednanie zezwolenia papy na... mezalians..

— Mezalians?..—wyrzekła hrabianka ze zdziwieniem. Nicsię mi nie mówił o tem...

— Czy cię to razi?..

— Nie... bynajmniej...—odpowiedziała powoli, myśląc o mezaliansie, który się jej tyczył.

— Mezalians straszliwy, okrutny...

— A... no...—bąkać poczęła.

— Przysięgłeś po mojej stać stronie...

— I przyrzeczenia dotrzymam...

— W imię Ojca i Syna...—przeżegnał się bez skruchy. Chodźmy tedy...

Ramię siostrze podał i poszli oboje przez szeregi pustych pokojów na dół do grafa, u którego ich hrabina wyprzedziła.

Graf dwa dzienniki razem czytał, sprawdzając wiadomości i wykladał właśnie hrabinie kruczki, za pomocą których Napoleon prusaków w pole wywabia. Tłumaczył jej, jak to „sztuką durniów tłuką.”

— Nie wykręcą się już, nie wykręcą, ani sianiem nawet...—mówił. Bismark by sobie ucho urznąć dał, ażeby wojny uniknąć, ale... niedoczekanie jego... Ten Napoleon Mały większym się okazuje, aniżeli Wielki... W cichości przygotował się i naostrzył: ani jednego guzika u kamazów im nie brak.. o! czytałaś?.. Ani jednego guzika!.. Gidulciu!.. Otóż prusietom lanie sprawa!.. Cha, cha, cha!..—śmiał się. Powinszować sobie możemy, że w sprawie tej nasz palec jest...

W chwili tej weszli pan Maurycy i panna Tekla. Graf powtórzył im słowami innemi wiadomość o gotowości francuzów, opierając nacisk na guziku.

— Ani jednego guzika!.. A mitraliezy?.. *L'empire c'est la paix*... Nie ma co mówić, to majster ten Napoleonik... powyciągał im muchy z nosa.. No..

— A tymczasem, papo kochany...—zaczął pan Maurycy.

— Co?..

— Wartoby może zająć się bliżej nas dotyczącymi sprawami...

— Bliżej dotyczącymi?..—zawołał graf tonem indygnacyi.

— Odnoszącemi się do nas bardziej bezpośrednio...—poprawił się pan Maurycy.

— Ciekawym, co do nas bardziej bezpośrednio odnosić się może, jak czekające prusaków kropienie...

— Toć kropienie to spadnie na prusaków...

— A no...

— Nie na nas...

— Jużci nie... Obchodzi nas jednak...

— Przypuszcza papa atoli sprawy osobiste, obchodzące nas i blisko i bezpośrednio i w dodatku, w sposób naglący...

— Sprawy osobiste... hm?.. tak...—odpowiedział graf. I jakież to naprzykład?..

— Chociażby takie bagatelne, jak ożenie papinego syna...

— Wszak wzmiankowałeś, żeś z Misią zerwał dla jakiejś tam gotówki..

— Wzmiankowałem i obecnie wzmiankę ową stawiam pod postacią postulatu, dla którego potrzebnym jest konsens ze strony kochanego papy...

— Cóż ci tam po konsensie moim!.. Pełnoletni jesteś: chcesz się żenić, to się żeń...

— Ba!..—odrzekł pan Maurycy. Zachodzi tu pewna okoliczność drażliwa, której złagodzenie od papy zależy...

— Naprzykład?..—zapytał graf.

— Mezalians...

Graf na syna badawczem spojrzał okiem, wzrok na nim na chwilę zatrzymał, chwilkę milczał i tak zaczął:

— Myślałbym, iż w obec ważnych, jakie się przygotowują, wypadków, w obec tego co mnie czeka, możnaby tego rodzaju sprawy odłożyć na później... Nie stracisz na tem ty, nie straci wybrana twoja, zwłaszcza, że, jakieś wspomniał, jest to coś pieniężnego, i jak się domyślam, pieniężność tylko nęci ciebie... Pieniężność, mój Masin, schodzi dla nas obecnie na plan drugi... Niebawem będziesz miał pieniężne panny do wyboru, bez narażania się na mezalians... Moja więc rada: poczekaj... poczekaj...

— Papo! książęca fortuna...

— Powiadam ci, że fortuny będziesz miał do wyboru...

— Kto wie...

— Ja ci mówię.. Nie wierzysz mi?..

— Wierzę, papo...—odrzekł pan Maurycy tonem zakłopotania—ale...

— Jeżeli Masio pokochał...—wtrąciła panna Tekla.

— Pokochał... hm?..

Wymówił graf wyrazy te tonem takim, że się pan Maurycy uśmiechnął, a hrabina ramionami ruszyła.

— Jeżeli pokochał, to... co innego...

— Nie o to chodzi... — zaczęła hrabina — ale o to, że interesa nasze znajdują się w stanie nieświecym...

— Stan ten zmieni się...—graf na to.

— Niezawodnie, przewidywać jednak należy moment przednówka... przednówka trudnego...

— Któremu bym z ochotą zaradził... — podchwycił pan Maurycy.

Na słowa te graf rękę z akcentem protestującym podniósł i głosem pewnym odrzekł:

— Radź ty sobie.. Nie liczyłem i nie liczę na łaskę waszą.. Jeszcze... hm...—chrząknął.

— Przeciagają, dajmy na to, traktem mimo Śródborza — zaczęła hrabina — wojska francuskie, zatrzymują się i marszałek dowodzący nimi, zajeżdża do pałacu naszego: co on powie, gdy w większej połowie pokojów pustki znajdzie?.. Co my na ugoszczenie starszyny i żołnierstwa przygotowanego mamy?..

Graf odsapnął, brwi zmarszczył, wąsy rozglądził, westchnął i do syna się zwracając, zapytał:

— Więc jakże, panie Maurycy?.. ženimy się?..

— Zdaje się, że nic lepszego zrobić nie możemy...

— A z kim, jeżeli zapytać wolno?..

— Mezalians...

— Byle nie z żydówką...

— Właśnie że... — odparł pan Maurycy, ramiona podnosząc.

— Z żydówką?..—zapytał graf z przyciskiem.

— Z żydówką, papo...

Graf się zerwał i po pokoju chodzić począł. Chodził, przed oknem się od czasu do czasu zatrzymywał, znów chodził i milczał. Widać po nim było, że go to mocno zraniło. Kipiał w duszy. Powściągał się. Wybuchnął wreszcie.

— Co!..—krzyknął. Wnuczętami moimi być by miały żydzieta?.. W rodzie Grackich kropli jednej krwi żydowskiej nie ma.. Nie!.. to być nie może... Urządzaj się, jak ci się podoba: ja o tem wiedzieć nie chcę... Ja!..

We drzwi się rzucił—wyszedł.

Hrabina, pan Maurycy i panna Tekla po sobie

spojrzeli. Hrabina ramionami wzruszyła. Graf z powrotem wpadł.

— Nie!..—zawołał. Nie pozwalam!.. Błogosławieństwa mego nie udzielię!.. Przeszkadzać będę!.. Wydziedzicę, wyklnę!..

— Sztofeczku!..—odezwała się hrabina.

— Hm—hum!..—chrząknął groźnie. Do skandalu podobnego dopuścić nie mogę...

— Sztofeczku...

— To przechodzi wszystko...

— Sztofeczku...

— Powiadam ci — do pana Maurycego się zwrócił — poczekaj trochę... poczekaj: co ciebie nagli?..

— To, papo, że mi milionerkę z przed nosa zdmuchną...

— Znajdziesz inną, nie żydówkę... bogatszą...

— Bogatszej chyba nie znajdę.., Kto w czasach naszych daje córkom posagu milion czterokroć sto tysięcy talarów?.. Książęta nawet panujący nie mogą pozwalać sobie na hojność taką... To fenomen...

— Fenomen!..—podchwycił graf z gniewem, łagodniejszym atoli, aniżeli poprzednie. Fenomenem będą Gracy halbluty.. To fenomen, od którego ja ręce umygam...

— Fenomen ów, czy nastąpi, czy nie, to zależy; w każdym razie jest to rzecz niepewna...—wtrąciła hrabina tonem insynuacji. Pewnym jest tylko, pewniejszym aniżeli wszystko inne, majątek znaczny...

— Który — dodał pan Maurycy — z rąk żydowskich wyjdzie...

— I za który—graf na to — ludzie nas będą palcami wytykali...

— Niekoniecznie, papo kochany... Wskażę papie ludzi, ludzi bardzo poważnych, co nie tylko aprobuja, ale poniekąd interes ten sprowadzili...

— Naprzykład?..—zapytał graf.

— Ksiądz Zmianko...

— A!..—krzyknął. Klerykali, ultramontanie, jezuici!.. Domyślałem się w tem palca ich... Oho!.. A-hm!.. Domyślałem się tego... Ano...—westchnął. Gdzie się obrócisz, wszędzie oni: kroku bez nich zrobić nie sposób... Za gardło nas trzymają... Przyczyna wszystkiego złego, wszystkich nieszczęść, jakie na nas spadły, w nich...

— Gdyby nie oni—wsunęła hrabina—nie byłoby tej wojny, co, Sztofeczku, tak cicszy ciebie.

Graf zamilkł, usta zacisnął i w żonę się wpa-
trzył. Hrabina mówiła, cedząc wyrazy:

— Oni na cesarzową wpłynęli, a cesarzowa
wpłynęła na cesarza... Gdyby nie oni przeto...
nie by z tego nie było...

— Ah!...—machnął graf ręką. Oni, powia-
dasz?..

— Oni...

Zastanowiło go to.

— Oni?..—zapytał.

— Oni...

— A czemuż Ledóchowski niemcom baki
świeci?..

— Dla uwikłania ich...

Oczy szeroko otworzył i w hrabinę się wpa-
trzył.

— A więc, papo kochany?.. — zapytał pan
Maurycy.

— Co?..

— Mam za sobą mamę i Lusię, mam księdza
Jana; śmiem więc spodziewać się, że papa nie
odmówi aprobaty swojej...

— Cóż robić!.. — odrzekł, ręce rozkładając.
Ha!.. Jeżeli, w rzeczy samej, klerykalizm tę woj-
nę wykrzesał, w razie takim... hm?.. Cóż robić!..—
powtórzył, brwi zmarszczył i dłonie zatarł.
Bądźmy coby klerykałami i my, do czasu przy-
najmniej... Tylko mi arcybiskup zawadza, że
niemcom basuje...

— Toć to dla tego, ażeby ich wyprowadzić
w pole...

— Może... Dyplomacya... Ja się tam na tem
nie znam; ty, Giduleiu, coś ty mówisz na to?..

Hrabina uśmiechem podkreśliła odpowiedź
niemą, która tem była dyplomatyczniejszą, że
dawała się tłómaczyć zarówno przez „tak”
i przez „nie.”

— Więc ja—zaczął pan Maurycy—przyzwo-
leniem papy drogiego silny, sprawę moją ku roz-
strzygnięciu poruszę...

— Rób co chcesz...—rzekł graf niecierpliwie
trochę.

Mezalianś mu nie dogadzał i przypuszczać na-
leży, iżby przyzwolenia na takowy był nie udzie-
lił, gdyby nie zainterweniowanie hrabiny z oną
o wpływie klerykalizmu na wojnę wiadomością.
Na grafa wiadomość ta silne wywarła wrażenie.
Klerykalizm, który on postponował, przydał się.
Wbiło mu to klina w głowę. Graf, pospolitym
polityków naszych domorosłych wzorem, sprawy

prywatne z publicznemi łączył. Ponieważ przeto
klerykalizm tak przezeń pożądaną wojnę spro-
wadził, a zatem czuł się w obowiązku odwza-
jemnić się mu i ustępstwo uczynić w popieranej
przez księdza Zmianko sprawie syna. Wysnuło
się to jedno z drugiego i wplotło w wypadki,
które jedne po drugich szybko następowały.

Wiadomości o wypadkach prześcigały się.
Dzień każdy przynosił coś nowego, a nowość
każda wprawiała grafa w zachwyt, każda bo-
wiem popierała widoki jego i utwierdzała go
w tem mniemaniu, że na kazanie to dzwonił.

— Z górą obrachował—słowa jego—każdy
zwrot, tempo każde... Raz dwa!.. raz dwa!.. Lewa
prawa, lewa prawa!.. Maszerują...

Wymaszerowali przedewszystkiem robotnicy,
co stajnię kończyli. Biedacy—we dnie i w nocy
pracowali. Pan Piotr ich nie odstępował—ula-
twiał im, pomagał i tak rzeczy pokierował, że
powołani do szeregów nie stracili z zarobku
swego feniga jednego. Na dwadzieścia cztery
godziny przed terminem, w którym się na punkt
zborny stawić byli powinni, robotę ukończyli
całkowicie. Graf o tem urzędowo otrzymał za-
wiadomienie od architekta, który umyślnie do
Śródborza zjechał, w celu oddania właścicielowi
budowli. Oddanie odbyło się z ceremonią odpo-
wiednią. Robotnikom sprawiono ucztę; architekt
i dozorca dostali zaproszenie do palacu na obiad,
na którym towarzystwo powiększyło sąsiadów
kilku.

Zbytecznem byłoby opisywanie obiadu, zwa-
szcza że się takowy do opisu nie nadawał. Bra-
kło mu, niestety, wiele pod względem każdym.
W zastawie, szacownej jako zabytek tych cza-
sów, kiedy Graccy zasiadali w krzesłach sena-
torskich, postrzegać się dawały szczyrby zna-
czne; potrawy przyrządzał kucharz nie tęg; wino
nie lało się strumieniami. Osobliwość obiadu
tego na tem polegała, że pan Piotr po raz pierw-
szy przy stole grafskim miejsce zajmował. Sie-
dział na szarym końcu i nie widać po nim było,
ażeby zwracał uwagę na rozmowę, jaka się to-
czyła, a która nie odstępowała od materji, zaj-
mującej wszystkich żywo. Szeroko rozprawiano;
on milczał i nie odezwał się, aż gdy wprost za-
interpelowany został. Interpelacya nastąpiła
z powodu, że ktoś z obecnych z utyskiwaniem
odezwał się o robotnikach, zmuszonych w szere-
gach pruskich walczyć za sprawę nie swoją.

— Biedacy!..

— Cóż państwo powiecie na to — odparł architekt — że są tacy, co z własnej idą ochoty...

— Być nie może!.. — zaprotestowano.

— Wskażę państwu ochotnika...

— Któż on?..

— O... — odrzekł architekt, oczami pana Piotra ukazując — pan Ostróżko...

— Pan?.. idziesz?.. jako ochotnik?.. — odezwowało się zapytanie zbiorowe.

— Idę jako ochotnik... do Czerwonego Krzyża... — odpowiedział spokojnie.

O Czerwonym Krzyżu nie wszyscy mieli pojęcie dokładne. Graf o stowarzyszeniu tem słyszał, nie znał atoli znaczenia onego we względzie międzynarodowym; nie wiedział, że jest ściśle neutralnem; tego był przekonania, że idzie ono na rachunek patriotyzmu szczególnego. Patriotyzm szczególny w razie tym odnosił się do Prus. To go poruszyło.

— Ph... — odezwał się. Winszuję ochoty... Służę prusakom, kiedy mnie oni za kark biorą i w szeregach stawiają; ale... służyć im z dobrej woli?.. uhm...

Uwaga ta utonęła wśród gwaru rozmowy ogólnej. Zagadano ją. Pan Piotr na nią nie odpowiedział — mimo uszów ją puścił, tylko zwrócił spojrzenie w kierunku panny Tekli, która mieniła się, niby obraz cudowny; raz bladła, znów się rumieńcem oblewała, a oczy jej napęlił wyraz niepewny. Żrenice migotały blaskami, które przebiegały i nikły. Sąsiadowi, co obok niej siedział, odpowiadała z roztargnieniem, które wzrastało. Szczęściem dla niej, działo się to pod koniec obiadu. Wkrótce potem towarzystwo od stołu wstało; damy przeszły do salonu, z mężczyzn niektórzy na fajki i drzemkę poobiednią się wynosili i za nimi byłby się zapewne pan Piotr z pałacu wyniósł, gdyby mu hrabianka drogi nie zabiegła.

— Wszak nas pan nie opuszczasz jeszcze?.. — rzekła z tem przymileniem, do którego grzeszność upoważnia.

Młody człowiek skłonił się jej.

— Proszę...

Poszedł za nią do salonu, którego drzwi parapetowe wychodziły na balkon, zwrócony ku parkowi. Hrabianka go na balkon wyprowadziła.

— Co to znaczy, panie?.. — zapytała, gdy się od towarzystwa nieco oddaliła.

— Wytlómaczę pani znaczenie Czerwonego Krzyża... — odpowiedział i w kilku wyrazach wy-

łożył zadanie, jakie stowarzyszenie to filantropijne na siebie wzięło.

— Zawsze jednak — wtrąciła — będziesz pan po stronie .. nieprzyjaciół naszych...

— Będę po stronie tych, co cierpią... W wojnie tej przytem, co na wybuchnięciu jest, nie masz strony nam przyjaznej... Do walki występują dwie ambicje państwowe, z którymi my wspólnego nie mamy nie...

— Francuzi... — bąknęła. Papa na nich liczy...

Pan Piotr ramionami ścisnął i westchnął.

Giest ten był tak wymowny, że hrabiance objekeye, jakie czynić zamierzała, na ustach zamarły. Spojrzała jeno młodemu człowiekowi w oczy i spojrzeniu temu nadała wyraz taki, że wzrok spuścił. Mógłby powiedzieć o sobie:

„Powiew miłości owiał mnie uroczy —
Stałem przed nią i spuściłem oczy.”

Był jednak hartowniejszy, aniżeli idealny kochanek „w Szwajcaryi,” albowiem wnet głowę podniósł i zamiast iść „za nią przez góry, doliny,” spokojnie wytrzymał pocisk, który mu padł w serce pod postacią pełnych niedomówień wyrazów następujących:

— Odechodisz pan... na... przypadłe...

Wyraz ostatni jęknął odgłosem zrywającej się struny.

— Odejść muszę... — odrzekł.

Panna Tekla coś na to odpowiedzieć chciała, lecz zbliżająca się matka czasu jej na odpowiedź nie dała. Hrabina szła pod ramię z jedną z sąsiadek, w towarzystwie pana Maurycego. Zanim doszła, hrabianka mogła jeno rzucić wyrazy:

— Powrócisz?.. powróć!.. powróć!.. Czekać będę na pana... Powrócisz?.. co?..

— Postaram się... — rzekł półgłosem.

— Proszę... błagam... zaklinam...

W chwili tej zabrzmiał głos pana Maurycego.

— O bocianach mowa... Lusia i pan Ostróżko złączeni są wspólnością troski o gniazdo, które uratowali...

Wyrazy te w formie objaśnienia stosowały się do matki i sąsiadki.

— Cóż, panie? — zapytał, zwracając do pana Piotra mowę — coż się z wychowawcami pańskimi stanie, gdy pan znamię Czerwonego Krzyża ramię naznaczysz?..

— Wychowawce moi opierzyły się i oskrzydliły, obejdą się już przeto bez opieki mojej...

— Odlecają...

— I powrócą...

— Spodziewać się należy—dodała hrabina— że pan, jeżeli nie dla nas, to dla nich Śródborze odwiedzisz...

Pa Piotr ukłonem na tę grzeczność hrabiny odpowiedział.

Ukłon ten był ukłonem pożegnania. Cofnął się i odszedł. Po odejściu jego hrabianka usunęła się z grona gości, pędem wbiegła na piętro, zajęła w oknie apartamentu swego stanowisko obserwacyjne i napróżno usiłowała raz jeszcze widzieć zdaleka tego, do którego sercem przyłągnęła. Pan Piotr się ulotnił.

XXII.

Jakie na pannę Teklę sprawa brata wrażenie wywarła, to się wypowiedzieć nie da. Gdy poznała o co chodzi, owładnęło nią zdziwienie i oburzenie; żał się jej zrobiło żydówki; urobiła się w niej zaciętość—w czym i do czego? Zaciętość nie przybrała wyrazu ściśle określonego, w ogóle zaś w ten wyrażała się sposób, że—szepotała sobie—gdyby się na miejscu pana Maurycego znajdowała, za skarby żadne nie odważyłaby się na frymarkę podobną. Wychodząc z tego punktu wychodniego, stawiała siebie w położeniach rozmaitych: raz na miejscu żydówki—tej żalowała, przypuszczała bowiem z jej strony miłość dla pana Maurycego, który odwzajemniał się jej spekulacją najmocniej żydowską; znów na miejscu rodziców—o tych sądzić zabraniała sobie, ustępstwo ich bowiem wydawało się jej czemś więcej, aniżeli słabością, bardziej aniżeli występkiem; przypuszczała, iżby się o rękę jej człowiek bogaty zgłosił i zapytywała siebie, jakby się w podobnym znalazła wypadku. Rozmaite przez głowę jej przesuwwały się przypuszczenia, a wszystkie wytwarzały dokoła niej rodzaj atmosfery obcej, w której uczucia jej, na próby wystawione, mocno cierpiały—cierpiały przez to najbardziej, że z kim pomówić nie miała. A tak tego potrzebowała!

Potrzebowała się zwierzyć, wypowiedzieć komu? Z czego? Ten, co jej z przed oczów znikł, nasiał jej w duszę ziarn pełno, nad kielkowaniem których czuwać należało. Każdy niemal wyraz, który z ust jego wyszedł, był ziarnem,

Przed panną Teklą otworzyły się horyzonty odmienne od tych, jakie ją dotychczas otaczały, a w których poczęło jej być duszno, tak niemal, jak w izbie bardzo ciepłej a zamkniętej. Płonistość patryotyczna ojca, dyplomacya matki, samolubstwo brata przedstawiły się jej po raz pierwszy pod postacią taką, pod jaką—przypuśćmy—astronomowi wydałyby się planety, gdyby słońce w oczach jego znikło. W razie takim astronom by zapytał: około czego one krążą? Podobne pytanie zadawała sobie hrabianka co do otaczających ją osób. Obracały się one, działały, krążyły, ale słońce, około którego ruch ten odbywał się, z oczów jej znikło. Nie znikło ono atoli w istocie. Każda z nich miała je, ale miała w sobie i dla siebie. Wynikały ztąd sprzeczności, które do harmonii sprowadzały ustępstwa wzajemne, jakie jedno drugiemu czynić było zniewolone. Wyglądało to tak, jakby jedno drugie oszukiwało, pomimo że w rzeczy samej każde oszukiwało przedewszystkiem siebie. Dodajmy do tego gwar, jaki sprawiały wypadki, a będziemy mieli wyobrażenie niejake o odmcie, jaki w myślach hrabianki zapanował po odejściu pana Piotra. Ani się zwierzyć, ani wypowiedzieć komu, ani się poradzić kogo nie miała, a przytem nie miała możliwości w skupieniu ducha zastanowić się nad sensem gwaru, w którym niebawem, jako nuta dominująca, zapanowała wiadomość o rozpoczęciu kroków wojennych.

Wiadomość ta wprawiła grafa w szal radości, w szal, który powściągać usiłował. Usiłowanie nie zawsze mu się udawało—wybuchał niekiedy.

— A co!..—wywoływał—a co!..—i powiadał to samo, co powiedziała cesarzowa Eugenia:— „To wojna moja...”

Ręce hrabiny całował i dziękował jej, a tłómaczył:

— *Qui ne risque rien, n'a rien*: jam zaryzykował wszystko... Sztuka w tem, ażeby wiedzieć, kiedy ryzykować... Ryzykuje się wówczas, kiedy idzie najgorzej, wówczas bowiem zbliża się i moment zmiany szansy... Nikt nie rozumiał tego po Sadowej... Zrozumiałem ja sam tylko i oto... owoce usiłowań moich... Zaczął się tańiec... Tańczcie prusięta!..

Troska jego cała zwróciła się obecnie do kwestyi umeblowania pałacu, zaopatrzenia piwnicy, spiżarni i przysposobienia usługi. Wszak spodziewał się francuskich generałów, marszałków, kto wie, Napoleona samego, a nie miał ani na

czem ich posadzić, ani—na wypadek, gdyby na noc zostali—położyć, nie mówiąc już o porządkach kredensowych, którym nadać należało akcent, zaznaczony przez Mickiewicza w „Panu Tadeuszu.” Na wszystko to potrzeba było pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Do radości przeto dołączała się gorycz—ziarnko goryczy bardzo przykre, albowiem stan interesów nie pozwalał na zaciągnięcie pożyczki. Nie było zkład dostać ani grosza. Ani grosza!.. Śródborze zastawionem było całkowicie, tak że, jako ewikcya, pozostawała tylko rachuba na powodzenie oreża francuskiego; ewikcya zaś ta nie miała znaczenia najmniejszego, ani w zakładach kredytowych, ani u kapitalistów prywatnych. Graf wiedział o tem, mimo to zakolał tu, tam i ówdzie—dla tego, jak myślał, ażeby sobie nie do wyrzucenia nie mieć. Wszędzie—jak się spodziewać należało—spotkała go odmowa. Gniewało go to i gryzło srodze.

— Co ja pocznę, Giduleczko?.. — pożalił się raz pewnego hrabinie, przedstawivszy jej kłopoty swoje.

Hrabina ramionami wzruszyła.

— Bydłęta...—odezwał się o tych, co wierzyli jego zastępu powiększyć ochoty nie czuli.

— Co się im dziwić!..—zauważyła.

— Zapewne, tem bardziej, że nie mogę każdemu łopata w głowę kłaść... Ale, czyżby się domyśleć nie mogli?.. Któż tu zajmie stanowisko naczelne?.. Prosty zdrowy rozsądek wskazuje z góry mnie, nie kogo innego...

— Ludziom jednak wydaje się, że zająć mogą jakieś wypadki nieprzewidziane...

— Jakież, na przykład?.. Wojska maszerują...

— Może się uda jeszcze cios odwrócić...

— Jak?.. Oho!..—zawołał.

W chwili tej przyniesiono z poczty dzienniki. Graf pochwycił najpierwszy z wierzchu, zdarł z onego opaskę, rozłożył, i zaledwie okiem rzucił, krzyknął:

— Łupień!.. łupień!..

Oczy mu się śmiały, oblicze promieniło, nozdrza rozdęły.

— Cóż?..—zapytała hrabina spokojnie.

— Tylko się zetknęli, wnet łupuia dali...

— No?..

— O... słuchaj...

Odczytał depeczę, zawiadamiającą o mniemaniem zwycięztwie, odniesionem przez francuzów pod Saarbrücken. Wiadomo, co to za zwycięztwo

było. Tryumfowała blaga, która za czasów cesarstwa drugiego wysoko we Francyi stała. Rzecz prosta, graf znać nie mógł istoty rzeczy, przyjmował więc wiadomość w znaczeniu literalnem i cieszył się, o! cieszył się.

— Było to do przewidzenia... Czyż przypuszczać można, ażeby prusacy francuzom czoło stawić byli w stanie!..

Mówiąc to, patrzył na rozłożoną mapę i po chwili milczenia, dodał:

— Będą tu za... miesiąc... za dwa miesiące najdalej... Jazda francuska ma już szpicruty gotowe..

Powiedzenie ostatnie była to aluzya, która tyczyła się wkroczenia francuzów do Berlina za czasów Napoleona I. Jazda, przy okazji tej zaopatrzyła się była w szpicruty, celem okazania prusakom lekceważenia. Zwycięzcy z pod Jeny na zwyciężonych przez ramię spoglądali. Wspomnienie to odgrzebane podsycalo chęłpliwość stronników wojny we Francyi. Dziennikarstwo imperialistowskie rozdmuchiwało je i roznosiło po świecie w postaci świadectwa, że narwańcy tego rodzaju, co graf, nie w samej tylko polawiali się Wielkopolsce. We Francyi było ich pełno. Dzierzyli władzę, kierowali polityką, rozporządzali środkami olbrzymimi i wprawiali w obłęd pocziwców, co o nich nadzieje i widoki zaczepiali. Graf im wierzył, ufał i pewnym był, że z pod Saarbrücken wojska francuskie, zatrzymawszy się jeno tu i owdzie, dla wykropienia niemców, drogą najkrótszą do Berlina pójda. Marszrutę nawet znał. Spodziewał się ich przeto za miesiąc, za dwa najdalej—i dla tego wnet po daniu folgi uradowaniu, które mu pierś rozpie-rało, dłonią w czoło się uderzył i zawołał:

— Pieniędzy!.. pieneiędzy!..—i dodał spokojniej nieco:—Gdyby mi kto dziś dziesięć tysięcy talarów wyliczył, oddałbym mu za dwa miesiące we dwójnasób...

— Masio...—bąknęła hrabina.

— Co?..—zapytał, w żonę się wpatrując.

— Gdyby ożenie jego przyspieszyć...

— Ażeby mi—odrzekł z przyciskiem—żydowica wsparcia udzieliła?.. Niech Mauryey wsparcie przyjmuje, jeżeli mu się to podoba; ale... ja?... nigdy!..

Zauważymy, że w czasie owym „nigdy!” w modę było weszło—wprowadził takową imperia-lizm. Że zaś hrabina, ze względu na funkcyą swoją, mocno była imperyalizmem podszyta, więc

usłyszawszy z ust męża wyraz wyroczny, zamil-
kla. Milczenie jej wziął graf w sensie uznania.

— Nigdy!.. — powtórzył z przyciskiem moc-
niejszym. Pieniądze te dłonie by mi palily, tem
bardziej... że...

Zająknął się i zaciął. Wypomnieć chciał inter-
wencję klerykalną i powiedzieć, że klerowi bądź
co bądź nie dowierza; lecz — o klerze wyobra-
żenie zmienił — szacunek dla niego powziął — był
już sam klerykałem przez pół. Czoło dłonią po-
tarł i westchnął. Głowę kręcił. Odchrząknął
z przyciskiem razy parę.

— Co ja pocznę!.. Zkąd ja pieniądze wy-
trzasnę?..

— Gdybym w Paryżu być mogła... — zauwa-
żyła hrabina.

— A ba... O dostaniu się tam ani myśleć te-
raz... Wojska drogę zastąpiły, wszystkie koleje
zajęły... i idą, idą... A tu u nas pustki... Pustki
w pokojach, pustki w spiżarni, pustki w piw-
nicy... Co ja bez pieniędzy pocznę!.. co pocznę!..

W zafrasowaniu wielkiem chodził jął po
pokoju, zatrzymując się od czasu do czasu przy
oknie i wyglądając na podwórze. Powtórzyło się
to razy kilka, na podwórze spoglądał obojętnie,
aż nagle brwi zmarszczył i wzrok wyteżył.

— Co to znaczy?.. — przez zęby przecedził.
Po co on tu?.. Hm?..

Zapytanie ostatnie zwracało się do jegomości
jakiegoś, który od bramy wjazdowej zmierzając
ku pałacowi, co chwila się zatrzymywał i przy-
patrywał. Na obliczu jego malowała się owa
zwyczajna ciekawość zwiedzających, która się
nie dziwi, ale notuje. Zatrzymywał wzrok raz
na frontonie, znów na kolumnach, dalej na
oknach, gzymsach etc. A nie był to ktoś niezna-
jomy, pomimo że na pierwszy rzut oka niezna-
jomym się wydał z powodu, że go graf od dawna
nie widział. Obecność jego grafa zdziwiła.

— Po co on tu?.. — powtórzył.

Był to baron von Krapiloff z Klatek.

Prawie o nim nie słyhać było przez lat kilka,
zjawienie się przeto jego niespodziane zastano-
wiło grafa.

— Baron z Klatek... — rzekł do żony.

— Ahm... — odezwała się hrabina.

— Co przybycie jego w tym momencie zna-
czyć by mogło?..

— Interes jakiś...

— Hm?.. Czy nie chce prusak względy sobie
skarbić?..

— Może... — wtrąciła.

— Boć — ciągnął graf — interesy sąsiedzkie
załatwialiśmy za pomocą korespondencyi lub po-
średnictwa... Hm?.. hm?.. No, jakby tam nie
było, nie wyjdę naprzeciwko niego, ale go
przyjmę grzecznie... bardzo grzecznie...

Przy wyrazach ostatnich patrzył na hrabinę.
Hrabina je głowy skinieniem aprobowala. W chwil
kilka później baron się na progu ukazał.

— Aa?.. — zawołał graf przeciągle z akcentem
zapytania.

— Służby moje najposłuszniejsze wam, panie
graf. — od progu przybyły odpowiedział.

— Tak dawno niewidziany!..

— Nie pokazywałem się.. Siedziałem, jak
mysz w dziurze po nauce, jakąś mi pan dał...

— Aha!.. Ano...

— Powiedziałem sobie, to coby powiedziała
mysz, gdyby mówić umiała: baronie von Krap-
iloff, kota się wystrzegaj... O...

— Kota?.. — zapytał graf.

— Jużci tak... Czyżes mnie, grafie, nie zła-
pał, jak kot?.. Nie zdusiłeś mnie dla tego, że
twardy i grube mam kości... Ale do razu sztuka...
Nie próbowałem kości moich wystawiać powtór-
nie... dziś zaś ośmielam się panu, mości hrabio,
czołobitność moją złożyć, albowiem dowiedziałem
się, iż mogę mu małą przysługę sąsiedzką wy-
świadczyć...

— Obcinanie psom ogonów podawałeś za
przysługę sąsiedzką..

— Nu.. ja... — odparł niemiec tonem dobro-
duszości. Wówczas wychodziłem z punktu wi-
dzenia innego, dziś wychodzę z innego...

— Spodziewam się.. — odezwał się graf tryum-
fu tonem.

Baron się głęboko hrabinie uklonił.

— Czołobitność moja... — rzekł i celem zmie-
nienia snadź materii rozmowy, dodał: — Jakież
tu zaszły zmiany od czasu, jakem do Śródborza
nie zaglądał...

— Zaszły zmiany... — odrzekła pani. Posta-
rzeliśmy, baronie...

— Nie to na myśli miałem; tego bym ani spo-
strzegł... ale: ten pałac... Wygląda, niby zamek
zaklęty... Piękny, o! piękny...

— Nie prawdaż?.. — zapytał graf.

— Piękny... — powtórzył niemiec tonem, w któ-
rym, gdzieś w głębi, zdawało się, jakby się od-
zywała nuta fałszywa. Co do tego, ani słowa...
Ale — dodał — miałbym z wami, grafie, słów kilka

do pomówienia, a lękam się, ażeby... pani hrabina...

— O!.. — podchwycił graf. Pomiedzy mną a hrabiną tajemnic nie ma...

— Nie o tajemnice, ale o interesa, któreby może panią hrabinę trochę znudziły, chodzi...

— Mnie nie nudzą interesa, tyżące się grafa... Jeżeli jednak obecność moja w czemkolwiek przeszkadzać by miała, w razie takim...

— Przeszkadzać?.. — przerwał baron tonem protestacyi. Przeszkadzać!.. Nigdy na świecie... Przeciwnie, obecność pani pomódzby tylko w razie danym mogła... Interes zresztą jest krótki... słów kilka... Czy wolno?.. — zapytał, ku hrabinie zapytanie zwracając.

— Proszę pana...

— Powoduje mną chęć szczerza wyświadczenia przysługi sąsiedzkiej...

— We względzie?.. — zapytał graf.

— Rzecz bagatelna... drobiazg .. — odpowiedział niemiec z lekceważeniem. Słyszałem, że pan graf potrzebujesz kredytu w wysokości kilku czy kilkunastu tysięcy talarów...

— W rzeczy samej... — odrzekł graf — potrzebuję w momencie tym kredytu na... krótki termin...

— O termin mniejsza przy... ewikcyi...

— Ewikcyja pewna... — zaczął graf i miał zamiar w szczegóły ewikcyi wejść, lecz w porę za język się ugryzł.

Ewikcyja jego opierała się na przybyciu francuzów.

— Ph... — odrzekł baron, dłonią od niechcenia machnąwszy i dorzucił: — To rzecz wiadoma... O tem mówić nie warto... Więc pozwoli mi pan graf, ażeby mu we względzie tym użytecznym się stał...

Oświadczenie to wygłoszone było tonem dobroduszości znakomicie udanej.

— Panie baronie!.. — odpowiedział graf na to, spoglądając znacząco na żonę.

Hrabina znaczącem głowy skinieniem odpowiedziała mężowi.

— Zażartowałem niegdyś z pana; zażartowałeś pan ze mnie; pomiędzy sąsiadami zdarzają się wypadki podobne...

— Panu, jak się zdaje, panie baron, chodzi o to — zaczął graf z akcentem przymówki delikatnej — ażebyś sąsiadem moim pozostał nadal...

— O i bardzo... — odparł tenże.

— Obecnie nawet... kiedy francuzi?..

— Co?..

— Wykurzą was..

— A!.. co tam!.. Co francuzom do stosunków sąsiedzkich?..

— W ogóle jednak, ciekawi będą może do wiedzieć się, co i jak?..

— Ciekawość ich we względzie tym nie ja zaspakajac będę... Co mi tam do tego!..

— Może zapytają mnie... — wtrącił graf tonem półinsynuacyi.

— Może... nie wiem... A może zadowolnić się zechcą odpowiedzią, jakiej im nie omieszka Moltke udzielić. Zresztą — dodał — mniejsza o to... Rzecz nie w tem, ale w tem: ile pan, panie graf, w chwili tej potrzebujesz?..

Graf znów na żonę spojrzał i ta mu znów znak zachęcający dała.

— Ile?.. — powtórzył baron zapytanie.

— Uhm?.. — wygłosił graf powoli. Ile?.. talarów tysięcy kilkanaście...

— Piętnaście, na przykład?..

— Nie tyle...

— Ale... dla zaokrąglenia liczby...

— Ph... zapewne... Tysięcy parę mniej, albo więcej rzeczy nie stanowi...

— Niechże pan, panie grafie, pisze rewers...

Graf posiadał wielką w redagowaniu dokumentów tego rodzaju wprawę; mimo to, zaskoczony niespodzianie, zawahał się. Łatwość, z jaką mu pożyczka ofiarowaną została, mieszała go. Gdy przeto baron do pisania rewersu go wezwał, zapytał, jak student:

— Rewers... jak?..

— Jak się panu podoba... Niech graf sam termin wyznaczy...

— Na trzy miesiące...

— Dobrze... jeżeli to panu różnicy jakiej nie uczyni...

— Procent?..

— Hm... — mruknął baron z giestem — dwa... dwa i pół... trzy...

— Zwyczajny?.. bankowy?.. — zapytał graf.

Baron głowy skinieniem dał odpowiedź twierdzącą — i podczas kiedy graf dokument przysposabiał, przysiadł się do hrabiny i prawil jej o tem, jak to on się w okolicy zaaklimatyzował.

— Bardzo mi tu dobrze, bardzo miło, tak dalece, że się już o siebie lękać poczynam...

— W jakim względzie?..

— Żeby się nie spolaczył...

— O!.. dla pana, zdaje się, niebezpieczeństwo podobne nie istnieje ..

— Czemu nie...—odparł. Pozostaje mi tylko... z polką się ożenić; żona by mnie przerobiła... Czuję to...

Rozmowa w materji tej potoczyła się dalej, utrzymywana w tonie półzartobliwym. Niemiec ulokował komplementów parę pod adresem hrabiny. Hrabina okazywała się względem niego grzeczną i uprzejmą, odpowiadała, zapytywała, wygłaszała opinie swoje, aż graf się z rewersem w rękę pojawił i przerwał:

— Oto...—rzekł, papier baronowi podając.

Baron, nie czytając, rewers w zanadrze schował i wręczył grafowi przekaz na bank, opiewający na piętnaście tysięcy talarów. Odbyło się to tak od niechcenia, jakby to nie był ten sam człowiek, co żydów oszukiwał i o fenigi się targował.

Gdy zamiana dokumentów dokonana się, baron wstał i rzekł:

— Rzeczą załatwioną... Pozostaje mi pożegnać panią hrabinę i pana grafa i polecić się względem ich łaskawym...

— Ależ... — graf na to tonem protestacyi. Baron zechcesz nam chwilkę czasu darować jeszcze...

Niemiec się skłonił z akcentem wdzięczności i wnet wszczeła się gawędka treści politycznej, którą graf w następujący zagał sposób:

— Kropią naszych, uważacie...—rzekł.

— Co to znaczy?...—zapytał baron.

— Francuzi przetrzepali wojska pruskie...

— Ej... to nie jeszcze nie znaczy. *Finis coronat opus...*

— Zapewne... Jednakże... temu zaprzeczyć nie można, że francuzi odnieśli zwycięstwo ogromne...

— Tak, o!.. tak: pół na pół z blagą... Francuzi?... My ich znamy...

— I my znamy...

Niemiec się złośliwie uśmiechnął i odpowiedział:

— O tak...

I następnie potwierdzał wszystko, co graf po wiadał, tak że kiedy w końcu pożegnał gospodarstwo domu i odszedł, graf zawołał:

— O to niemiecko basuje!.. o toż basuje!.. Kręto być koło prusaków musi... Złagodniał, jak baranek, pazury pochował i śpiewa piosnkę nie tę, co dotychczas śpiewał... To najlepszy dowód,

że papiery nasze w górę poszły... Nie zdziwię się, gdy drugi jaki Niemiec nastreczy się z przy-
sługą sąsiedzką... A kłopotalem się o pieniądze!.. Piętnaście tysięcy talarów spadły mi, niby z nieba... Teraz trzeba zająć się umontowaniem domu, czasu nie tracąc... Gidulciu—do żony się zwrócił—pojedziemy... co?..

— Jedźmy...—hrabina na to.

— Do Berlina, czy do Wrocławia?... Do Wrocławia chyba, jako do starego grodu polskiego...

— W Berlinie łatwość większa i wybór lepszy...—zauważyła hrabina.

XXIII.

Czy w Wrocławiu, czy też w Berlinie grafstwo się umontowali, to do rzeczy nie należy. Do rzeczy należy tylko umontowanie się, to zaś zrobiło się o ile szybko, o tyle świetnie, pomimo że świetność względna, szychową była. Czyż można bowiem za piętnaście tysięcy talarów pałac umeblować? Nie można. Zrobiło się jednak dużo—wszystko co do zrobienia było, z pominięciem dzieł sztuki. Pokoje się zapełniły, ściany ożywiły; w stajni pojawiły się konie, w wozowni pojazdy. Brakło malowideł, posągów, odlewów, zwierciadeł zbyt kosztownych, kobierców zanadto drogie, ale nie brakło sprzętów i ozdób, czyniących zadość przeznaczeniu swemu. Krytyka niejedno by do zganienia znalazła, gdyby nie brała na uwagę skromności środków, jakimi rozporządzał graf, któremu żal było, że tak szczupłą u barona pożyczkę zaciągnął.

— Dwa razy taka za wysoką by nie była...—powtarzał.

Powtarzał to, pewnym będąc możliwości oddania—względnie przybycia francuzów, którzy się tymczasem pobijać raz po raz dawali. Grafa to nie mieszało zgola. Fantazyi i nadziei nie tracił, albowiem znał, albo raczej odgadywał plan kampanii, mającej na celu Berlin. Gdy przeto dookoła niego smucono się wieściami o rozprawie pod Wissenburgiem, w której wódz francuski zgiął pierwej nim oczy przetrzeć zdołał, a żołnierze ze snu w objęcia śmierci wpadali; gdy się przerażano pogromem pod Wörth, gdzie sztab francuski, w ślepej o siłach przeciwnika nieświadomości, pozwolił armię na winne zbić jabłko; gdy, po takich dowodach, odzywać się poczynano z wątpliwościami w gwiazdę napoleońską, graf odpowiadał:

— To manewry... to manewry. Francuzi wabią w stronę tamtą Niemców, ażeby ich z mańki zająć, obejść i na tyły im wleść... To manewry..

Zasłaniając się manewrami temi, wykończył montowanie palacu i co chwila wzywał to hrabinę, to pannę Teklę, ażeby pokazywać im perspektywę w salonach, zastawionych stołami, stolikami, kanapami, krzesłami, fotelami, konsolami, szezłagami, przyozdobionych w zwierciadła, obrazy, firanki, urny, wazy, etc., etc.

Wciąż spodziewał się generałów, marszałków, kto wie, Napoleona samego.

Stało się to jego manią—chorobą, jego deską zbawienia, której się trzymał uparcie, pomimo że wieści niepomysłne nadchodziły jedna po drugiej, coraz to częściej i coraz to wyraźniejsze. We wszystkim tem atoli uparcie manewry widzieć chciał i widział. Nie przypuszczał, ażeby inaczej być miało. Przysposabiał się na przyjęcie uczciwe gości dostojnych i podczas, kiedy na nich oczekiwał, progi palacu przestąpił gość niekoniecznie pożądanym.

Przyjechała pani Anna Kalisz.

Ukazanie się jej karety na podwórzu, wprowadziło mieszkańców palacu w zdziwienie niemałe, kareta owa bowiem, równie jak zaprząg, konie, służba, znamionowały bogactwo wielkie. Graf i hrabina znali się na tem. Panna Tekla, pomimo że znawczynią we względzie tym nie była, nie mniej przeto zdziwieniu uległa z powodu nowości widoku, nacechowanego zbytkiem. Nie zdziwił się jeden pan Maurycy, który, na dzień przed tem przyjechawszy, spodziewał się wizyty tej i zapowiedział rodzicom takową. On też na ganek, na spotkanie wybiegł.

Pani Anna wysiadła, obejrzała się i zawołała:

— Uf... jakże tu pięknie!.. Jam słyszała o palacu, alem wierzyć nie chciała, ażeby to był pałac prawdziwy... Ny, ny... phi... Toć to pałac!..

Pan Maurycy do środka ją zapraszał.

— Nu... niech się ja jeszcze przypatrzę trochę... A gdzież—zapytała—podział się ten dwór stary, do którego ja z ogonami przychodziła?..

— Zburzony został...—była pana Maurycego odpowiedź.

— Zburzony... szkoda... Ja bym waszemu papuściowi, panie Maurycy, przypomniła, jakem tam przychodziła. .

— Niech pani papie nie przypomina tego...

— Czemu?..

— No... tak... — odpowiedział, nie wiedząc, w jaką żądanie swoje ubrać iacyą. Sprawiliby mu to przykreść...

— Jaką!..—odparła—kiedy mnie to przykreści nie sprawia żadnej... Byłam bardzo biedna, a teraz ja bardzo bogata .. Ja bym już teraz ogonów nie nosiła...

— No... tak...—powtórzył i dodać coś chciał, ale mu wyjście ojca przeszkodziło.

— O!.. — podchwyciła, jak skoro grafa ujrzała—to papuście wasz... Nu... cóż?..

— Witam panią dobrodziejkę...

— Pan się nie a nie nie zmienił, a ja się zmieniła... Pan by nie poznał mnie.

— Nie, zaprawdę...—odrzekł graf. Nie przypominam sobie, ażebym kiedy miał zaszczyt panią oglądać...

— Gdybym panu powiedziała, toby pan graf przypomniął sobie .. Nie powiem jednak... Powiem tylko, że było to w tamtym dworze, co go zburzyli, na którym była strzecha słoniowa, a na strzesze bocian w gnieździe siedział...

— Dostałem więc zaszczytu tego, żeś pani w domu moim była?...—zapytał graf zaintrygowany.

— I.. co to za zaszczyt!.. Teraz to zaszczyt, bom ja bogata, ale wtenczas... mnie pięty z pończochów wylaziły...

— Proszę... służę pani... — podchwycił pan Maurycy, na drzwi ręką wskazując, a chcąc przerwać rozmowę, która się z fałszywego, w mniemaniu jego, rozpoczęła tonu.

Graf poparł inwitacją syna i pani Anna pompatycznie, suknią jedwabną szeleszcząc, wkroczyła do sieni, z sieni do przedpokoju, z przedpokoju do salonu jednego, do salonu drugiego, aż się zatrzymała w tym, w którym na środku spotkały ją hrabina i hrabianka.

— Nu... ot... pani hrabina...—zaczęła. Jak sze pani ma?.. I pani się zmieniła... Ale, oto kto się zmienił!..—zawołała, na pannę Teklę wskazując. Była tyćka, a teraz,.. hi!.. panna... Jak to prędko rośnie!..

— Niechże pani usiąść raczy... — zawezwała hrabina.

— Szadajmy... nu?.. co stać mamy!..

Panie miejsca pozajmowały. Pani Anna zwróciła się wnet do pana Maurycego i z poufałością, oznaczającą zażyłość, do niego się odezwiała:

— A tam są moje konie, moi ludzie i moja panna Maryanna: niech pan o nich pamięta, bo—

ze znaczącym dodała uśmiechem — panna Maryanna o panu pamiętała... Niechno się pan potatyguje, to ona cosz, gościniec jakiś tu przyniesie...

Pan Maurycy, który w obec ojca, matki i siostry czuł się zawstydzonym niejako, wstał; z nim jednak odszedł, hrabina głos zabrała:

— Pani zrobi nam ten zaszczyt i u nas gościnę przyjmie...

— Czemu nie...—odparła.

— Wskaż-że, Masiu, służącym pani pokój gościnny...—przemówiła do syna.

— Apartament na lewym skrzydle, od strony parku, pokój różowy...—dodał graf

— Ale bez pościeli!..—tonem reklamacji odezwiała się za odchodzącym pani Anna. U mnie pościel jest moja, podróżna... Pan Maurycy ją zna...

Wyrazy ostatnie dopędziły pana Maurycego. Graf grubo odchrząknął, hrabina się uśmiechnęła, panna Tekla usta zakąsiła.

— Bo to ja tak...—ciągnęła pani Anna:—subiekcyi robić nie chcę nikomu... Na co bym miała subiekcyą robić, kiedy ja pościel mam!.. Jam nie tylko przywiozła pościel dla siebie, ale i dla księdza Jana, któremu tu zastać spodziewała się... Nie widać, jak nadjedzie... ze mną jechać nie chciał... Nie chciał... nu: jam go nie silowała... Wola jego...

— Pani zdrowie służy?...—przerwała hrabina.

— Mnie?... zdrowie?... fiu... O to i pytać nie trzeba... Jam taka zdrowa!.. Niekiedy tylko w boku mi kolnie; ale to nie... Pani hrabina wie od czego to te kolki..., a ja mam na nie lekarstwo niezawodne: pierniczki kminkowe... Ksiądz Jan zna te pierniczki, bo i jego spiera niekiedy... on je w kieszeni nosi, i ja w kieszeni noszę *af jeden Fa!*... O...

To mówiąc, ręką do kieszeni sięgnęła i wydoławszy z takowej garść ciastek twardych w kształcie makaroników, sprezentowała pierniczki na dłoni.

— O...—powtórzyła i do hrabiny dłoń wyciągając, dodała:—Może pani, pani hrabina skosztuje...

— Dziękuję...—odparła pani Gracka.

— Proszę... proszę...—zachęcała. W potrzebie to pomaga, nigdy nie szkodzi... przytem to takie smaczne: niech pani skosztuje... Proszę...

— Dziękuję...—powtórzyła hrabina.

— Ny... czemuż to?...—zapytała pani Anna tonem takim, jakby się obrażoną uczuła.

Hrabina pospieszenie a ostrożnie pierniczek jeden dwoma palcami wzięła i przez grzeczność byłaby może do ust poniosła, gdyby się pani Anna do panny Tekli z dłonią wyciągniętą a otwartą nie zwróciła.

— Proszę...—rzekła.

Panna Tekla, którą przyszła bratowa do duszenia się śmiechem wewnętrznym pobudzała, lękała się usta otworzyć, ażeby nie wybuchnąć. Szybko więc pierniczek jeden pochwyciła.

— To twarde, trzeba więc zębki mocno ścisnąć, gryść i rozgryść, a potem językiem obrać, to się to rozplinie i w gębie robi się tak słodko, tak pachniaco, aj-waj... Niech ino pannenka do gęby włoży... do tej takiej pięknej gęby...—dodała, wpatrując się w pannę Teklę i cmoknęła. Piękna, ani słowa... Zkąd się pannenka taka wzięła?..

Hrabianka siedziała, niby na węglach rozpalo-nych. Nie była do śmiechu usposobiona, mimo to jednak śmiech w niej wrzał i wielkiego dokładała usiłowania, ażeby powstrzymać takowy. Wiodło się jej to, o ile milczała. Z powodu tego na uwagi pani Anny odpowiadała milczeniem, którego zachowywanie łatwem było z tego względu, że pani Anna zadawała się gadaniem własnem. Prawiła; o kminku i kolkach senten-cye wygłaszała i zgola nie chodziło jej o to, ażeby jej odpowiadano.

Rozmowa tego rodzaju toczyła się w salonie do powrotu pana Maurycego. Pan Maurycy wszedł, ale nie sam. Towarzyszył mu ksiądz Jan, który, zwyczajem swoim, rubaszenie witał się z gospodarstwem, zaczynając od hrabiny, kończąc na hrabiance. Na ostatku zwrócił się do pani Anny.

— A co?—rzekł—widzisz pani: dotrzymałem słowa...

— Jam się wielmożnego pana zastać spodziewała...

— Ano... przypóźniłem się trochę; lepiej jednak późno, jak nigdy... Zagapiłem się... Mości hrabio—do grafa mowę zwrócił—co to będzie?...

— Albo co?...—hrabia na to.

— Kropią naszych...

— Manewry... fortele... Na tem sztuka wojenna stoi... Sztuką durniów tłuką, a któż powie, że francuzi nie mają więcej aniżeli niemcy dowcipu?..

— Piękny mi dowcip, dać się w twierdzy zamknąć!..

— Zobaczysz acan dobrodziej, że Metz grobem się dla Niemców stanie... Francuzi się naumyślnie zamknąć i obsaczyć dali... Wytną oni sztukę taką, że świat zadziwią... Oho!..

— Uhm... — mruknął ksiądz, ramionami ścisnąc. Na to się nie zanosi; kto wie jednak...

Ze słowem tem treść rozmowy zmienił. Zaczął o pałacu; przeszedł do pogody; z pogody wysnuł materję o zdrowiu i przypomniał *horam canonicam*. Przypomnienie to w dobry wypadło moment—w godzinę obiadową.

Przy obiedzie to tylko było do zanotowania, że tak na zastawie stołu i daniach, jako też na usługach widzieć się dał wpływ piętnastu tysięcy talarów. Pożyczka występowała pod postacią szyku pańskiego, któremu odpowiadał dobry ton, jaki hrabina nadać umiała. Ton ów o tyle pani Annie zaimponował, że się w gadaniu powściągnęła nieco. Przy stole znajdowała się przyzwyczajenie, a taki dla grafa i hrabiny szacunek powzięła, że—przez zapomnienie—tytułowała ich niekiedy: „jaśnie wielmożny” i „jaśnie wielmożna.” Pochodziło to w części ztąd, że, wiedząc o smutnym interesów śródborskich stanie, nie spodziewała się wystawności takiej.

— Ny—odezwiała się po obiedzie do księdza na stronie—tu takie wielkie państwo...

— Hm...—ksiądz chrząknął i głową ruszył. Tak to, pani... Cóż—zapytał — nie spoczniesz pani trochę po podróży?..

— Ależ ja nie wiem, gdzie ten pokój różowy, który dla mnie przeznaczono...

— Panna Tekla pokaże pani...

Ksiądz podprowadził panią Annę do panny Tekli, powiedział o co chodzi i dwie te panie udały się na piętro. Na dole pozostali państwo Graccy, pan Maurycy i ksiądz Jan.

Ten ostatni rzecz zagaik.

— Nie powabna, ani ponętna...—rzekł, o pani Annie mówiąc—ale pożądana, z punktu praktycznego wychodząc... W gruncie dobra kobieta; trafiła się, jakby przez Opatrzność przysłana umyślnie do ratowania jednego z rodów, stojących na brzegu otchłani.

Graf zaprotestował przeciwko wyrazom ostatnim, a na dowód protestacyi swojej poświadczył się przysługą sąsiedzką barona.

— Niemiec ma węż—dokończył — nie ryzy-

kowałby, gdyby nie był pewnym przybycia francuzów.

— Nie znam ja rachub barona — odparł ksiądz—ale są one nieco podejrżane... Czy to nie wyzwanie jakie?.. Zobaczymy... Na wypadek wszelki dobrze jest uzbroić się... w talary, zwłaszcza, że się okazała trafia...

— Myśmy—odparł graf, we własnem i w hrabiny imieniu odpowiadając—dali już, zbyteczne zresztą, zezwolenie nasze...

— O ilem wyrozumiał—ksiądz na to—pani Anna gotową jest Śródborze oczyścić...

— *Veto!* —zawołał graf. Śródborze oczyszcze sam... Francuzi przyjdą...

— Panie grafie... — przerwał ksiądz—wybijcie sobie to z głowy... Francuzi w Metz zamknęci...

— Jedni, a drudzy w Chalons się gromadzą, na odsiecz pójda... ruszyli już, Niemców zgniotą marszem spacerowym naprzód ruszą...

Ksiądz, zamiast wyrazić te jako przedmiot dyskusyi podnieść, powrócił do pani Anny.

— Jeden tylko sęk...

— Sęki wszystkie kartaczownicami porozbijają...—podechwycił graf.

— Nie w tem rzecz... Żydowica do chrztu wstręt niejaki okazuje...

— Jaka żydowica?.. — zapytał graf, który francuzów w myśli miał. Al!..—przypomniał sobie. Co?.. wstręt do chrztu?..

— Nie nalegałem jeszcze wprost, ale ja sądowałem pośrednio... Bez tego zaś wyglądałoby to niewiedzieć po jakimu... Sens bowiem cały, cała małżeństwa tego racjonalność tkwi w pozyskaniu dla kościoła katolickiego owieczki...

— Milionowej...—wtrącił graf z przekąsem.

— Ano tak... przydatnej... Przyda się ona nie samemu kościołowi tylko, ale i pozbawionemu majątku spadkobiercy imienia... Nie unoście się, mości grafie...—upomniął grafa, który znów protestować ochotę giestem okazał. Chodzi nie o was, co z pola ustępujecie, lecz o nazwisko, które synowi zostawiacie, a którego on nie uświeć inaczey, jak za pomocą majątku... Ja syna waszego na wylot znam... Owóż sprawa stanęła tak, że zachodzi tylko kwestya o chrzest i w kwestyi tej wasze, łaskawi państwo—rzekł, mówiąc do grafa i do hrabiny—współdziałanie potrzebnem jest koniecznie... Rzecz ważna... *periculum in moris*... dopuścić nie można, ażeby pani Gracka judaizm wyznawała...

— Ciągniecie wodę na swój młyn...—zauważył graf.

— Na swój... tak; ale i na wasz... Czy nie, hrabino dobrodziejko?

— Nie sposób księdzu dobrodziejowi racji nie przyznać... — odpowiedziała zainteresowana wręcz hrabina.

— Hm?...—chrząknął hrabia, którego opinia ustępowała zawsze w obec opinii hrabiny.

— A zatem... należy żydowicę ugłaskać i uchodzić... Żydzi nastawiali na nią uczonych i rabinów, obłożyli ją klątwą, nasyłają szarman-tów z Hamburga i z Paryża, oblegają babę formalnie, jak prusacy Metz; byłoby dla nas wstydem, gdyby oni, nie my, górę otrzymali, tem bardziej, że po stronie naszej znajduje się słabość jej do Masia... Mamy atut w ręku... Działajmy przeto, nie tylko dla pożytku, ale oraz i dla honoru...

Wyraz ostatni wymówił z przyciskiem oratorskim.

— Mielibyśmy żydom pokonać się dać?..

Graf został wzięty. Westchnął jednak, jak wzdychają ludzie, co się zabierają do dzieła z zapalem, ale bez ochoty. Przymierze syna z księdzem Janem już nie zawadzało. Hrabina przymierze to uznawała i przyjmowała, a zatem gadać nie było o czem.

Ksiądz w krótkości plan kampanii skreślił. Polegał on całkowicie na działaniu taktycznem. Ruchy strategiczne skończyły się. Siły doprowadzone zostały na stanowiska. Panna Maryanna robiła swoje. Graf i hrabina zachodzić mieli ze skrzydeł. Ksiądz wziął na siebie atak rdzenny. Panu Maurycemu i pannie Tekli wyznaczonem było operowanie w rezerwie.

— Dni trzy i rzecz cała skończoną być musi, nie mam bowiem czasu na bawienie dłuższe...— i dodał:—Rzecz cała opiera się szczególnie na hrabinie, która, jakem zauważył, wrażenie na bogaczce sprawiła...

Hrabina przyjęła uwagę tę z zadowoleniem. Kwestya została wyczerpaną. Graf zawiązał rozmowę polityczną, biorąc za punkt wychodni Metz i twierdząc, że zamknięcie się w nim francuzów, jest z ich strony nie czem innem, jak fortem, który niemców będzie kosztował drogo.

— Bekną... — powiadał. Popłacą basarunki i będą w końcu paznogie własne gryzli...

Ksiądz nie obalał tych złudzeń, których się uparcie trzymała fantazyja polityczna grafa. Nie

chciał biedakowi wyrządzać przykrości, a przytem i sam spodziewał się rezultatu jakiegoś przyzwoitego po operacyi, do której powołaną została armia pod dowództwem naczelnem marszałka Mac-Mabon. Czyż nie liczono na nią? Czyż ks. de Palicao nie oznajmiał tryumfu niezawodnego? Ksiądz Jan przeto liczył trochę na to, że się francuzi wywikłają z kłopotów, w jakie ich wtrąciła niezaradność synowca wielkiego wojownika. Dla tego fantazyi grafa bujać pozwalał, nawet ją od czasu do czasu podsycał i raz tylko rozmowę przerwał zwróconem do hrabiny zapytaniem o pannę Teklę.

— Odprowadziła panią Annę...—odrzekła zapytana.

— Widać te panie zagadały się...

Zagadały się w rzeczy samej. W pannie Tekli zaszła, w odniesieniu do tej, którą za bratową swoją przyszłą uważała, zmiana. Pani Anna śmieszyła ją w początku; następnie uczuła dla niej rodzaj politowania. Z uczuciem tem towarzyszyła jej na piętro i odprowadziwszy ją do pokoju różowego, pozostała przy niej, słuchając paplaniny, jaką ją żydówka raczyła. Pani Anna czuła się w obowiązku siostrę przyszłego małżonka swego wtajemniczyć w szczegóły niektóre, osoby jej tyjące się. Wspomniała o bogactwie svojem, rozповідаła o swoich gustach, słabościach i nawykach, o kucharzu i lokajach; rozszerzyła się szczególnie o pannie Maryannie.

— Co to za panna, ach!.. co to za panna!.. Jaka zgrabna!.. Dać jej w ręce wstążkę... ot taką gładziutką wstążkę, a ona z niej w palcach zrobi jakąś niby marszczoną, albo fałdowaną, albo składaną, wiązaną, zbieraną... Och! jaka ona zgrabna, a przytem, jak się z czem odezwie, to posłuchać miło... Edukowana... Edukowana, a jednak dopytać się jej nie mogę, dla czego wiara chrześcijańska lepsza aniżeli żydowska?.. Może mi panienska to wytłumaczy?..

— Dla chrześcian lepsza chrześcijańska, dla żydów żydowska...—odpowiedziała panna Tekla.

— Otóż to... i mnie się tak zdaje... Panna Maryanna zgodzić się na to nie chce... Bóg jeden... Dla chrześcian on w trzech osobach, dla żydów w jednej, ale zawsze jeden, ten sam, co i u żydów... Czy nie tak?..

Hrabianka racya pani Annie przyznała.

— Kiedy tak, nu... to i dobrze...—rzekła żydówka. Niech każdy zostanie przy svojem... Ja tak myślę.. Ny?...—zapytała.

— Pani dobrze myśli...

— Jam rabiną z Kutna nie posłuchała, to dla czegożbym słuchać miała kogo innego?.. Świadcza się księgami i prorocत्वami ci i ci... Świadectwo na świadectwo, jedno drugiemu również a... gdzie prawda?.. po środku chyba...

XXIV.

Uprzejmość, z jaką pani Anna podejmowaną i goszczoną w Śródborzu była, nie do życzenia nie pozostawiała. Zadawała ją ona zupełnie. Śródborze się jej podobało, równie jak pałac, który, gdy się w nim rozpatrzyła, wydał się jej jako rodzaj etalażu, na którym bogactwa jej prezentowałyby się świetnie. Sprzęty, acz świecące ale ubogie, które budowlę zapełniały, wzbudzały w niej politowanie. Znała się na imitacjach wszelakich, wiedziała po czemu czego funt i łokieć i powiadała:

— Niechajno tu przyjdzie złoto prawdziwe, jedwab prawdziwy i robota od majstrów rzetelnych: ot dopiero na co popatrzeć będzie...

Uwag tego rodzaju udzielała pannie Maryannie, która ze swojej strony przedstawiała jej piękność mianowania się hrabiną.

— To jest. . ja będę niby tak, jak pani hrabina...

— Pani będzie nie niby, ale hrabiną prawdziwą...

Razu pewnego jednak pani Anna, gdy jej panna Maryanna po raz może setny piękność przeszłego jej prawdziwego hrabstwa przedstawiła, rzekła:

— To się pokaże...

Naznaczone przez księdza trzy dni nplływały i w ciągu takowych nadeszła wieść dla grafa straszna, wieść iście Hiobowa: o pogromie sedańskim. Nie uwierzył jej zrazu. Fakt wydał się mu o ile potwornym, o tyle niemożliwym.

— Nie!.. nie!.. — krzyknął — to nieprawda!.. kłamstwo!.. łgarstwo!..

Gazetę w garści zmiął i na podłogę cisnął.

— Wojska broń złożyły... — odezwał się ksiądz.

— Być nie może!..

— Cesarz się w niewolę oddał...

— Czyste niepodobieństwo!..

Wierzyć nie chciał; w końcu atoli uwierzyć musiał i osłupiał. Doznał czegoś nakształt spa-

ralizowania władz umysłowych. Zdobył się tylko na zarzut, zwrócony do księdza Jana.

— Wyście to sprawili!..—rzekł—klerykali!..

Następnie sposepniał, zamilkł i z podelba jął się patrzeć na wszystkich, na hrabinę nawet. Zły humor jego potęgowały przykrości różne, które napływać poczęły, jakby na zamówienie. „Nieszczęście—jak powiadają—nie przychodzi nigdy samo.” Po wieści fatalnej spadły na grafa pozwy — pozwy groźne, brzemiennie nie tylko właszczeniem przez kredytorów, ale torbami zebraczemi. Groźność ich atoli malała w obec ciosu, jakim było zapadnięcie się złotych nadziei w bagno sedańskie. Graf tak o wszystkim wiedział, tak plany znał i rozumiał, tak rezultatu pewnym był, że kiedy się pokazało, że były to bańki z mydła, uczuł się jakby zgruchotanym. Wszystko inne uważał za głupstwo. Wierzyście? A! Przedstawili się mu oni pod postacią tych much, co w jesieni dokuczają. A właśnie jesień była.

Dla tego zdziwił go i trochę oburzył list, jaki otrzymał od barona, list, treść którego obracała się całkowicie około interesów śródborskich i wyprowadzała z takowych konkluzję wcale niespodziankową. Baron wykazywał grafowi ruinę majątkową nieochybną a bliską, oznajmiał, że jest głównym jego wierzycielem, albowiem skupił większą połowę weksli, jakie na Śródborzu ciążą i oświadczył się o rękę panny Tekli. Podpisał się: Baron, etc. „Hycel.” List cały grzeczny był i uprzejmy; jeden tylko ten wyraz zaznaczał sens onego. Niemiec wymedytował zemstę, którą obliczył matematycznie—za pomocą rachunku prawdopodobieństwa. Tak samo gabinet berliński obliczył odwet za Jenę i za zdobycie z rajtpajczem w ręku Berlina. Przeciwno obrachowaniom tego rodzaju są obrachowania. Francya nie czyniła takowych i graf nie czynił: nastąpiły przeto dwa pogromy—jeden głośny historyczny, drugi cichy historyczny; obydwie wyraziły się pod postacią bankructwa sromotą podszytego. Zbankrutowało cesarstwo, dla którego szlachta polska wawozy samo-sierskie zdobywała; zbankrutował szlachcie, który na cesarstwo liczył. Na co innego liczyć należało.

Oświadczyły barona zdziwiły grafa i oburzyły trochę. Nie wziął ich do serca od razu. Gdy list po raz pierwszy po cichu czytał, nie wydały mu się niczem osobliwym. Powtórne jednak zo-

nie, córce i synowi odezwanie z siodła go niejako wysadziło.

— Ahm!..—krzyknął, zawarczał niby.

Tytuł, jaki sobie baron nadał, przedstawił się mu pod postacią urągowiska.

— Ja mu!.. ja go!.. ja jem!.. ja z nim!..

Próbował się odgrażać—nie wiedział, w jaki sposób pogrozkę sformułować. Poznał, że się znajduje w ręku nieprzyjaciela i że Niemiec będzie dla niego bezwzględny. Poznał to z uprzejmości, jaką list był nabrzmiały. We względzie tym nie pozostawiała wątpliwość najmniejsza.

W łonie rodziny zmanifestowało się zmitrężenie, które ujść nie mogło uwagi gości—księdza i pani Anny. Sama hrabina spokoju zachować w stanie nie była. Panna Tekla doznała przerażenia. Pan Maurycy był zmięszany. Ksiądz wpadał na domysł, odnoszący się do syna starszego hrabstwa, który kampanię w szeregach wojskowych odbywał; pani Anna wpadała na domysł, dotyczący się spraw majątkowych.

— Ani chybi... kredytor jakiś nacisnął...—szepnęła księdzu na stronie.

— Chyba że nie... Coś to innego... Czy nie od Bysia, albo o Bysiu wieść zła?..

— Od Bysia?.. Bysio!.. Rychtyg... Aha! to panicz starszeński, co się u wielmożnego pana edukował?.. — odezwała się tonem Chany dawniejszej.

I na potwierdzenie domysłu tego nie czekając, zwróciła się do grafa z kondolencją:

— Co tam...—poczęła. Kto to wiedzieć może... List?.. wielka mi rzecz... Owa!.. Mało o czym listy się nie piszą... To zapewne nie prawda...

— Czarno na białem...—odrzekł graf.

— Bywa zielone na żółtem...

— Pisz wyrażnie...

— Jak to wyrażnie?.. Co to wyrażnie?..

— Oświadcza się...

— I o co?.. I kto?..—zapytała, zmiarkowawszy, że pocieszanie jej jest trafianiem kulą w płot.

— Baron... — zawołał graf z indygnacją—o rękę Lusi...

— Baron?.. ten, od rybek?.. od szkła?.. od psich ogonów?..

— Hycel...

— Ny?.. a on-że czemu hycel?..

— Czemu?.. Praktykował bez patentu, dostał wyrok i sam się w tytuł ten przyozdobił... O...

Księdzu list wręczył, ksiądz odczytał, usta zacisnął, wykrzywił takowe i rzekł:

— U?.. to źle...

— Co źle?..—zapytała żydówka.

— Ultimatum fatalne...

— Jaka to ona, ta ulti-mata?.. Co to znaczy?..

— Z nożem przy gardle stanął...

— Czy nie wedle długów?..—zapytała, odgadując istotę rzeczy siłą domysłowości żydowskiej.

Ksiądz nie na to nie odpowiedział, graf głowę schylił; milczenie chwilowe, jakie zapanowało, przerwała pani Anna, rękę wyciągając:

— Nu... co tam... Jeżeli to bagatela taka, to nie... To ja... ja weksle popłacę... Popłacę het weksle wszystkie, jakie ino są... Co tam!.. to głupstwo... Sto, dwakroć sto tysięcy talarów... co to?.. to nie... Niech się tem państwo nie frasują... Kiedym ja pierniki sprzedawała, to jam nie nie mogła, to mi nieraz w krzyżach trzeszczało; ale teraz ja mogę... Nu...

Podczas kiedy ona mówiła, graf, odetchnawszy z głębi piersi, jał się po pokoju przebadzać; hrabina patrzyła na żydówkę z wyrazem rozróżnienia w oczach; pan Maurycy siedział z głową pochyloną; panna Tekla miała minę istoty na gorącym pojmanej uczynku; ksiądz, odchrząkując od czasu do czasu, dłonią sobie usta obcierał, jakby się do przemówienia przysposabiał. Jakoż przemówił.

— Przedziwne Opatrzności zrządzenie...—zaczął—zrządzenie, dzięki któremu rzeczy się tak ułożyły, że można już otwarcie powiedzieć, o co chodzi... Dziełem to jest niczyjem, tylko Opatrzności, to sprowadzenie ku skojarzeniu się węzłem małżeńskim dwojga ludzi, których wszystko dzieliło... Dziś ich już tylko dzieli rzecz jedna, rzecz bardzo ważna, najważniejsza, jedna przeszkoda, której usunięcie zależy od serca pani...

Przy wyrazie ostatnim głową ku pani Annie z ukłonem skinął.

— Wątpić nie można, że Bóg, co cię natchnął do umiłowania młodego hrabiego, natchnie cię oraz do uznania i przyjęcia światła tej wiary prawdziwej, którą twój przyszły wyznaje...

— A to na co?.. — zapytała żydówka tonem takim, jakim się zazwyczaj targi toczą.

Zapytanie to w wielki księdza Jana wprowadziło ambaras, a to dla tego, że nie było na nie możliwej w sensie mistycznym odpowiedzi. Nie można się było odwoływać do natchnienia opatrnościowego, które widocznie nie działało, kie-

dy żydówka z zapytaniem powyższem wyjechała. „Na co?”—wskazywało na racje praktyczne, tyżące się stosunków, jakie wytwarza pożycie dwojga pici odmiennej ludzi w związku małżeńskim. Ksiądz przeto zestąpić musiał z wysokości na padół i odpowiedzieć:

— Na co?.. Jak to?.. Czyż można, ażeby żona wyznawała religią inną, a mąż inną?..

— Nie można?..

— O, nie!..

— Czemu?..

— Dla dobrego w pożyciu małżeńskim porozumienia...

— Co to ma porozumieniu wadzić!..—odparła. Niech sobie jedno chwali Pana Boga po swojemu, drugie po swojemu, nu... i porozumienie będzie jak najlepsze... Czegóż potrzeba więcej?..

— Potrzeba zgody na jedno...—odrzekł ksiądz, uciekając się do argumentów, któreby trafić mogły do umysłu nieuprawnego, jakim był umysł Chany. Zgoda grunt...

— A żebym ja tyle talarów miała, ile jest niezgodnych małżeństw chrześcijańskich i żydowskich, nie byłoby na świecie kobiety odemnie bogatszej!.. Kłóć się, biją nawet, chrześcianki z chrześcianami, żydówki z żydami, aż miło... Co to jedno do drugiego ma?..

Racya zgody małżeńskiej zawiodła; potrzeba więc było w inną uderzyć.

— Pani przecie hrabiego Maurycego kochasz...

— Kocham... nu?... to i co?..

— W razie takim—rzekł ksiądz z namaszczeniem i powagą, tonem stanowczym—powinnaś dla niego tę zrobić ofiarę i przed pójściem do ołtarza, chrzest przyjąć...

— Nie...—odparła.

— Nie kochasz więc go...

— Kocham... — odrzekła, oczy zawracając i na młodego hrabiego czule spoglądając —i dla tego jemu z majątku mego połowę prawie daję... A dla czego mu tyle daję?...—dla tego, że on nie kocha mnie... Ja o tem wiem... Jemu się podobają pieniądze moje, a on się podobał mnie... nu: dogadzam jemu, dogadzam sobie i pomiędzy nami kwita... Pobierzemy się i będziemy sobie żyli w wygodach; a gdyby on mnie porzucić chciał, to ja co moje zabiorę i będzie znów kwita... Jam nie taka głupia, pomimo że bardzo bogata: będę mu dogadzała, jak boleć, ale w dodatku do pieniędzy wiary nie dam...

nie... Z kochaniem pieniądze, to reht; ale z pieniądze jeszcze i wiara... ny?... to już nie reht...

Przy wyrazach ostatnich ręką trzęsła.

— Cóż to będzie za pożycie!..—zawołał ksiądz z akcentem oratorskim.

— Jeżeli to do pożycia koniecznie potrzebne, to niech będzie tak: ja daję pieniądze, on niech da wiarę...

— Jak to!?..

— Niech on na żyda przejdzie...

— Oh!..—krzyknął gra, jakby nagłego doznał ukłucia.

Hrabina drgnęła i wyprostowała się.

Pan Maurycy wstał, do okna podszedł, stanął i przez szybę na podwórze patrzył.

Pannie Tekli oczy napełniły się wyrazem zgrozy. To co się o uszy jej obijało, było dla niej nowością, niespodzianą a wstrętną. W świetle najlepszem przedstawiała się jedna żydówka, z powodu otwartości, z jaką sytuację swoją określała. Kupowała sobie człowieka, co się jej podobał i nie tała się z tem. Od kupczychy tej odbijali: ojciec, matka, brat, ksiądz. Czula, jakby drżenie ziemi pod sobą. Wydawało się jej, że się podłoga połamie, otworzy i wszystkich ich pochłonie. Życzyła sobie tego. Ponieważ jednak życzeniu jej stać się zadość nie mogło, więc ręce palcami splotła, dłonie załamała, ramiona do góry podniosła i z pokoju wybiegła. Udała się na piętro, do apartamentu swego.

— Panienko!.. co panience?.. — zapytaniem tem spotkała ją Maryś.

— O Boże!.. — jęknęła i dodała:—Idź... nie przeszkadzaj mi...

Cóż czynić zamierzała? Zamknęła się i usiadła przy oknie, z którego widziała kawalek podwórza, stajnię, przy której tak niedawno widywała pana Piotra i drzewo suche z opuszczonem przez bocianów gniazdem. Wspomnienia tłumnie do głowy jej napłynęły. Postać młodego człowieka w oczach jej stanęła.

O! jakże postać ta wydała się jej piękną, czystą, jasną.

— Gdzie on?... co z nim się dzieje?... gdyby się tu w chwili tej znajdował...

Gdyby się znajdował, poszłaby do niego i opowiedziała mu wszystko. W myśli sobie opowiadanie układała. Opisałaby rozpaczliwe rodziców położenie, z położenia tego wyciągnęłaby dla nich okoliczności łagodzące i postawiła zapytanie: czy wyjście jej za barona byłoby dla nich

ratunkiem? Przedstawiały się jej bowiem dwie ostateczności, ucharakteryzowane: jedna przez barona, druga przez żydówkę. Jedna i druga wymagały ofiary: ta z niej, ta z jej brata. Któraż mniej bolesną była? Która pewniejsza i większe korzyści rokowała?

Pod ostatnim tym względem przewaga się zbyt wyraźnie na stronę żydówki przechylała, baron bowiem, nie zobowiązując się do niczego, występował jako wierzyciel i pretendent do ręki hrabianki. Przypuszczać należało niejaka ze strony jego, gdyby zięciem grafa został, dla tego ostatniego względność. Do przypuszczenia tego jednak łączyło się inne, czepiające się zniewagi, jakiej przed laty doznał, a którą przypominał, dodając w podpisie tytuł, który ją wyobrażał. Nie zachodziła przeto wątpliwość najmniejsza, że baronowi chodziło o odwet — o poniżenie, o zdeptanie szlachcica — o poniżenie, zdeptanie człowieka, co był hrabianki ojcem, którego ona, bądź co bądź, kochała, szanowała i żałowała. Ofiara jej przeto okazywała się nieprzydatną.

Pozostawała ostateczność druga. Myśląc o tej, w głowie się jej męciło. I tu występowało poniżenie — poniżenie bardzo sromotne, bo zapłacone.

— O Boże!.. — wzdychała.

Pogoda jesienna odpowiadała harmonii jej myśli i uczuć. Niebo osłaniały ciężki pozór mające chmury, deszczyk mżył i zasepiał widnokrąg, w dali ukazywały się widma lasów, od czasu do czasu rozlegało się krakanie wrony i krakanie to niby nóż wbijało się w serce hrabianki zgryzionej, zrozpaczonej, spoglądającej zaczerwienionymi od płaczu oczami i nie widzącej wyjścia z położenia, które się jej wydawało okropnem.

Okropnem bo było ono w rzeczy samej. Wyjście jedyne, uczciwe a szlachetne, polegało na wyjściu ze Śródborza, nie zabierając ze sobą nic, ani nawet kija do ręki. To atoli hrabiance na myśl nie przychodziło. Niewyraźnie tylko snuło się jej w głowie postanowienie nie korzystania ze sposobów ratunku, jakie się przedstawiały. Tyczyło się to osoby jej wyłącznie, nie zaś ojca, matki i brata, których jednak los obchodził ją bardziej, aniżeli jej własny.

— Poniżenie... hańba...

Wyrazy te mózg jej ugniatały, serce uciskały i urabiały pragnienie ukrycia się chociażby pod ziemię.

W usposobieniu takim zeszła ją Maryś.

— Panienko, a tam panienkę proszą...

— Co?.. — zapytała.

— Ksiądz Zmianko odjeżdża i z panienką pożegnać się chce...

— Ach!.. — dłonią sobie czoło przycisnęła.

Miała zamiar nie schodzić. Zmiarkowała się atoli. Ręcznikiem zmoczonym oczy sobie przemyła, włosy przyczesła i oblicze odpowiednio nastroiwszy, zeszła po schodach.

Ksiądz Jan, w towarzystwie grafa i pana Maurycyego, czekał na nią w przedpokoju.

— O! panna Tekla popłakała sobie trochę... — odezwał się tonem dobrego humoru. Ten okropny baron łyzy pani z oczu wycisnął... Francuzi powiadają, że wszystko jest dobrem, co się dobrze kończy... Baron usunięty i obezwładniony... Co się zaś reszty tyczy, w panu Maurycym nadzieja: on z położenia fałszywego wyprowadzi z korzyścią i honorem... Straconego nie ma nic; do odzyskania jest wszystko... Proszę się nie smucić i nie płakać... oczów szkoda...

To rzekłszy, z panną Teklą się pożegnał i z grafem i z panem Maurycym na ganek wyszedł.

Panna Tekla nie dowiadywała się o tem, co w nieobecności jej zaszło: czy żydówka ustąpiła? czy pan Maurycy zdecydował się judaizm przyjąć? czy też nastąpiła komplancja jaka, zadowalniająca jedną i drugą stronę? Widziała panującą pomiędzy stronami dobrą harmonią i dowiedziała się, o czem się nie dowiedzieć nie mogła, że pani Anna odjeżdża, celem załatwienia interesów z baronem. Wyjazd jej miał nastąpić nazajutrz. Z nią razem wybierał się pan Maurycy.

Cóż więc zaszło? Rzeczą się załatwiła za pomocą komplancji, ratującej pozory. Pani Anna weksle płaciła, prawa barona do Śródborza nabywała, grafa w posiadaniu spokojnem pozostawiała i narzeczoną pana Maurycyego formalnie się stawiała. Była to komplancja strona, że się tak wyrazimy, zewnętrzna, formalna. Sens onej ukrywał się w głębi i opierał na panu Maurycym, który, za pomocą uroków młodości i miłości, a przy pomocy panny Maryanny i innych, podejmował się wymódz na żydówce ustępstwo na punkcie religii. Sprawa przeto wzięła obrót pomyślny. Graf się uspokoił, hrabina odzyskała zachwianą na chwilę powagę; sama tylko panna

Tekla pozbyć się nie mogła uciskającego ją smutku.

Po odjeździe pani Anny, w Śródborzu powrócił tryb życia zwyczajny, różniący się od dawniejszego tem tylko, że graf zaprzestał układania kombinacji politycznych. We względzie tym zaszła w nim zmiana radykalna—zmiana pospolita w ludziach, kierujących się nie na wyrozumowaniu opartemi przekonaniemi, ale wypływającemi z uczuć wrażeń. Na ludzi takich wpływa lada co—pierwszy lepszy o zakroju niezwykłym fakt. Graf zobojętniał zrazu, zobojętniał absolutnie, tak dalece, że postradał świadomość: jest li demokratą czy arystokratą, polakiem czy Niemcem—żydem może. Nie czuł, nie myślał—drewnianym się stał. Zobojętnienie trwało do chwili, w której się dowiedział o obecności przy uroczystości przyjęcia w Wersalu przez króla pruskiego tytułu cesarza niemieckiego arcybiskupa gnieźnieńskiego. Wiadomość ta wstrząsnęła nim, zelektryzowała go. Obecność arcybiskupa, prymasa duchowieństwa polskiego, przedstawiciela Polski w czasie bezkrólewia, wydała mu się wyskokiem mądrości stanu, czynem polityki tak głębokiej i tak rozumnej, że doznał rodzaju olśnienia wewnętrznego. Stało się mu to, co czasu onego św. Pawłowi, gdy do niego głosem ludzkim oślica przemówiła. W chwili jednej nawrócił się. Demokratą, wolnomyślicy, ateusz prawie, ultramontaninem został w przekonaniu, że:

— Książd Ledóchowski nie bez kozery lutrom basuje... Ultramontanie Niemcom końca dojadą...

Z imperyalisty zawziętego zmienił się w zawziętego klerykała i nadzieje, rachuby i plany swoje na Rzymie opierać począł.

Rzym zastąpił dla niego Paryż, ojciec święty cesarza francuzów, religia politykę. Nawrócenie Chany przybrało w mniemaniu grafa znaczenie doniosłości ogromnej. W sprawie tej ujrzał—czego nie widział dawniej—wyraźny Opatrzności palec.

Zwrotowi temu w przekonaniach grafa hrabina, jak się zdaje—potakiwała. Kiedy rozprawiał, nie odpowiadała, ale nie przeczyła: spodziewała się może zmiany nowej w przyszłości niedalekiej. W Wielkopolsce zmiany tego rodzaju są na porządku dziennym; w oczach naszych fronty polityczne zwracały się tam ku Paryżowi, Wiedniowi, Petersburgowi, Rzymowi i w jednym

tylko wielkopoleanie wytrwałymi są: w marnotrawieniu majątków.

Wiadomości z teatru zapasów wojennych nadchodziły coraz to gorsze—gorsze w tym sensie, że po upadku Napoleona III chodziło już o rzeczy ważniejsze, aniżeli te, które wojnę spowodowały. Przewaga oręża niemieckiego Niemcom nawet pożądaną być nie mogła. Przewaga ta utrzymywała się stale, sprowadzając do Wielkopolski jeńców i rannych—rannych, w liczbie których znalazł się młody hrabia Bolesław Gracki.

XXV.

„Kto odżyć ma, ten przemienić się musi”—sentencję tę napisał Zygmunt Krasiński („Niedokończony poemat”). Szlachta wielkopolska powinna ją za godło sobie wziąć, nie co do przekonań jednak politycznych, które zmienia dosyć często, ale co do tego, o czem wiedzą wszystkie wróble, gnieźdzące się w strzechach wielkopolskich. Co do tego—graf o tem ani myślał. Z demokraty *sui generis* stał się klerykałem *sui generis*, zastąpił demokracją klerykalizmem i ze spokojem sumienia zachwycającym, nowe widoki tworzyć i nowe plany snuć począł, gdy w Śródborzu zaszedł wypadek, który mu niejaka sprawił mitręgę.

Panna Tekla w oknie siedziała i po podwórzu pałacowem, po stajni, po oczekującym na powrót bocianów gnieździe okiem powodząc, rozmyślała nad położeniem upokarzającym, w jakie ją i jej najbliższych okoliczności wtrąciły. Rozmyślała nad tem, wyjścia nie widziała i jednego pragnęła: tego mianowicie, ażeby się cudem jakim z panem Piotrem rozmówić mogła. Wydawało się jej, że on jeden pocieszy, on jeden wskazówkę da, on jeden radę znajdzie.

— On jeden...—w duchu sobie powtarzała.

— Gdzież on jednak?

Dni kilka temu graf dostał zawiadomienie urzędowe o powrocie z pułku syna starszego rannego. Dnia, w którym to nastąpi, nie znano. Zależało to od kolei żelaznych, zajętych ogromnie. Spodziewano się przybycia młodego hrabiego lada dzień i o spodziewanie to panna Tekla zaczęła nadzieję dowiedzenia się czegoś o panu Piotrze, o którym od początku wojny wiadomości nie miała najmniejszych.

W oknie—jakośmy rzekli wyżej—siedziała i okiem po podwórzu powodziła. Nagle we wro-

tach pokazał się pojazd kryty. Na widok ten serce jej mocno zabiło—czemu?—sama nie wiedziała, przekonanie bowiem powiadało jej, że to z sąsiedztwa ktoś w odwiedzinę przyjeżdża, a to dla tego, że było już osób kilka, zgromadzonych na dole w salonie. Ktoś nowy przybywa, byle nie pan X. z córkami, do którychby zejść musiała. Nie z powodu jednak przypuszczalne panien X. wizyty opanował ją niewytłómaczony jakiś niepokój, z jakim śledziła ruchy pojazdu, który, trawnik objechawszy, przed gankiem się zatrzymał. Z pojazdu wyskoczył jegomość jakiś w mundurze i oznakach służby sanitarnej.

Jegomość jakiś.

Na widok jegomościa tego, z siedzenia się zerwała, krzyknęła; zbladła; zachwiała się tak, że dla odzyskania równowagi ręce wyciągnąć musiała i odzyskawszy nagle siły, pędem po schodach zbiegła. Biegła; w korytarzu się zatrzymała, celem uregulowania w płucach oddechu, którego jej brakło chwilami. Ręką jedną za poręcz się ujęła i dłonią sobie piersi przyciskała. Oddychała ciężko, głęboko. Znów ruszyła; iść chciała powoli; lecz pośpiech ją parł—pobiegła; przeszła pokojów kilka, przedpokój, sień, wydo stała się na ganek i ujrzawszy pojazd odjeżdżający, zwróciła się do salonu. W salonie przedstawiła się jej grupa, otaczająca wpółleżącego na szeszlągu żołnierza, w którym brata poznała. Obok siedziała matka, przy matce stał ojciec wśród sąsiadów, skupionych w sposób taki, że jeden drugiego maskował. Ruszyła do brata, przyklękła przy nim, przytuliła się do niego, coś mówić chciała i nagle skoczyła, ramiona podniosła i otoczyła niemi szyję jegomościa w służby sanitarnej oznakach. Stało się to w jedno okamgnienie. Nie było w tem—rzecz prosta—premedytacji najmniejszej. Siła jakaś niepowściągnięta pchnęła hrabiankę do popełnienia czynu, który zdumił i zgorszył sąsiadów i rodziców. Mówić chyba nie potrzeba, że napadniętym w sposób ten niezwykły jegomością był pan Piotr. I jego to zdziwić musiało, a zdziwienie wzrosło, kiedy się panna Tekla odezwała:

— Mężu!.. mężu mój!..

Do obecnych się zwróciła i powtarzać z pośpiechem poczęła:

— Mąż!.. mój mąż!.. to mój mąż!..

Mówiąc to, za rękę go trzymała i uradowaniem promieniała.

— Mąż!.. mąż!.. on!.. och, on!..

Zdziwienie obecnych wielkiem było. Graf osłupiał; hrabina spoglądała oczami szeroko otworzonymi; pan Bolesław tylko z wyrazem uznania w oczach spoglądał na parę młodą i odezwał się po chwili, rękę do siostry wyciągając.

— Dobrze, Lusi!.. dobrze: rozwiązałaś zadanie, którego rozwiązanie trudnem mi się wydawało... Papo, mam!..—do rodziców się zwrócił—udzielcie parze tej błogosławieństwa waszego... To para dobrana... Kochają się, a pan Ostróżko jest człowiekiem wielkiego serca, wielkiego charakteru i zdrowego rozumu...

Interwencja ta złamała lody. Nastąpiło uznanie czynu dokonanego, którego nie uznać nie można było—tak czyn ów pojawił się natrętnie i w sposób nagły. Było to niespodzianką dla wszystkich, nie wyjmując pana Piotra i panny Tekli.

Nie będziemy opisywali następstw, jakie się ztąd bezpośrednio wysnuły—tych następstw, co zazwyczaj wypełniają momenty przedślubne. Powiemy tylko, że momenty te były dla młodej pary trudne. Graf nie ukrywał niechęci; hrabina okazywała niezadowolnienie; pan Maurycy nazywał to wybrykiem romansowym; stawiano przeszkody, które panna Tekla łamać musiała przy jedynej chorego brata starszego pomocy. Usunęła je w końcu. Ślub cichy i bardzo skromny odbył się w miesiącu maju. Państwo młodzi przenieśli się na mieszkanie własne, od pałacu o kilometrów parę oddalone, do chałupy nabytej od bednarza, który do Ameryki wywędrował. Pan Piotr kupił ją z gruntem, za pieniądze zapracowane i zaoszczędzone i „z pałaców sterczących dumnie” wprowadził do niej młodą żonę, znającą zdaleka tylko tak mieszkania tego rodzaju, jako też przywiązane do takowych życie pracy. To też na wstępie w następujące odezwał się do niej słowa:

— Lękam się jednego tylko... tego, ażeby ci nie zabrakło odwagi i wytrwałości...

— Tak źle sądzisz o mnie!..—odrzekła.

— Mam przed sobą do rozwiązania zadanie nie łatwe...

— Praca...—podechwyciła.

— Nie tylko... Nie praca sama, ale przykład... przykład, będący głównem a najważniejszem szlachty naszej zadaniem, którego ona, niestety, najprzód uznać, a następnie rozumieć nie chce... Szlachta nasza, związana z chłopem węzłem rodzinnym bardzo silnym, ma w odniesie-

niu do niego obowiązki rodzinne, których niepełnienie pociąga za sobą następstwa naturalne... Na nic się, na przykład, nie przyda moralizowanie we względzie pozbywania się ziemi ojczystej i wywędrowywania z kraju, kiedy szlachta czyni to samo... Nie słów, czynów potrzeba... Szlachcie brzmią hasła takie piękne: „Wstańcie czyny moje!..” Gdzie one?.. Zdobędziesz-że się na nie ty, prawnuczko wojewodów?..

Pani Tekla, zamiast odpowiedzi, męża szyję ramionami otoczyła i w usta jego ustami się wpila.

W sposób ten zainaugurował się miesiąc miodowy, który dla hrabianki — na dobry ład — upływać był powinien w przerzucaniu się z wagonu do hotelu i z hotelu do wagonu, ażeby zapoczątkować życie, pędzone na ślizgawkach i zakończone wywróceniem kozła. Ona zapoczątkowała życie inaczej. Mąż ją za rękę wziął i prowadził, to jest, stopniowo a kolejno wskazywał jej jeden po drugim obowiązki, jakie pełnić miała. Pani Tekla zdecydowaną była odrazu do roboty się wziąć. Pan Piotr nie dopuścił tego; okazało się to rzeczą zbyteczną, a to dla tego, że zastosował do gospodarstwa rolnego sposoby racjonalne, dające mu w rezultacie zmniejszenie trudu i pomnożenie plonu. Bez wysiłków szczególnych zbierał trzy razy tyle co sąsiedzi jego. Przykład jego oddziaływał. Chłopi rozpytywali; on im opowiadał — nauczał, wskazywał, zwabiał do zawierzania spółek, do gromadnego działania, do obchodzenia się bez pośredników i faktorów, gdy się produkty sprzedawały. Snuło się to, snuło i rozsnuwało, nakształt sieci ekonomicznej, która z czasem okryła Śródborze całe i pomykała dalej, coraz to dalej — ciągniona przez hrabiankę. Na dolę pani Tekli wypadło zadanie edukacyjne — nie szkolne bynajmniej, ale czysto wychowawcze, które wynikło samo przez się ztąd, że się z pałacu do chałupy przeniosła i gniazdo założyła — gniazdo, do konstrukcyi którego weszły te pierwiastki, które przed wiekami szlachtę wytworzyły. Pierwiastki te były — jak wiadomo — natury czysto obronnej. Wsiąkały one w chłopstwo dokoła i poprawiając edukacją szkolną niemiecką, nadawały jej akcent czysto polski, udaremniający usiłowania germanizacyjne.

— Pamiętasz gniazdo bocianie?.. — zapytał jej raz pewnego męża, wskazując rezultaty osiągnięte.

— A pamiętasz — odparła — jak się wstydziłem, czy znajdę w sobie odwagi i wytrwałości dosyć?..

— Znalazłaś...

— I czekać nie potrzebowałam... Znalazła się ona sama... dzięki tobie... — i dodała z przymleniem:

„Tyś mnie wysłuchał, ty skrzydły orlemy,
Monarcho ptaków, wzniósłes mnie do siebie.”

Poetyczna ta apostrofa prozaicznie w ten tłumaczyła się sposób, że para ta przedstawiała sobą harmonijne, w jedno zlane połączenie rozumu i serca. Połączenie to nastąpiło na gruncie narodowym, pod niemiecką przewagą, posiadało przeto z konieczności rzeczy charakter nawskróś obronny. Pan Piotr, mimo że się z hrabianką ożenił, nie przedstawiał się „łykom” jako „ciarach” — nie wyzyskiwał ich; był dla nich ich człowiekiem bogatym w zasoby rozumowe, którym się z nimi ochoczo dzielił, odkrywając na użytek ich Amerykę na miejscu, na gruncie rodzinnym, w samopomocy, praktykowanej siłami zbiorowemi. Chłopi garnęli się do niego, raczej do nich — do niego po rozumne wskazówki i zdrowe rady, do niej, celem ogrzania się przy ciepłej duszy.

I ona — hrabianka — czuła się zadowoloną.

— Cóż tam u ciebie słyszeć?.. — zapytywał jej ojciec, którego odwiedzała w pałacu od czasu do czasu.

— Niech też papa kochany do nas zajrzy kiedy... — prosiła.

— Hm... hm... — odpowiedział i usta zaciśnął.

Zajrzeć do państwa Piotrostwa ochotę miał, ale to go wstrzymywało, że udawał, jakoby zięcia ignorował. Pan Piotr nie istniał niby dla niego, a to dla dwóch powodów: raz dla tego, że Ostróżką się nazywając, Gracką za żonę pojął, powtóre dla tego, że się otwarcie do potępionego przez patryotyzm kościelny pozytywizmu przyznawał. Tego mu eks-demokrata wybaczyć nie mógł. Trzymał się więc od zięcia zdaleka i w osamotnieniu tak gorliwie polityki nowej niwę uprawiał, że organ klerykalny w Poznaniu przygotował zawczasu, na wypadek zgonu jego, nekrolog, zaznaczając w takowym szczególnie cudowne bałwochwalcy nawrócenie się i oraz łaskę dotykającą, jaka z tej racyi nań spłynęła. Łaska polegała na skojarzeniu się związkiem małżeńskim pana Maurycego z Chaną i uratowanie przez to ze szponów niemieckich majątku pol-

skiego. Skojarzenie się nastąpiło, pomimo że się Chana do przyjęcia chrztu świętego namówić nie dała. Rzeczą ta pozostała w zawieszeniu, w postaci skandalu tymczasowego, tymczasowość którego ukrywał pan Maurycy za granicą, w towarzystwie i w przymierzu z matką, która ze strony swojej nad nawróceniem Chany pracowała. Ten był powód, dla którego graf w pałacu śródborskim osamotniał. Pan Maurycy z żoną i matką wyjechał, pan Bolesław, z ran się wyleczywszy i nie chcąc na łasce brata pozostawać, do pułku powrócił. Stary graf pozostał sam w gmachu, na straży niejako murów, w których gościć miał Napoleon III i w których spodziewał się przyjmować wstrętne mu niegdyś kardynała Ledóchowskiego. W osamotnieniu tem pomieszczenia zmysłów dostać by mógł, gdyby umysł jego nie znajdował karmy w gazetach, odbieranych w ilości ogromnej z poczty codziennie i odczytywanych sumiennie. Były to organa wyłączenie klerykałne: „Germania,” „Univers,” „Union,” „Monde,” „Czas,” „Kurjer Poznański,” „Przegląd Katolicki,” „Niwa,” którą cenił wyśoko dla tego, że i na nią, równie jak na niego, łaska nawrócenia spłynęła, etc., etc. Czytanie dawało mu niekiedy *assumpt* do pisania. Pisywał do gazet korespondencye, do mężów stanu listy i memoryały. Pierwsze przepadały w koszach redakcyjnych, drugie w części odszukają się kiedyś w archiwach watykańskich. Że zaś ani te, ani owe nie zawierały w sobie treści, więc mu nie odpowiadano. We względzie tym wyjątek stanowił don Pedro, cesarz brazylijski, który ma ten, co J. I. Kraszewski zwyczaj, że na wszystkie listy skrupulatnie odpisuje. I ten atoli odpowiadania zaprzestał od chwili, jak mu graf ofiarował koronę polską. Ofiarował ją także hrabiemu Chambord, don Karłowski, byłemu królowi neapolitańskiemu, któremuś z arcyksiążąt austriackich i kilku jeszcze innym koron amatorom, pewnym a bez zajęcia, których mu natchnienie wskazywało. W sposób ten starzec politykę nową prowadził i uwolniony od kredytów a interesów, czas sobie zajmował. W nekrologu, jaki na intencję jego powyżej wzmiankowana redakcyja w pogotowiu trzymała, zamianowanym został „skałą wiary, stawiającą burzom czoło harde.” Porównanie to trafne było w tym względzie, iż oburzała go myśl o żydówce synowej, co się nawrócić nie chciała.

I czas mu upływał swobodnie, spokojnie, bez

wstrząśnięć, w tem przekonaniu, że od tryumfu Stolicy Apostolskiej, pewnego w przyszłości nie-dalekiej, zależy całkowicie tryumf sprawy, stanowiącej przedmiot stały trosk i miłości jego. Przekonanie to w następstwie logicznem wydało kwietyzm bezwzględny, wyrażający się na polu pod postacią składania jak najdonioślejszych ofiar pieniężnych na rzecz nieomyślniej głowy kościoła, która sama zrobi wszystko. Składał przeto ofiary—czerpał z kieszeni żydówki i dawał na świętopietrze, dawał na składki, opłacał prenumeratę dzienników, brał udział we wszystkich operacjach pieniężnych, mających na celu podtrzymanie ducha wiary, nie okazywał się głuchym nigdy, gdy do niego w imię ducha onego zakłatano. A zakłatano często. I on miał zawsze. Chana nie skąpiła teściowi—nosiła godnie tytuł hrabiny, który jej przyszedł drogą pierników i wieprzowiny solonej. Raz tylko wzruszenia doznał. Stało się to w chwili, gdy mu oznajmiono, że córka powiła syna.

— Wnuk!..—krzyknął, brwi zmarszczył i wąsy rozgładził.

— Wnuk?..—powtórzył po chwili z akcentem zapytania.

Okrzyk pierwszy był wyrazem ochoty pójścia do córki i zanieśienia błogosławieństwa dziecku dziecka jego.

Zapytanie nastąpiło w skutek refleksyi. Było to wprawdzie dziecko dziecka jego, ale nazywało się Ostróżką. „Ostróżko?” Pomyślał, zastanowił się i nie poszedł. Myślał dalej. Stała przed nim możliwość wnuka, noszącego nazwisko „Gracki” i mróz starcowi po za skórą przeszedł. Możliwość ta sprowadziła inną, która się przedstawiła pod postacią uporu Chany. Jak upierała się przy tem, ażeby się samej nie chrzczyć, tak samo uprzeć się mogła przy tem, ażeby syna swego, wnuka grafskiego, hrabiego Grackiego, obrzezać. Zgroza! Owładnął grafem niepokój wielki—niepokój zimny jakiś; jał po komnacie chodzić, powtarzając od czasu do czasu:

— Gracki żyd?.. Gracki żyd?..

Potworność przypuszczenia tego zniewoliła go do napisania listu długiego do hrabiny, której powierzył zaniepokojenie swoje i którą prosił, błagał, zaklinał, ażeby, rozwiniawszy całą swoją zdolność dyplomatyczną, zwróciła takową na „głupią żydówicę” i wyperswadowała jej niczem usprawiedliwić się nie dającą fantazyją upierania się przy swoim.

— Giduleczko, w tobie nadzieja!

Tak brzmiało zakończenie listu. W liście tym, w *post scriptum*, znajdowało się krótkie zawiadomienie: „Lusia ma syna.” I tyle.

Pani Ostrózczyzna, w tygodni kilka później, przyniosła syna do pałacu dziadkowi do pokazania. Graf się uśmiechnął na widok zdrowego i tęgiego chłopaka, któremu pyzia obwisały i na czółku zarysowywał się mars dziadowski, mars zaznaczony na portretach wszystkich jego przodków po mieczu. Mars ten zwrócił na siebie grafa uwagę. W oczach starca zajaśniało rozrzewnienie. Palcem na takowy wskazał i coś w odniesieniu do onego powiedzieć chciał. Wstrzymał się jednak i po chwili rzekł:

— Bocian ci go, Lusi, przyniósł...

— Bocian, papo...—odrzekła.

Ramionami wzruszył i westchnął. Po chwili odezwał się, jakby mówił sam do siebie:

— Szkoda...

Pani Tekla nie podniosła wyrazu tego, którego znaczenie rozumiała. Nie wdawała się z ojcem w dyskusję nigdy. Wiedziała, iżby to nie doprowadziło do niczego. Zwróciła się do niego z prośbą:

— Pobłogosławcie, ojcze, wnuczku...

— Ano... tak: niech mu Bóg błogosławi...

Rękę wyciągnął, dziecko przeżegnał i zapytał:

— Jak mu na imię?..

— Krzysztof...

— Uhm...—mruknął i głową z takim zacięciem pokiwał, jakby żałował, że imię to nosić będzie Ostróżko; następnie zadał zapytanie, które zazwyczaj zadawał: — Cóż tam u ciebie słychać?..

— Dobrze, papo...

— Mogłoby jednak być lepiej...

— Może... nie wiem i nie życzę sobie...

— Skromne masz życzenia...

— Kocham, szanuję; kochaną i szanowaną jestem... Na niczem mi nie brak...

— Nie przychodzi ci, moje dziecko, na myśl nigdy, czem jest twoja matka, czem były babki i prababki twoje?..

Rzekłszy to, ręką wskazał szereg zawieszonych na ścianie portretów, przedstawiających, obok mężów w pancerzach, niewiasty w piórach i klejnotach.

Pani Tekla okiem powiodła i nie nie odpowiedziała, dla tego że do powiedzenia miała wiele,

ale nie takiego, co by ojcu przyjemność sprawić mogło.

— Cóż ty na to?.. Gdybyś się była nie pośpieszyła zbyt; gdybyś była poczekała; gdybyś...

— Ależ ja, papo kochany—podchwyciła—pośpiechu nie żałuję!.. ależ mi dobrze!.. ależ się czuję zadowolnioną i w sumieniu mojem spokojną!..

— W sumieniu spokojną mogłabyś być, gdybyś męża nawróciła...

Po raz pierwszy jej o mężu wspomniał.

— Na jakąż religię, na jaką wiarę nawracać bym miała człowieka, posiadającego religię obowiązku i wiarę w pracę!..

Graf ręką machnął, westchnął i do siebie rzekł:

— Synowa żydówka, zięć pozytywista... Ale a!..—dodał głosem podniesionym—Maurycowa, dowiedziawszy się, że ci Pan Bóg syna dał, przysłała ci na ręce moje przekaz na pieluszkę dla chłopca... Oto on...

Podał córce weksel, który pani Tekla wzięła i w zanadrze schowała. Wkrótce potem ojca pożegnała.

W tygodni kilka później gmina śródborska otrzymała od pani Tekli Ostrózczyzny sutą, trzydzieści tysięcy wynoszącą dotacją, przeznaczoną specjalnie do opłacania prelegentów, którzyby miewali odczyty z zakresu historii ojczystej, języka narodowego i rolnictwa. Na trzydzieści tysięcy właśnie opiewał przekaz na pieluszkę dla chłopca. Gdy się o tem graf dowiedział, usta skrzywił i rzekł:

— Warto im dawać pieniądze...

Urodziło się przytem w umyśle jego podejrzenie. Przedtem, nim przekaz ów przyszedł, odczyty miewał pan Piotr. A więc... reszty domysleć się łatwo. Podejrzenie to nie upadło wówczas nawet, kiedy się pokazało, że przed przyjściem przekazu z odczytami występował pan Piotr sam tylko, po przyjeździe zaś takowego brali w nich udział uczeni, sprowadzani umyślnie z Poznania, Torunia, Wrocławia i innych miejscowości, w których do znalezienia byli. Starano się o to kółko włościańskie, funkcjonujące w Śródborzu żywiej, aniżeli gdzieindziej. Mimo to podejrzenie podejrzeniem pozostawało, a to z tej racji, że dotacja z nieczystego pochodziła źródła: z kieszeni żydówki i z natchnienia pozy

tywisty. Tak rzecz tę wytłómaczył ksiądz Jan, który wkrótce po tłómaczeniu tem umarł.

On jeden z grona osobistości, które w opowiadaniu niniejszem występują, wypadł z szeregów ludzi żyjących. Inne wszystkie żyją.

Żyje graf, pomimo że na śmierć jego czeka nekrolog.

Żyje hrabina Krzysztołowa i hrabstwo Maurycostwo, pomimo że hrabina Maurycowa w uporze występny, o zemstę do nieba wołającym, trwa.

Żyją państwo Ostrózkostwo.

Tym ostatnim powodzi się dobrze, bardzo dobrze, tak dalece dobrze, że do zadowolenia, jakie pod strzechą ich panuje, przybyło jeszcze inne, które im niesłychane sprawiło uradowanie. Gmina Śródborza założyła fundusz, przeznaczony na wykupywanie gruntów z rąk niemieckich i zapewniła funduszu tego wzrost. Kiedy pan Piotr wiadomość tę żonie zakomunikował, pani Tekla na kolana się osunęła i ręce modlitewnie złożwszy, tonem akcentu dziękczynności pełnym zawołała:

— O Boże!..

— Co szlachta straci, to chłopci odbiją ..— w sensie uwagi rzucił pan Piotr.

— Tyś to sprawił!..—krzyknęła, z klęzek się zrywając i na męża palcem wskazując.

— Tyś to sprawiła...—odparł.

— Ty!..

— Ty...

I wszczęła się kłótnia małżeńska. Jedno drugiemu ustąpić nie chciało.

— Ty!..

— Ty!..

Któż? — któż, koniec końcem, to sprawił?. Nam się zdaje, że pomiędzy nimi dwojgu siekierka utonęła. Połączenie się harmonijne rozumu i serca, obecność w szeregach pracowników doktora filozofii, który mógł sobie karierę ministeryalną krzesać i hrabianki, która powinna była salonową lalką zostać, przykład, wszystko to razem wzięte, oddziaływało i spowodowało rezultat... bardzo obiecujący.

K O N I E C.

